

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Piszą m. innymi
Jan Drzeżdżon
Zbigniew Żakiewicz
Barbara Pisarek
Edmund Szczesiak
Zbigniew Gach
Stanisław Janke
Anna Łajming

NR 7

LIPIEC 1983



7'83

POMERANIA

Rok zał. 1963

Nr 7 (123)

Zdjęcie na okładce przedstawia Jana Pokrywkę, mieszkańca wsi Kartoszyń. Fot. Stanisław Ossowski

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretnarz redakcji)
Nina Ras
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Józef Borzyszkowski
Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Krystyna Puzdrowska
Jerzy Samp

Prenumerata: roczna 360 zł,
półroczna 180 zł, kwartalna
90 zł.

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 9/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny Zrzeszenia
Kaszubsko-Pomorskiego

INDEKS 37193

Druk: Zakłady Graficzne
w Gdańsku
Zam.: 972 — 4000 egz. D-1

PL ISSN 0238-9045

W numerze:

1. JAN DRZEZDZON — Misterium
5. ZBIGNIEW ZAKIEWICZ — Zaślubiny
6. BARBARA PISAREK — Jak morską falą
11. Tyle różnych zajęć. Ze STEFANEM FIKUSEM rozmawia STANISŁAW JANKE
13. EDMUND SZCZESIAK — Po nas tylko atom
17. ZBIGNIEW GACH — Jutro zaczyna się tu sezon
19. Piesniórce Jastarni. Wiersze M. SELINA, G. KONKELA, A. PIEPERA
22. Stara Jastarnia w zdjęciach
28. KS. WŁADYSŁAW SZULIST — Pomorzenie w Nowej Zelandii
29. ANNA ŁAJMING — Mój dom (17)
33. ANDRISÓW GUST — Roczenna
35. PIOTR KOTOW — Wiersze
35. E. SZ. — Teatr w remizie
37. STANISŁAW JANKE — Ucieczka w piękno
37. KAZIMIERZ NOWOSIELSKI — Własne piękno
38. Andrzej Grubba — mistrz celuloidowej piłeczki. Mini-rozmowa R. CIEMINSKIEGO
39. ZBIGNIEW GACH — Urodziny
41. MIĄSK — Bez zapaszków
42. RYSZARD KARWACKI — O marynistyce i o Conradzie
43. (T. BOL) — Noty o książkach
44. ZBIGNIEW NOWAK — Marian Pelczar (1905—1983)
46. EDWARD BREZA — Nazwiska kilku humanistów pomorskich
48. Z życia Zrzeszenia. Wpłaty na „Fundusz Pomorania”
54. Kleka; Listy

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

MISTERIUM

Jan Drzeżdżon

O Boże — myślałem — dlaczego jestem wśród tego tłumu. Dlaczego tu jestem. Moja ziemia została sponiewierana. Ogarnęło ją jakieś szaleństwo. Może jest to koniec drogi słonecznej i dlatego w ludzi wstąpił taki szal. A może wjeżdżając do miasta spowodowaliśmy poruszenie głębin czasu, które otrząsają się z kurzu i z zapomnienia. Dlaczego musi się to odbywać w takich konwulsjach, może się zatracić echo ziemi i co wówczas. Może się rozpętać jakiś oddech w tym ogrodzie albo na ulicy. W każdym razie czuję jakbym dotknął klamki ogromnych drzwi i próbuję je otworzyć, a krzyk tych ludzi istnieje po to tylko, aby skrzyp tej klamki zagłuszyć. Sam nie dokonałbym tego nawet gdybym bardzo głośno krzyczał albo z kimś rozmawiał.

Obok mnie siedział pies, a nieco dalej ów sąsiad, z którym zamieniłem kilka słów. Dziwilem się, że uroczystości przeniosły się aż na peryferie miasta.

Chciałbym dokąś pójść, wszystko jedno dokąd. Pies na pewno uda się ze mną, a oni będą tutaj dalej obchodzić uroczystość zakończenia wystawy.

Zostawiłem tańczących ludzi i razem z psem poszedłem na ukos przez peryferie miasta jakąś wąską uliczką.

Nie poznali mnie — myślałem. Ja właściwie również ich nie poznałem, byli to na pewno inni ludzie niż ci, których widziałem na rynku. Tak bardzo chciałbym dokąś pójść. Dobrze byłoby to miasto ominąć, ale nie wiem czy mi się uda.

Tak chciałbym dokąś dojść. Gdy siedziałem w drewnianym wózku — ciągnionym przez Eleonorę Dargę to wydawało mi się, że czas idzie obok mnie, albo przynajmniej jest odmierzanym krokami tej kobiety. Teraz jestem jak wyrzucony na księżycowe światło ślepy ptak. Co z tego, że w ogóle idę, nie ma to znaczenia. I też dlatego wydaje mi się wciąż, iż leżę za miastem, a dotyk psa to zwykły leśny sen, który jest treścią tej ziemi, na której żyję.

Pomorze.

Moja ziemia, na której istnieje tak samo jak kamienie czy paprocie. Czuję jej oddech i sen, w którym istnieją zaklęci dawni bogowie. Teraz przemierzam ją pospiesznie w poszukiwaniu przebrzmiałego echa szumu nieistniejących już brzoź. Tylko moje zakurzone stopy ścigają się tu z czasem i ze wspomnieniem nieraz świeżym. Moja rozpacz w owym mieście bez

ducha była tak przejmująca, że trzeba było tu wezwać cały miniony czas.

Dokąd idę?

Dlaczego jest tak ciężko — nie wiem, 'wiedocześnie brzemię czasu jest jak dynamit, jak siła rozrywająca przestrzeń. Wiem o tym i dlatego muszę coś zrobić, aby wydostać się z tego piekła, do którego zawiozła mnie Eleonora Darga. Nie wiem co zrobić. Idzie ze mną pies, ten sam który obudził mnie za miastem.

Oto cała tajemnica mojej ziemi

Miasto zostało daleko poza mną. Mam w ręku kubek blaszany, szary, mogę się napić wody jeżeli będę miał pragnienie. Mam nieraz pragnienie takie dojmujące, że chciałbym być rosą samą, aby się z tego otrząsnąć. Takie pragnienie wody, życia, słońca, ciepła i ciszy. Chodzę po świecie jak pijany bowiem nakarmiono mnie trucizną, być może był to wywar z korzeni, które nie zakwalifikowały się na wystawę. Wywar, czy opary z tego kotła, w którym się znalazłem, wszystko jedno. Nie chciałem być dyrektorem wystawy, nie chciałem. Nigdy bym się na to nie zgodził.

Deszcz pada.

Ciepły deszcz, który obmyje również drogę i moje stopy. Jak dobrze, że się to wszystko skończyło. Idę tą samą drogą, którą kiedyś tutaj szli pielgrzymi do Arkony, aby dotknąć boga Swantewita. Ja nie jestem pielgrzymem. Mieszkam tutaj, na razie na drogach, ale być może kogoś spotkam. Mam umysł baśniowy i wierzę w świat baśni, dlatego myślę, że kogoś spotkam. Skażenie być może nie dotknęło tych dróg, są ukryte w ciszy i stanowią, tak myślę, część słonecznej drogi.

Koszmary.

Nie wiedziałem, że istnieję. Może spotkam rodzinę Świętopelka. Chciałbym wiedzieć co dzieje się z córkami. Stara ich matka na pewno nie żyje, a synowie być może zbudowali nową świątynię. Chciałbym do niej wejść, jeżeli rzeczywiście ją zbudowali. Wątpię jednak, że ich spotkam. Myślę, że ziemia pomorska ma serce nieskażone tamtym szaleństwem. Krzyk taki jest czymś co zawsze pochłonie cisza i ona właśnie zostanie.

Wystawa.

Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego istnieje. Nie wiedziałem dokąd wiozła mnie Eleonora Darga. Mało po drodze rozmawialiśmy. Zre-

szta o cóż miałbym ją pytać. Czyżby skaza ta dotknęła całej tej ziemi. Jeżeli tak to moje błędzenie po niej jest raczej upiorne i bez widoku na osiągnięcie owej czystej rosy zawisłej w chłodnym jeszcze lesie. Skaza wystawy może się rozprzestrzenić i dosięgnąć każdego tu promyka i wykrzywić go.

Czuje jakbym wielki ciężar zrzucił ze swoich pleców, ale na jak długo. Czy dopadnie mnie ktoś z nowym wózkiem drewnianym albo z propozycją abym został dyrektorem wystawy. Trzeba coś zrobić, nie można wciąż uchodzić w głąb lasu w poszukiwaniu śladów świętych gajów. Istnieją one w srebrnym migotaniu owej rosy właśnie i też wśród świerków nocą. Ale nie sposób tam przecież mieszkać. Trzeba zatrzaskać przestrzeń pełną krzyków z wystawy i rozejrzeć się co tu zostało. Zmęczone nieco oczy, załamana na brzegu morza linia horyzontu i pewna nadzieja, że kogoś spotkam.

Pies idzie ze mną, widać już postanowił ze mną pozostać. Jestem z tego zadowolony, bowiem ktoś obok mnie kroczy, nie jestem sam.

Wczoraj zdrzemnąłem się koło drogi świerkowej i wydało mi się, że ziemia płonie. Chciałem biec do morza, aby gasić ogień, ale czyjaś ręka przytrzymała mnie i słyszałem wyraźny głos — to jest ogień słoneczny i sam w nim spłoniesz, gdy będziesz biegł ku morzu. Myślę, że był to sen, chociaż drzemałem tylko. Gdy wstałem usiłowałem znaleźć ów ogień i rozgarniałem rękami mech oraz listowie, ale go tam nie było. Czyż może więc ogień słoneczny trawić moją ziemię, a ja przeczuwam to tylko, bowiem trudno uznać iż był to sen tylko.

Dobrze byłoby gdybym miał tutaj świecę. Zapaliłbym ją sobie i rozświetlił całe to bezdroże i znaczną część mojej ziemi. Tak świeca wniosłaby tu nową atmosferę, tę którą nie dałoby się zniszczyć, a słoneczny krąg byłby jej towarzyszył w tym moim czasie i sądzę, że również późniejszym. Dziwne światło przebiega przez gałęzie śmierzkowe. Wprost na moje ręce. Może to jest mój płomień świecy. Jest to rozproszona smuga mgielna, która właściwie nie wie dlaczego tu istnieje. Ja dzięki temu mam oświetlone ręce i mogę na nie patrzeć. Jest to płomień, który zaistniał tutaj na bezdrożu porośniętym świerkami i ma, być może spełniać rolę płomienia świecy. Nie muszę więc niczego szukać, samo słońce wyciągnęło do mnie rękę przebijając się przez mgłę i przez gęste gałęzie śmierzkowe. Mam więc psa, zamglony promień świerkowy i bezdroże, po którym wodzę wzrokiem. Jest to ziemia bez końca z czasem zamilkłym wśród tych świerków. Chodzę po niej. Mam nieraz dziwny lęk, że się to wszystko zakolysze i wtedy zostanie połamana droga słoneczna, a ów zamglony promień zniknie. Mam nieraz taki lęk. Może też podszyte lękiem jest miasto, stąd tak częste wystawy na rynku.

Ktoś się tutaj musi obudzić, może umarli kiedyś Pomorzanie, a może ja, skoro uciekłem z miasta. Myślę jednak, że to codziennie budzi się ziemia z sennego marzenia w czasie

i trzeba po prostu rozpoznać jej dotyk. Oto cała tajemnica mojej ziemi, której serce nie zagłuszyć nie zdoła. Dotyk ziemi. Szary i szorstki. Nie jest to pieszczota. Szarą jej twarz dotykam moimi rękami i czuję, że zwala się na mnie jak stracona figura boga Swantewita. Moja iskra życia jest jej podporą i dzięki niej zaistnieje w przestrzeni nową chwilę. Dzięki niej może obejmować swymi ramionami słońce i rozpościerać swe horyzonty nadmorskie. Dzięki tej iskierce życia może zrozumieć kwitnienie sadów wiśniowych i ciche zamyślenie lasów pełnych brzoź i świerków. Moja ziemia ma na ogół powieki zamknięte, nieraz tylko patrzy zamglonymi oczami na drogę, którą idę. Nieraz mówię do niej — dokąd mnie prowadzisz ziemio moja, a ona jakby śmiała się z tego pytania. Może rzeczywiście jest niedorzeczne, bo czyż nie wystarczy, że chodzę po tych drogach i trzymam zamglone promienie słońca na moich rękach. Czyż nie wystarczy, że oddycham powietrzem pomieszanym z żywicą. Tamci ludzie koniecznie chcą zmienić jej rytm i oddech stąd tak często i gorączkowo organizują swoje wystawy.

Nieraz wydaje mi się, że jestem uczepiony szarego kamienia tocącego się po drodze słonecznej, a innym razem myślę, że jestem podobny do tych kwiatów w sadzie wiśniowym, którym zupełnie wystarcza to, iż dane im było raz zakwitnąć. Tak więc ziemia pomorska pozwoliła mi być owym sadem wiśniowym, który spala się w swoim kwitnieniu. Gdziekolwiek pójdę to będę niósł ze sobą ów płomień świecy, jak go nazywam, a jest to smuga zamglonego światła przedzierająca się przez gałęzie świerkowe. Gdziekolwiek pójdę.

Ileż razy leżałem na tym bezdrożu z twarzą przyklepioną do piaszczystej ziemi. Nie wiedziałem co zrobić. Co myśleć o ludziach, którzy się naigrawali z mojej drogi i z tej świecy, którą trzymałem w drżących dłoniach. Ileż razy wbijałem bezsilnie rozgorączkowane palce w tę porośłą trawą ziemię. Jakbym się moczył z kimś albo chciał się wdrzeć do jej wnętrza. Nie wdarłem się do jej serca — bo nie jest to możliwe dla nikogo, ale błędziłem po królestwie światła, które jest jakby odbiciem tego wnętrza.

Królestwo światła.

Miałem kiedyś dom z czerwonej cegły i przystań z pomostem, na którym siadały stada mew. Rozmawiałem z nimi. Długie to były rozmowy i raczej beznamietne, jak to z mewami. Usiłowałem zawsze w kogoś wierzyć. Człowiek, który się do mnie zbliżał wydawał mi się kimś dobrym. Tak mi się wydawało. Ileż razy śpiewałem pieśń skierowaną wprost ku słońcu. Moje dłonie usiłowały wśród wrzosów odnaleźć odpowiedź tego słońca właśnie. Moje dłonie. Ich dotyk sprawiał, że mogłem się oprzeć o tę szarość w dzień lub w nocy, to było obojętne. Nieraz siadałem na zrąbanych pniach drzew i nie wiedziałem dlaczego ich poszarpana kora tak bardzo raniła moje serce. Nieraz obkładałem tą korą z powrotem owe ścięte drzewa i wówczas widziałem ciekącą

bokami żywicę. Nic się nie dało zrobić. Pewnie trzeba było, aby upłynęły wszystkie te lata i wreszcie mogę zapalić moją świecę. Tak więc ręce moje pośredniczą między łomotem serca mojej ziemi a drogą słoneczną albo szerzej mówiąc kręgiem słonecznym bowiem droga jest jego częścią. Mój śpiew z tamtego czasu, w którym wrzós skrywał moją rozpaloną głowę nabiera teraz zupełnie innego znaczenia. Nabiera nowego sensu. Był to śpiew skierowany wprost ku słońcu. Dzięki temu będę mógł teraz odsłonić czas zaklęty w owej smudze zamglonego światła i dojrzeć szarą twarz, którą chciałbym widzieć wciąż obok siebie. Moje słowa miałyby bliski związek z tą twarzą i mój śmiech stałby się dla niej czymś istotnym, może lustrem albo głębią przeznaczenia. Człubym szorstki dotyk tej twarzy, nie byłaby to pieszczota ale królestwo do zamieszkania, tak bym to nazwał. Stałem nieraz nad lustrem wody i śmiałem się z kształtów, które obserwowałem naokoło. Potem wszedłem w gąszcz paproci i wyglądałem stamtąd na świat. Paprocie są miękkie i nie uciskały mnie z żadnej strony. Lustro wody i te rozczapierzone naokoło paprocie.

Stworzyłem sobie twarz tę szarą, abym mógł tutaj z kimś rozmawiać. Dom mój dawny z czerwonej cegły został zakryty przez owe paprocie i odbity wielokroć przez owe lustra. A szare oblicze ziemi zatacza kręgi wokół moich rąk i tej smugi świetlnej. Z tego czasu zaklętego w szarym obliczu ziemi ktoś się jednak wydobył. Patrzę zaciekawiony i nie wierzę swym oczom. Czyżby naprawdę?!

Tak.

Widzę cień ogromny nad moim światem złożonym z dzieciństwa i z tej wizji niepokalanej ziemi i cień ten zbliża się. Byłem kiedyś myśliwym w tych lasach i wiem jakie są odgłosy zbliżającego się zwierza. Nie musi to być zwierzę, w każdym razie ktoś się przez te paprocie i zwały zamulonego czasu przedziera. Ciekawe jakie ma ręce. Zobaczę. Dotknę tych rąk. Nie mogę opanować drżenia tak bardzo chcę aby już wyszedł z tych przestrzeni bezludnych i być może nieśmiertelnych. Biegnę doń z psem i z rozpalonymi oczami. Nie zwracam uwagi na bezdroża, wszystko mi jedno, chcę aby się spotkał ze mną a nie zderzył się z ową szarą twarzą, którą tutaj wydumałem. Nie chcę żadnych nieszcześć, żadnej katastrofy, wołam, to nie ma sensu. Rozproszona we mgle smuga światła słonecznego biegnie razem ze mną. Jak dobrze mówię, jak dobrze, że jest nas troje, ja, ta smuga i pies, który sadi tuż obok mnie i nieraz tylko przygląda mi się przez moment. Kto to idzie, czy biegnie nie wiem, nie sędzę aby to była moja wymyślona szara postać, takie rzeczy się nie zdarzają.

Jest.

Stoi.

Na skraju drogi widzę stojącą bardzo młodą kobietę. Jest sama. Stoje na drugim krańcu drogi. Pies nie wie co zrobić, smuga światła wciąż okrywa moje ręce i jestem z daleka widoczny. Tak bardzo widoczny, że widzę zdi-

wienie na twarzy tamtej kobiety. Przebiegliśmy z psem i tą smugą światła słonecznego całą szerokość drogi i spojrzałem z bliska na jej twarz.

Myśmy się już kiedyś spotkali — rzekłem. Może mieszkasz w grudce czasu leśnego jak ja i teraz wskrzesiło nas to słońce.

Przyglądała mi się, ale nic nie mówiła. Nie mogłem dojść do ładu z tym, skąd ją znam. Miała w swych oczach jakby zaproszoną szarość i to było mi najbardziej znajome.

Jestem Jaromira Budzisz — rzekła ona, mieszkam tu niedaleko w Karlikowie, to jest za tym lasem, wskazała za siebie do tyłu.

A więc jestem blisko Karlikowa — mruknąłem. Nie wiedziałem o tym. Biegłaś — zdziwiłem się, czy ktoś cię ścigał.

Nie — odrzekła śmiejąc się, któż mógłby mnie ścigać i po co.

Jesteś piękną kobietą — rzekłem — wielu mogłoby cię ścigać.

Kobietą — zaśmiała się ona — jeszcze nikt mnie tak nie nazwał, tylko ty. Skąd idziesz — wyglądasz bardzo źle, w pierwszej chwili myślałam, że jesteś włóczęgą. A sądzisz, że nie jestem? zapytałem ją. Nie, nie jesteś — odrzekła. Powiedz jak się nazywasz.

Jestem Henryk Rutha — powiedziałem, idę z miasta.

A z Białogrodu — rzekła kobieta, to przecież bardzo daleko stąd. Czyżbyś szedł pieszo?

Tak — odparłem — szedłem pieszo. Zaprażyłem dotknąć jej ręki, a poza tym chciałem być bliżej jej głosu. Padał tak między nami jak deszcz albo jak ostatnie liście jesienne. A co to jest to Karlikowo — zapytałem.

To jest kilka domów — odparła ona — za małe aby nazwać to wsią. Za małe — rzekłem, to nie ma znaczenia.

Chodź — rzekła ona, nie sposób tu tak siedzieć, musisz się umyć i coś zjeść.

Upadłem na drogę i zacząłem płakać. Trzymałem tą swoją smugę światła słonecznego oburącz jakby w obawie, że może mi w pewnej chwili po prostu przepaść. Pies usiadł obok i zaczął wyć. Jaromira położyła obie ręce na moim ramieniu i spytała — dlaczego, co tobie. Prawym policzkiem dotykałem ziemi i trudno było mi się uspokoić. Całe morze bólu i żalu weszło w serce tej ziemi, którą trzymałem i nie wiem jak długo to trwało. Jaromira siedziała wciąż przy mnie razem z psem. Może zbierała tu grzyby, myślałem, albo jagody. Skoro tak blisko jest to Karlikowo to i tak bym tam trafił. Spojrzałem na jej twarz i pomyślałem, że nie wiem czego od niej oczekuję. Wiedziałem tylko tyle, że gdzieś dotarłem na kolanach, brudny i obdarty ale dotarłem. Chciałbym aby była moją przewodniczką, to szare zaproszenie na dnie jej oczu wskazuje iż nieśie w sobie to co kiedyś spotkałem w słońcu. Był to wrzosowy odbłask smugi słonecznej. Istniała po prostu i ja również istniałem. Myślałem, że wyłoniła się z tego bezdroża leśnego i gęstej paproci, bo tak żarliwie rozmawiałem z ziemią tworząc sobie jej szarą twarz. Jest więc wieścią niesioną przez ziemię moją po-

morską. Dzięki tej żarliwości mam w ręku ową smugę zamglonego światła i Jaromirę jakby zrodzoną z tchnienia tej ziemi. Jak dobrze znam ten oddech z głębi piersi. Pamiętam go w tamtych wrzosach, stąd owa szarość w jej oczach.

Taka żarliwość potrafi tworzyć świat — szeptałem.

Co mówisz? — zapytała ona.

Tak sobie powiedziałem — rzekłem, iż mam w sobie iskry życia, którą osadzam moją ziemię w tym właśnie miejscu. Iskra ta wyłobila tutaj ślad, w którym zmieści się moje światło niesione w rękach i ty cała, która została stworzona tchnieniem ziemi pomorskiej, albo można powiedzieć moją wyobraźnią.

Dobrze — rzekła Jaromira — teraz chodź się umyjesz i coś zjesz, również twój pies jest taki chudy jak ty. Chodź Henryku — zobaczysz Karlikowo i mój dom.

Twój dom — rzekłem — rzeczywiście masz swój dom. Ja też go miałem kiedyś w dzieciństwie. Wstałem i nie mogłem uwierzyć, że to jest prawda. Idziemy do Karlikowa — rzekłem.

Jaromira Budzisz — mruknąłem — tak się nazywasz.

Tak — skinęła głową, tak się nazywam.

Poszliśmy więc do Karlikowa. Wydało mi się, iż spełniła się moja dawna modlitwa, ta z wrzosów a potem z świątyni Swantewita. Dawna modlitwa. Nie wiedziałem wówczas o co się modłę. Ręce miałem lepkie od miodu wrzoso-wego. Nie wiedziałem, że rozhuśtana ziemia może nagle przybrać formę jakiegoś obrazu. Chociaż wciąż wierzyłem, iż nie może być tylko taki bezwładny pejzaż, który posługuje się moimi rękami jako łącznikiem z kręgiem solarnym. Nie może tak być. Kultury, które się tu przewalały wydały mi się kwiatami bez zapachu. Zasługiwały na wspomnienie nic więcej. Bawiłem się przez pewien czas wspomnieniami, ale porzuciłem je, było to wówczas gdy Eleonora Darga ciągnęła mnie na swoim wózku. Nie było w nich żywego dotknięcia owej szarej postaci. Teraz pojawiła się. Tak pojawiają się postacie boskie. Tak na pewno pojawił się sam Swantewit. Nie mogę zapomnieć jej oczu. Czy wie o tym, że istnieje w sadzie wiśniowym, do którego przybyłem piechotą. W sadzie wiśniowym.

Wspierałem cię ziemio moimi rękami gdy osuwałaś się w opary szarości bez imienia, a teraz dzięki twojemu oddechowi istnieje tu świat Jaromiry Budzisz — szeptałem. Moje kolana są zdarte do krwi ale przyszedłem, oto jestem na drodze wyśnionej przez poetów i wyśpiewanej przez trubadurów. Czuję zapach jej ciała. Jest to prawda — mruknąłem.

Co mówisz? — odwróciła się Jaromira.

Tak sobie mruczę — odrzekłem. Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

W co? — zdziwiła się ona, żeśmy się tu spot-

kali, to naturalne, szedłeś tędy a ja bywam tu bardzo często, przecież tu mieszkam.

Tak — powiedziałem — rzeczywiście mieszkasz tutaj.

Powiedz — rzekłem do niej — czy chciałabyś iść ze mną na drogę księżycową.

Tak — odparła ona, chciałabym.

Ale wiesz co cię tam czeka? — spytałem.

Nie wiem — odparła, ale to nie szkodzi.

Pójdziemy — dodała, ale najpierw cię nakarmię i obmyję twoje nogi. Spojrzałem na moje nogi i tam były raczej resztki butów i bardzo zniszczone grube skarpetki. Pies siedł z tyłu za mną, tak że stanowiliśmy trójkę Jaromira, ja i pies. Powiedziałem do niej droga księżycowa a nie słoneczna, zastanawiałem się dlaczego. Może chciałem wiedzieć czy byłaby gotowa iść ze mną taką trudną drogą, chyba to było moim nieświadomym celem.

Stanęliśmy na skraju lasu gdy był już zmrok. Jaromira wskazywała coś w odległych dość łąkach, ale nie mogłem rozpoznać tego Karlikowa. Gdybyśmy byli wcześniej tutaj to widok byłby na pewno inny. Zaczęliśmy schodzić ze wzgórza i wydawało mi się, że zstępuję do serca mojej ziemi. Tyle trudu — myślałem, tyle upokorzeń, zwątpienia. Nie mogłem zapomnieć owej beznadziejnej jazdy z Eleonorą Dargą, która wydała mi się najbardziej przepojona bólem. Teraz jestem tutaj i schodzę w dół jakby ocalały kapłan z dawnej świątyni. Może spotkam tu rodzinę Świętopelka. Jeżeli nie jego samego to którąś z córek albo któregoś z synów. Może spotkam rodzinę Świętopelka — myślałem, ale nie chciałem mówić tego głośno, bowiem trzeba było uważać, by nie upaść albo się nie zgubić. Pies siedł blisko moich nóg a ja starałem się iść tuż za Jaromirą. Widziałem jej sylwetkę, jakby rozrośniętą przez mgłę i zmrok. Pomyślałem, że musi mieć ona silne ręce, chciałbym ich dotknąć, są na pewno gorące, zupełnie inne aniżeli ziemia, na której tam na drodze leżałem. Jak długa była ta droga z Białogrodu do Karlikowa. Jak bardzo długa. Nie wiedziałem, że się w ogóle skończy. Budowałem swoje szare figury wśród paproci i nazywałem je postaciami z królestwa ziemi. Coraz bardziej mnie przygniatały, aż w końcu czułem się iskłą, która wspiera ziemię w jej bezwładnym rozpędzeniu ku słońcu. Moja jazda wózkiem była nieświadomym uczestnictwem w tej piekielnej uczcie słonecznej. Pusta kuźnia, zwariowane miasto było, jak mi się zdawało, początkiem szaleństwa ziemi. Bezdroże, takie absolutnie poplątane pozostało w końcu jako jedyny motyw mojej włóczędzy. W końcu chciałem tylko wiedzieć kto się ze mnie w ten sposób naigrawa. Może kiedyś się dowiem, choć tak nie chciałbym znów znaleźć się na rozdrożu.

Fragment książki „Misterium”, która w roku przyszłym ukazać się ma nakładem „Czytelnika”.

ZAŚLUBINY

Zbigniew Żakiewicz

Wyszliśmy z ciotuleńką za wieś, na wysoki garb uwieńczony lasem, aby mając u stóp wioskę, a za nią dalsze okolice, rozfalowane, lesiste, zamknięte wałem Wieżycy, wychylić za zdrowie tego świata i nasze własne po kuścyczku słodkiej śliwowicy.*)

Lubiliśmy z ciotuleńką piękne widoki, a cóż dopiero, gdy się we krwi poczuło ciepły krzepiący prąd idący od dojrzałych gdzieś tam pod Sączem, czy Limanową śliwek. Wybraliśmy więc ten widok z pełną świadomością, a i miedza podeszła nam jak należy: mięciutka, pachnąca macierzanką i koniczyneką, na tyle wysoka, że można było sięść na niej jak na ławeczce, stopy wpierając w pochyły dywanik.

Ciotuleńka odwiecznym zwyczajem wyjęła z torby lnianą ściereczkę, strzepnęła zgrabnie i rozłożyła w prostokątny obrusik. Na to parę jaj na twardo, chlebek z masłem, sól, ogóreczek małosolny i już uczta była co się zowie.

Kieliszek mieliśmy wciąż ten sam, z jakiegoś takiego grubego szkła, że ani rusz nie można go było rozbić.

— Musi to być jakiś górski kryształ samodek. Ten jak pęka, to na drobny mak — powiedziała ciotuleńka, której nigdy nie było dość zdziwień z kieliszka.

I akuratnie nalewając po szlifowaną falbankę, z głębokim westchnieniem wypila.

— Pij synók i zakaszaj — rzekła po swojskiemu, co oznaczało, że wstąpił w nią dobry duch.

Co też uczyniłem, bo już Hemingway rzekł, że to pierwsze kopnięcie jest najlepsze i warte picia, a co potem — jest zwykłą mordęgą.

— Ot tak i przeleciało życie — rzekła ciotuleńka, ale oczka jej się śmiały, bo świat rzeczywiście był piękny: słońce stało za plecami, już bliżej ku zachodowi i ziemia robiła się pulchna, puszysta, pełna zaokrągleń i cieni, które niebieskawo i błękitnie podmałowowały całą krainę, aż po garb Wieżycy.

— Świętą żydowską liczbę przekroczyłam a to znaczy, że trzeba tobołki wiązać i wnukom rozdawać — z pewnym wyrzutem powiedziała ciotuleńka.

— Mówię przecież, żeby ciotuleńka rzuciła ten swój Lipnisz i zjechała do miasta — wróciłem do starej śpiewki, choć wiedziałem, że za żadne skarby nie zostawi ona swego domku, ani sadu, jaki skłaniał się ku Czarnej Rzeczcze, któ-

rej leniwe wody zasilały niedalekie stąd Kaszubskie Morze.

— At gadasz, że hadko słuchać! — zachnęła się ciotuleńka i akuratnie odmierzywszy, wypila następny kieliszek.

— Twój dziadunia zostawił był majątność pod Mińskiem, uciekał aż się oparł w Leonopoliszkach, ja uciekała z Puciatowa aż oparła się o tą ziemią, wypisz wymaluj taka jak nasza. Tak gdzie mnie teraz uciekać? — wyłożyła srogim głosem.

A uspokoiwszy się nieco nalała moją kolejkę, bo ciotuleńka w Lipniszu zawsze czuła się panią, choćby nawet na polnej miedzy.

— Co już zbrzydło do mnie przyjeżdżać? — spytała ciszej. — Siedź sobie na swojej górze i rób co chcesz. Okolice tu nie gorsza jak w Leonopoliszkach. Laseczki, jeziora, rzeka. Tylko ludzie nie te... — westchnęła głęboko. — Tak widać sądzone mnie było, żeby na tej ziemi przecierpieć wszystkie grzechy. Widać prosto do nieba pójde.

Znając na pamięć ten ciotczyzny zaśpiew szybko podałem jej obrane jajko i ośmieliłem się sięgnąć po butelkę, ale ciotuleńka sama zrobiła co do niej należało. I rozpoczęła się długa opowieść o sąsiedzie przezwany Piśtoletem, który był jedynym w osadzie żywym ucieleśnieniem władzy gminnej. Opowiedziawszy o swych perypetiach z Piśtoletem, ciotuleńka zadumała się nad czymś długo i westchnęła z głębi piersi.

Od jej głębokiego chuchu zerwał się aromatyczny wiaterek i zaszeleścił krzaczkiem łoży nie opodal którego siedzieliśmy. Nie raz byłem świadkiem cudów, jakich sprawczynią była ciotuleńka, ale tym razem chuch ciotczyzny przekroczył wszelkie granice. Zakotłowało się, zagwizdało, utworzyła się mała trąba powietrzna, która zaczęła wędrować po górkach jak zbłąkany słup Mojżesza, kędzierzawiąc łąki i zboża.

Ale ciotuleńka swoim zwyczajem nie przynajmniej się do żadnego udziału w cudownościach, lęknięła następny kuścyczek z niezniszczalnego kieliszka i z pełnym przekonaniem rzekła:

— Nastala już tobie pora przestać szwendać się po świecie. Gdzież ty już nie był? — tu zaczęła wyliczać wszystkie miasta jakie objechałem i obmieszkalem przez dwadzieścia przeszło lat, gdy ciotuleńka twardo zahaczyła się o Lipnisz aby tu pozostać.

*) opowiadanie z cyklu „Ciotuleńka”

— Teraz znów siedzisz w tym całym Trójmieście, siedzisz i czekasz Bóg wie na co. Przyjeżdżaj do mnie, tu też możesz skrobać te swoje książeczki. Dom tobie zapisze z sadem, aż po Czarną Rzeczkę! — kusiła ciotuleńka przewrotnie się uśmiechając, bo ciotuleńka była chitreńka i miała w tym jakąś swoją kalkulację, żeby tak mnie kusić nieustannie.

— Cóż ja będę robił w tych ciotczyńnych Lipnischach — rzekłem machinalnie przekręcając obrączkę, która raz była akurat na palec, a raz znów za luźna: w zależności od pory dnia i roku. — Nudno tu. Zimą błotnisto, wietrzno i ciemno, choć oko wykol.

Ciotuleńka aż zaniemówiła z tej zniewagi. I zamaszycie gestykulując zaczęła perorować:

— Patrzę ja na ciebie i nadziwić się nie mogę. Szukasz ty tam, gdzie znaleźć nie możesz. Patrzysz, kiedy trzeba słuchać, a znów nadstawiasz ucha, kiedy trzeba mieć oko otwarte. Tu człowiek każdy jak ten karasek na patelni: piszczy, skwierczy i nigdzie się nie schowa, a tobie nudno!

Na zamaszyste przywoływania ciotuleńki słup Mojżesza zboczył z rozgrzanego ugoru i boskie tchnienie koniczyny, macierzanki, kwitnących ziemniaków i słodkiej gryki owinęło nas jak trzepoczącym płaszczem uperfumowanej damy.

— Poszedł ty do lasu, ot durny! — zawołała ciotuleńka, której trąba powietrzna rozwinęła resztki soli, a obrane jajko cisnęła na ziemię.

I słup Mojżesza posłusznie powędrował do chłodnego lasu, czyniąc szumu wiele ale szkody żadnej. Mnie zaś w tym całym zamieszaniu obrączka ześlizgnęła się z palca i odmierzonymi skokami potoczyła się po niedużej pochyłości ugoru. Puściłem się w pogoni, ale złote kółko mignawszy złudnym blaskiem, znikło bez śladu. Trawa w tym miejscu była wypasiona przez łaciątą kozę uwiązaną do ciężkiego łań-

cucha; ziemia twarda, spieczona przez słońce; ani śladu mysiej, czy kreciej nory...

— Prawaliłaś skwoż ziamlù! — zdecydowała ciotuleńka czyniąc jakiś nieokreślony gest.

— Jakżesz tak można, przecie to ślubna! — zaprotestowałem, gdyż zabrzmiało to jak groźne zakłęcie.

— Jak była ślubna tak i będzie dalej. Nikt jej w tym nie przeszkodzi — mruknęła ciotuleńka spokojnie zwijając swój obrusik. I nic, ani cienia współczucia, czy pomocy, bo lewym okiem ciotuleńka widziała jak przez mikroskop, gdy prawe było dalekowzroczne i dostrzegało z paru kilometrów, czy Piśtolet jest pijany, czy tylko podchmielony troszkę.

Od tego czasu coś nieodpartego zaczęło ciągnąć mnie do Lipnisza. Jakbym przejrzał i w przysadzistej dziewce odkrył królową, albo w mętnych oczach Piśtoleta ujrzał odbłask nieba. Jakieś tajemne sprawy zaczęły się dziać na morenowych wzgórzach porośniętych omszałą sosenką; ze świerkowych borów ciągnęło odurzającym aromatem, a ze złotokórych sośniaków grzybną obietnicą. W jeziorach coś pluskało, w szuwarach coś krzyczało i nie pozwalało zmrużyć oka. Coś mi groziło wampirycznie i północnie, aby znów czarować akwarelowo i idyllicznie niby w pejzażach Brueghla przezwanego Aksamitnym.

— Nic to, synók — mówiła ciotka Ewelina przy następnym moim przyjeździe. — Jakiś dur na ciebie padł. Widać takie lata przyszli. Patrzaj, żeby drugiej żony nie zechciał szukać. A jak będziesz mądry tak i to przetrzymasz.

I sięgnawszy po kryształowy kieliszek चुचाła weń, żeby przetrzeć wiernego przyjaciela.

— Widzisz, nikt go nie stłucze, chyba, że sam pęknie. Ale wtedy w drobny mak. Tak czegoż tobie się bać? ■

Jak morska fala

Barbara Pisarek

Malutka i cała jasna z oddalenia, w niebieskich spodenkach i z białymi włosami, Zuzia patrzy w niebo. Tam kotłują się chmury ptasie. Zuzia sięga do kieszonki na piersiach i unosząc rączkę ku ptakom, przebiera paluszkami wyobrażone okruszki. Powtarza ten gest zapatrzonej w górę z takim skupieniem i zapaśmięciem, że spływają do jej bućków wszystkie gołębie świata.

W wietrzną pogodę na drodze z kościoła nagle słychać gwizd. Marszowa melodia narasta razem z radością, że przecież ją znam, że zaraz ją sobie przy-

pomnę. Oglądam się — to dwaj mali gwizdzą środkiem ulicy. Zasilam więc ich gwizd, gwizdźmy równo, mocno, jasno

W krąg przez cały świat

Duch mocą swą wieje,

W krąg przez cały świat

Jak rzekł prorok, tak dzieje się, Alleluja,

W krąg przez cały świat

Kroczy potężna rewolucja,

Boża chwała wznosi się do gwiazd,

Tak jak szum potężnych wód.

Piotruś w tym roku zdaje maturę, a trochę wcześniej zmajstrował dziecko. W szkole wykazywał coś w rodzaju rozchwiania systemu wartości. Z początku wozi synka trochę z lękiem, jakby nieustannie przygotowany do obrony. Paraliżują go podchodzący do wózka, szczególnie nauczyciele. Oglądałam dziecko, powiedziałam, podobny do ciebie. Lubisz go? Piotruś zatchnął się i wyrzucił w uroczystej radości — kocham!

Pewnie bym nie poszła, gdyby dziewczyny nie załatwiły za mnie wszystkich formalności — wpłaty, regulaminu, legitymacji. Patrzyłam na gromadzone za pasy plastrów, bandaży, talku, spirytusu i z ciężkim niedowierzaniem słuchałam gorących opowieści Miśki o tym, jak to było w zeszłym roku. Nieodparte skojarzenie z umęczeniem i surową pokutą nasuwało mi się od czasów, gdy widziałam szeregi pielgrzymów wędrujących do Kalwarii Wejherowskiej. Nad okurzonym orszakiem ciężko powiewały kościelne chorągwie i równie ciężko unosiły się monotonne pieśni. Było to dawno, w czasach, gdy bałam się Boga. Teraz więc nje chciałam iść, ta droga wydawała się bez wyjścia. Pakowałam plecak trochę z oporem i smutkiem. Zostawiałam przecież ją w strachu coraz bardziej szaleńczym, a zabierałam swoją oglupioną beznadzieję. Między tym stała Zuzia i karmiła swoje ptaki.

Oto jest dzień,
Oto jest dzień, który dał nam Pan,
który dał nam Pan,
Weselmy się,
Weselmy się i radujmy się nim
i radujmy się nim...

Jest następne gorące popołudnie, Toruń — miejsce zjazdu grup IV Pielgrzymki Pomorskiej na Jasną Górę. Po długim błądzeniu wśród osiedlowych bloków odszukujemy kawalerkę babci Łabęckiej, u której Miśka i Gieniuchna nocowały ubiegłego roku. Babcia czeka nas bardzo niespokojna, już od rana, a z nią zawinięta najpierw w gazety, po czym w pierzynę kasza gryczana. Błogosławiona kasza i kompot, którym zapijamy skwar. Towarzyszymy babci do wieczora, podlewamy malwy (piękne, pozwalają na moment zapomnieć, że to kamienne osiedle) i idziemy w miasto. W centrum tłoczno od pielgrzymów. Dają się rozpoznać natychmiast, ale to nie tylko kwestia stroju. Wypalam kilka papierosów. Nie wyobrażam sobie, jak to trzeba będzie nie palić, skoro dotąd brak papierosa budził mój atawizm. Przy punkcie informacyjnym zapraszamy na nocleg dziewczynę, która zgubiła grupę. Będzie nas szóstka, babcia się ucieszy. Wchodzimy do kościoła i dziewczyny udają się do spowiedzi. Oczekują, że też to zrobie. Jestem przerażona, że poszło im to tak łatwo i szybko. I przynębiona, że idę nie przygotowana do drogi. A co gorsza, nie widzę sposobu, żeby zruszyć te zastarzałe pokłady martwoty. Jestem z boku. Wra-

Szosta rano, właściwy pierwszy dzień pielgrzymki, szykuje się skwar. Zbieramy się na starym rynku wśród zabytkowych kamieniczek przy Najświętszej Marii Pannie. Patrzą na migocący, radosny tłum — jest tu, bo wyraził zgodę. Każdy na każdego. Zaczynam trochę myśleć — my, nas, z nami. Przez okłaski jak przez szumiące zboże przechodzi Grupa Lubawska i olsztyniaci, egzotyczni w swoich kapeluszach z wielkimi rondami, mają między sobą blisko osiemdziesięcioletniego weterana. Wśród okłasków pojawia się też grupa Kaszubów, którzy godnie prezen-tują rany nóg, bo idą od Swarzewa z hasłem „Sześć set kilometrów na Sześćsetlecie”. Dotąd nikt z nich nie odpadł. Są piękni — mają kaszubskie hafty na czapeczkach i chustach. Wyposażeni w te małe arcy-zdzieła kontemplacji i współuczestnictwa przypominają trochę zamierzchłych rycerzy. Śpiewają po kaszubsku swój hymn — Sianowska Mateńke. W sumie jest nas czternaście grup. Okaże się później, że około dwa-naście tysięcy osób, jak poda ksiądz Kardasz, kie-rownik pielgrzymki, przypominając jej historię: w rok po obraniu Karola Wojtyły na Papieża kiedy po-prosił On Polaków o modlitwę w Jego intencji, do Częstochowy ruszyło w Grupie Pomorskiej tysięcy pięćset osób. W następnych latach — trzy tysiące, siedem tysięcy i wreszcie dwanaście. Pierwotna ka-meralność i bliskość przerodziła się w ogrom spęda-jących sen z oczu organizatorów. Nad tłumami uno-szą się śpiewy — nie te tradycyjne, które mogą żyć tylko w murach, które jakby tracą ducha po opu-szczeniu kościoła, między drzewami i na słońcu. Cho-ciaż, przypominam sobie, że raz doświadczyłam, jak tradycyjne pieśni mogą żyć na ulicy. W czerwcowy dzień 1979 roku wracaliśmy ulicami Warszawy ze spotkania młodzieży studenckiej z Papieżem. Nagle zachciało nam się śpiewać na głos wszystkie znane pieśni. Mijaliśmy ludzi, którzy uśmiechali się do nas. Na początku szedł Szejk z krzyżem duszpasterstwa akademickiego. Całą noc przestał Szejk oparty na tym krzyżu w oczekiwaniu na spotkanie, do którego podszedł idący z naprzeciwka chłopak, ukląkł, uca-łował krzyż i odszedł pośpiesznie. Śpiewaliśmy więc z całej mocy, milicjanci kierowali ruchem, a w tym śpiewie rodziła się zdumiona sobą wolność. Te pie-sni, które słychać teraz, są jednak inne. Jak murzyń-skie godspellsy, pełne żywiołowej radości. Wprawiają ludzi w zachwycenie, które każe wyklaskiwać rytm dłońmi i tańczyć. Tak to wygląda — kościół wyszedł na ulicę i tańczy. Powoli skupiamy się wokół kościoła na mszę. Pierwsza wspólna modlitwa po tłumach piel-grzymów wydobywa się z kościoła i wypełnia miasto. Zalewa uliczki, otwiera drzwi i okna. Patrzą na to-ruńskie więzienie, stoi tuż przy Marii Pannie. Okna budynku są nie tylko okratowane, ale dodatkowo obi-te gęstą, ciemną siatką i od dołu zabezpieczone bla-cha, wystają jakby z blaszanych kieszeni. Śpiewamy do tych okien, powyżej kieszeni przyklejają się wid-mowe twarze i odpadają, przyklejają i odpadają. Jak-by wymieniali się lub pilnowały przed stróżem. Usu-wam się, ludzie idą do komunii. Po mszy skwar na-rasta, rośnie napięcie w oczekiwaniu na wymarsz. Zaczynamy się ustawiać i przez moment w tej po-tężnej gromadzie czuję bezdomność. Taką, na którą jest tylko jeden sposób — iść. Obok mnie śpiewają, więc ja też, w tym śpiewie przypatrujemy się sobie i dobieramy w szeregach. Torunianie są z nami i po-wtarzają słowa pieśni.

7

Tak to brzmi — echo pieśni jest potężniejsze niż sama pieśń. Zaczynamy szukać swoich spojrzeń i to jest niesamowite, że można tylu ludziom na raz patrzeć w oczy. To jesteśmy my-pielgrzymi. To jesteśmy my — zbity tłum żegnających. Wyciągający do siebie lub w górę ręce ze znakami. Kiedy mogę swobodnie wyrazić swoją intencję, to jeszcze nie jest wolność. Ale kiedy moja intencja znajduje otwarcie we wszystkich ludziach naokoło, kiedy nie napotyka w żadnym z nich na przeszkodę i krąży w nich i krąży we mnie, wypełnia ich mną tak jak oni mnie, kiedy przesywa nas jeden radosny wiatr, to wtedy jest wolność. Jest także pieśń-zabawa, może i megalomańska, ale przede wszystkim radosna. Pytamy trzy razy: „Czy wy wiecie, że jesteśmy świątynią?” i dodajemy: „Świątynią, w której mieszka Święty Duch!” Każdy mógł zaproponować nowy tekst, więc był i taki: „Czy wy wiecie, że jesteśmy z Pomorza, z Pomorza, w którym mieszka Święty Duch?”. Byliśmy więc nie z bliżej nieokreślonego Wybrzeża, ale z Pomorza, historycznej dzielnicy Polski. Ruszamy, tak wolno, jak wolno płynie pieśń

Pan kiedyś stanął na brzegu
Szukał ludzi gotowych pójść za Nim
By łowić serca słów Bożych prawdą
O Panie, to Ty na mnie spojrzałeś
Twoje usta dziś wyrzekły me imię
Swoją barkę pozostawiam na brzegu
Razem z Tobą nowy zaczne dziś łów

Radosny krajobraz mijanych twarzy ścisła gardło do granic wytrzymałości. Nie mogę nachlonać się oczami, zdaje się, że wiem, dokąd idę. Będą nas tak do samej Jasnej Góry wyprawiać łzami, mlekiem, kompotem, beczkami ogórków, chlebem i wszystkim, co się w biedzie uchowało, będziemy im do samego końca śpiewać pomimo ciężkiego zmęczenia. Wiedzie nas biskup Przykucki. Aż na rogatki, a raczej na toruński most. Idziemy nad rzeką, wysoko, dzwonią dzwony i trąbią klaskony samochodów na pożegnanie. Witac i mijać jest wspaniale, ale być z tyloma ludźmi nieustannie, to ciężko. Jeszcze depczemy sobie po piętach, objamy sobie boki. Jest nas dwa razy więcej niż w roku ubiegłym, a więc co najmniej połowa z nas idzie po raz pierwszy. Porządkowi trochę nerwowo pilnują dyscypliny w grupie, szosa jest ruchliwa, muszą robić najmniej trzy razy tak długą drogę jak nasza (A idziemy dziennie średnio 40 kilometrów). Na początku irytują, potem się uodparniamy. Wszystkie grupy są zmegafoinizowane i wyposażone w rozmaite instrumenty. Od początku więc zachylamy się radosnymi pieśniami, które fruną jedna za drugą. Nad każdą grupą unosi się pracowity, zmasowany brzęk gitarowych strun, jakby to pszczoły chwaliły Boga. Na szosie za Toruniem stoi samochód, obok kobieta i mężczyzna, na masce siedzi mały chłopczyk. Trzyma w górze rączkę i krzyczy: Matka Boska zwycięży! Idziemy przez las, przez łany suchej trawy pokładzonej od nóg pielgrzymów. Jest pierwszy postój. W lesie, oparty o drzewo Drzeżdżon. W czerwonej trykotowej koszulce, siwy i trochę bezzadnie zmęczony. Po posiłku nie wytrzymuję, wypalam w krzakach połówkę papierosa i brzydko o sobie myślę. Późnym popołudniem jesteśmy w Ostrowasie. Przed kościołkiem witają nas odświętnie ubrani mieszkańcy, orkiestra strażacko-kościelna z wojskowym szykiem i grochówką w żołnierskich kotłach. Cieszymy się bardzo. Wchodzimy do sanktuarium maryjnego, drugie takie chyba nie istnieje. Maria i Dzieciątko w srebrnych, wytwornych sukienkach, ale twarze mają tak pocieszne i rubaszne, jakby chcieli do wiernego oko puścić. Wspomniała otucha — mają poczucie humoru, a więc wszystko rozumieją. Nie może być inaczej. Przed koncelebrowaną mszą uczymy się, czego nam nie wolno — lodów, kąpiel w jeziorach i rzekach, oddalania się samowolnego od grupy, alkoholu i tytoniu. Pestka. Po mszy wlecemy swoje toboły na pierwszy nocleg. Idziemy zwiększoną grupą, od rana doszli do nas moi uczniowie — Darek i Jacek. Darek wyciszony, kojący, można przy nim milczeć, skupić się. Jacek odwrotnie, chorobliwie dowcipny. Są dzięki niemu momenty zabawne, ale często męczą. Na pierwszy nocleg docieramy bardzo zmęczeni. Po umyciu się i ukojeniu

nóg w chłodnej wodzie zapadam w siano. Łudziłam się, że przed snem jeszcze trochę przemyślę, ale zmogło mnie natychmiast. Tak głęboko nie spałam jeszcze w życiu.

Szosta rano, pierwsza msza na łące. Księża proszą o przystępowanie do spowiedzi. Ma się to odbywać jako rozmowa w trakcie marszu na końcu kolumny. Grupa pielgrzymów pięknie śpiewa podczas mszy. Wiem, że to musi być dzisiaj i jest mi bardzo zimno. Nie bardzo mam w pamięci początek tego dnia, wiem tyle, że chciałam rozmawiać z ojcem Bruno, skupionym franciszkaninem. Gdy jednak znalazłam się na końcu kolumny, szedł tam kto inny. Może to była Kościelna Wieś a może Osięciny, gdzie był ten kościółek w wysokim, starym parku. Nie wiem. Dotarłam do chłodnego wnętrza jeszcze w napięciu, które nie chciało spłynąć. Na ołtarzu stała kopia obrazu Czarnej Madonny, tej, do której szliśmy. Pod obrazem napis, jakby przypomniany tylko i wyłącznie na tę okazję — Oto Matka Twoja. Znowu ten ciepły wicher w kościele, przygarnął do siebie dwa słowa, matka i niewola, niósł odpowiedź tak olśniewająco jasną, jakby dawno była we mnie. Wychodzę na wielkie słońce. Dają zupę i kurczaki. Znalazłam swoich, no, i całkiem łatwo mówi się teraz siostrze, bratku. Ruszamy. Ojciec Bruno ma rekolekcje. Są codziennie w porządku dnia, tak jak niezmiennie odbywają się rano Godzinki, w południe Anioł Pański, po południu konferencje pielgrzymkowe i różaniec. Godzinki okazują się wspaniałym tekstem poetyckim, zadziwiająco misternym hołdem złożonym Matce Bożej, tak cyzelowanym jak hafty na ubiorach Kaszubów. Anioł Pański odmawialiśmy zawsze w intencji Papieża. Konferencje dotyczyły różnych tematów — od zagrożeń dla egzystencji narodu po umiejętność przebywanie z naturą. Różaniec dziwnie jednoczył grupy. Głośno odczytywane intencje i prośby ludzi uswiadamiły nam, kim jesteśmy i dokąd idziemy. Choroba, śmierć, lęk, ból, internowanie, to był wymiar, z którego unosiły się modlitwy. Jacek też pojmuje genialność „klepanej” zbiorowo modlitwy — na własnej skórze odczuwamy, jak pod jedno słowa każdy z nas wkłada własne treści a modlitwa nabiera mocy. W końcu wszyscy bardzo te modlitwy polubiliśmy. Teraz mówi ojciec Bruno. O konieczności modlitwy i o tym, że zapominamy, nie umiemy się modlić, wygasa w nas pierwotna żarliwość. Mówi, że prawdy często nie da się osiągnąć przez dociekania, można ją jedynie wymodlić, tak jak rozpacz można wypłakać i w jednej żarliwej chwili otrzymać odpowiedź. Odkrywa zapomniane, zmarniałe w nieustannym lęku i zmartwieniu prawdy. Modłę się za innych, a za siebie już nie potrafię. Spowiednik też znał drogę — kazał się modlić za siebie, do końca roku. Zdumiewająco radosna pokuta. Więc moje miejsce jest tu, chociaż często budzi się niepokój, tu, bo sama jestem słaba. Jakże mogę im pomóc, jeśli sobie nie potrafię. Zgubiłam w lesie harmozkę i chyba słusznie. Będę mogła się skupić. Obok dziewczyny tańczą do pieśni, która ma rytm karmanioli

Srebra i złota mi brak
Lecz to co mam to daję ci
W imię Pana Jezusa mego
Daj rękę powstań i chodź
I chodząc i skacząc wciąż Pana chwal
I chodząc i skacząc wciąż Pana chwal
Jezus Chrystus zbawię cię chce
Daj rękę powstań i chodź

Frunie jeszcze jedna piękna pieśń w tym rytmie: Błogosław duszo moja Pana. Same słowa budzą zdumienie. Więc i ja mam prawo błogosławić Pana, nie tylko On mnie, więc On też na coś czeka, jak człowiek, na miłość. Rozumiem Brandstaettera. — Bo niewiadome są losy człowieka, tylko wiadome jest zwycięstwo Boga. Nierówna szansa. Tym bardziej nierówna, im głębszy dramat. Im żarliwsza jest twoja modlitwa, tym więcej modlitw pożąda głodne i spragnione niebo. Niebo jest zawsze nienasycone. Okazuje się, że te słowa wcale nie są mroczne. Strasznie mnie bołą nogi. Po dwa platformy na jednej plus odbite stopy. Lezę ostatkiem sił na nocleg w Powalkowicach. Dziewczyny kochane pomagają mi wlec bambetle. Do końca będzie funkcjonować ta cudowna pra-

widlowość — kładę się z nogami odzieranymi ze skóry, wstaję z mocarnymi. Zasypiam z myślą, że jeszcze siebie nie mam, ale jest uspokojenie.

Szósta rano, ruszamy po mszy na łące. W południe docieramy do Izbicy Kujawskiej, gdzie mamy dłuższy postój. Znowu radość powitania, a potem park pełen wiader, baniek, kadzi z zupą i wspaniałe drożdżowe ciasto. Zresztą, o jedzeniu, powitaniach i pożegnaniach można by snuć epopeję. Przechodziliśmy jak szarańcza, maciliśmy studnie, pozostawialiśmy nieczystości, a ludzie otwierali nam swoje domy, im biedniejsi tym bardziej szczodrzy, wykładali na stołach i przy drogach jedzenie pieczołowicie i z troskliwością przygotowywane. Idziemy z Gieniuchną do zakładu fryzjerskiego umyć głowę. Zakład, nieczynny już, otwiera swoje podwoje dla pielgrzymów. Kotłujemy się tam radośnie, wszystko za darmo. Uczennica, młodzieńka dziewczyna wypada po wygodne buty, rusza z nami. Nogi moczymy gdzie indziej. Trafiam na znajomych z czasów studenckich. Padamy sobie w ramiona, chwila, rozmowy o życiu, potem już się w tym tłumie nie odnajdziemy. Ruszamy wzdłuż niskich, parterowych domków, tworzących wraz z dziesiątkami przyrośniętych do podwórek przybudówek miniaturowe gospodarstwa. Jest tu ubogo i przytulnie, żegnamy ludzi najradośniejszymi pieśniami. Potem, już na trasie

Od świtu aż po zmierzch
Chwalić będę imię Twe
Bo potężne i godne chwały imię Twe
Uwielbiam wywyższam
Ręce swe wznoszę
Od świtu aż po zmierzch

Ręce raz podniesione pragną tkwić w górze nieustannie. Wyzwolona radość, że umiemy wielbić bez skrupowania, ochotnie. Tysiące rąk w górze i moje wśród nich. Wchodzimy do Brodowa, ludzie płaczą. Wybieramy nocleg w ogrodzie starszego małżeństwa. Jest skwar, u nich tylko mały pokój, więc gospodarz rozkłada nam dywan pod orzechem. W cieniu drzewa stoi zbita z desek stół i ławki, tu urządzamy prośną kolację. Goszczą u nas także dwaj namiotowicze z podwórka, ojciec z synkiem. Pani gospodyni wynosi z domu coraz nowe wiktuały, obżeramy się nieprzyzwoicie. Czeka na nas wielka wanna w ogródku. Wlecemy jeszcze wodę z ulicznej pompy, ale jest coraz bardziej zmacona. Już wcześniej, na trasie słyszeliśmy, że będą coraz większe kłopoty z wodą. Przechodząc tak przez pół Polski widzimy dopiero ogrom zaniedbań, całe wielkie wsie i małe miasteczka nie skanalizowane. Po kolacji i myciu idziemy do sanktuarium ojców paulinów: Madonna jest bardzo zwiewna. Ojciec paulin opowiada nam o cudach tego kościółka. Potem wychodzimy, radośnie nawołują nas pielgrzymi spoczywający też na dywanach, perskich, tyle że na dachu garażu. Z jednego z domów małżeństwo z synem wynosi się na noc do samochodu, a całe mieszkanie udostępnia pielgrzymom. Późnym wieczorem wypalam w tapetowanym kibelku jednego papierosa. Bardzo mi smakuje. Pakujemy się w ry i zapadamy w sen niezłomny.

Rano msza przy klasztorze. Dla wszystkich grup, jest bardzo uroczyście. Znowu wszyscy wznosimy ręce do nieba w dostojnej pieśni

Święty, Święty, Święty, Święty
Święty, Święty, Pan Bóg zastępów
Dziś wznosimy nasze ręce
Uwielbiając miłość Twą
Święty, Święty, Święty, Święty

Idziemy w skwar. Ojciec Bruno gra na akordeonie i śpiewa pieśni pełne skupienia. Te lubi. We Wrzającej Wielkiej obiad z pompą, gospodarze ładują pielgrzymów na przyczepy i wywożą na posiłek. Niektórzy przewidzieli obiad na dziesięć osób, a nakarmili trzydzieści. Stwierdzamy, że jednak trochę nam ścisnęło żołądki. Odpoczywamy w wielkim lesie. Ktoś tam gra na skrzypcach Ave Maria, na to nakłada się murzyńska pieśń religijna, budząca mnóstwo uciechy, każdy chwali jak może. Obok nas w lesie siada ten brat, który w ubiegłym roku wpadł w szok i straszliwie wyzywał. Teraz siedzi skupiony. Patrzymy z niepokojem, trochę węższym prowokację, w końcu sytuacja



Fot. A. Klejna

cja nie jest codzienna. Ale nie, ten pójdzie do końca spokojny. Dalej w lesie śpiewają — A miłość po błocie chodzi, ludzie często jej pluja w twarz, nie myśli swego dochodzić, bo fantazję większą ma. W Grzegorzewie wchodzimy na podwórko porośnięte młodą trawą, która cudownie chłodzi stopy, jemy chleb ze smalcem, moczymy nogi i lenimy się wśród dobrych ludzi. Wypadam na ostatnią minutę i okazuje się, że zostawiłam małego Tissota, prezent od ojca. Nie chce mi się wracać, kilkakrotnie gdzieś go zapodziałam, w końcu zostawiony definitywnie. Coś trzeba zostawić. Każdy z nas ma już po bablu lub kilka, ja mam od Beaty zapasowe sandały z wkładką. Gdyby nie one, chyba bym nie doszła. Patrę na nogi innych. W dziwnie powycinanych pepegach, laczkach, samych skarpetach, papciach robionych na drutach, nawet boso. U wielu wystąpiło uczucie od asfaltu, rozogniona wysypka na całych nogach. Przed snem udajemy się do punktu sanitarnego. Pomagają jak mogą. Poddajemy się masażystom, wielka ulga. Zasypiamy w olbrzymim stogu siana.

Po rannej mszy na trawie idziemy z Dąbą do Zadzimia. Po drodze moczą nas wodą z sikawek ustawionych w szpaler. Śpiewamy Chmalmy Pana w Jego świątyni, Wy jesteście na ziemi światłem mym. Ojciec Bruno opowiada o świętym Franciszku i jego pojmowaniu świata. Słuchamy, jak to Franciszek nawoływał zbójców w lesie „bracia łotrzykowie!”. Tak nam się to podoba, że panom kierującym ruchem samochodowym, których własne samochody stojące na poboczu obsypane są kwiatami, mówimy...

Idziemy coraz sprawniej, w coraz większej dyscyplinie. Ona wynika po prostu z lubienia się. Nocujemy w stodole. Kapiemy się od stóp do głów w ciepłej wodzie, gospodarz znosi nam skrzynki z jabłkami, gospodyni zaprasza do kuchni. Jest kana mleka, herbaty w tych stronach brak od dłuższego czasu, jest chleb ze smalcem, kiszonym ogórkiem i pomidorem. Jest głodna opowieści rodzinna, rozmawiamy do późna w nocy.

Po rannej mszy ruszamy do Piasków. To dziwne, ale nikt z nas nie pamięta nazwy tej miejscowości, w której zgotowano nam najwspanialsze powitanie. Mogła to być Rossoszyca, a równie dobrze Męka Księża. Schodziliśmy w dół, ku rynkowi, a nasze pieśni grzmiały radośnie wśród tłumów. Stanęliśmy na rynku, w parku stał mały sta-

ruszek, trzymał się kurczowo teczki i szlochał, wycofał się za drzewo. Nie wytrzymałam, pobiegłam tam. Wokoło wszędzie nawoływania, proszą dwunastu na obiad, dziesięciu na obiad, dwudziestu na obiad. Gdy już siedzimy w parku na trawie, podchodzi inny starsuszek i oznajmia, że w sklepach są słodczyce, specjalnie dla nas i że mamy iść. Rzeczywiście, objdamy się groszkiem i landrynkami. Idę po herbatę, w małym mieszkaniu tłok, przed lustrem goli się weteran grupy olsztyniaków i śpiewa. Ruszamy dalej, podczas różańca zaczyna się burza. Idzie się wspaniale.

W Piaskach mamy nocleg w stodole. U gospodarzy bardzo ubogo, a nieustannie krzątają się wokół nas. Późno wieczorem myje się za stodołą. W sąsiednim gospodarstwie grupa oazowa żegna dzień. Śpiewają bardzo pięknie Panience na dobranoc i Apel Jasno-górski, przez moment chcę mi się dołączyć do nich, ale zostaje, przed oczami mam wspaniałe długie pole obsadzone wzdłuż jablonkami.

Msza na rosie i udajemy się do Szczercowa. Po drodze wysyłamy specjalne, pielgrzymkowe kartki, ale okazuje się później, że nie wszystkie dochodzą. Gdzieś wcześniej organizatorzy ustawili nas w ośmio-osobowe kolumny i sprawdzali legitymacje, teraz, w Szczercowie, nastąpił chyba dalszy ciąg tej historii. Zobaczyliśmy go, jak z chlebakiem przewieszonym przez ramię, z pętem w kacie ust zataczał się i pozdrawiał ludzi znakiem. Nie robił tego w tłumie pielgrzymów lecz nieco na uboczu, jednocześnie jakby pilnie nas obserwował. Staliśmy porażeni i zupełnie bezradni, przecież to był jeden z nas. Z wolna docierało do nas, że tak wygląda właśnie to, przed czym nas uprzedzano. W końcu wymyśliliśmy, że idę na plebanie. Upłynęło sporo czasu, zanim dotarłam do księdza Kardasza. Szykował się na konferencję i odpowiedział, że ten chłopak nie jest pierwszy i nie ostatni i na to nie ma rady. Wyszłam jak z biura i żalowałam, że nie było ojca Bruna. Chłopak siedział teraz pod kioskiem, wyciągał rękę i kiwał się. Coś tam powiedziałam, gdy kładłam mu rękę na głowie, miałeś bardzo szorstkie te włosy. Gdy się jeszcze odwróciłam, siedział tak samo, tylko trochę bardziej skulony, z opuszczoną głową. Kucnęłam przy nim i spytałam, dlaczego to robisz, powiedziałeś, pamiętasz, a ja tego nie mogłam zrozumieć, choć to było całkiem proste i do przewidzenia. Spytałam, co oni ci zrobili, jak cię zdołali nakłonić, uśmiechał się, był całkowicie trzeźwy a każde zdanie wydobywał z oporem. Więc mówiłam ci tamto wszystko, aż powiedziałeś, pamiętasz — wiem, ja chcę do braci. Takie ciężkie wzruszenie jak kamień spadło i leżało przy nas. Tymczasem był usunięty z grupy, nie chciał powiedzieć za co, nie chciał iść do spowiedzi, miałeś zbyt mało czasu, wiem. Więc choć bałam się tego pytania, ale czy będziesz to robił dalej, spytałam. Nie, strzeliłeś radośnie i wtulił się ze śmiechem. Potem wzięłam tego pączka, z którym przyszli wcześniej Darek i Jacek, i poszli, dzieliłeś go między nas. I pocałowałeś mnie. To była nasza komunia, pamiętaj. No, i nie bardzo wiedziałam, co z tobą zrobić. Chciałeś już tylko iść. Więc z tym, co miałeś w środku, z tą gmatwaniną perfidnego dziecka i bezradnego Judasza siedłeś zagubiony wśród braci, na Jasną Górę. Jeszcze pokiwaliśmy sobie. Wlokliśmy się na nocleg i Miśka nie mogła zrozumieć, dlaczego on robił TO jeszcze po wyrzuceniu z grupy. Powiedziałam jej, że płakałeś. Tego dnia jeszcze natchniony krawiec wyłapał z radia informację, że ktoś z pielgrzymki, z innej grupy musi wrócić do domu, zapisuje mi nazwisko, na czymś pożyczonym rowerze jadę powiadomić opiekunów tamtej grupy. Już wiedza. Myjemy się na małym podwórku, wcześniej z synem gospodarzy przesypujemy ziarno. Gospodyni, bardzo zmęczona, biedna, prawie śpiąc na stojąco gotuje nam hektolitry wody. Spimy w małżeńskim łóżku gospodarzy, w poprzek. Nie mogę zasnąć, nasłuchuję pieśni, którą śpiewał w sanktuarium brodac z gitarą, Miłuję Jezusa, nie mogę zasnąć.

Na mszę zbieramy się przy kościele dwunastotyściężnym tłumem. Choć jest bardzo wcześnie, mieszkańcy są z nami, gospodyni stoi wśród nas urzeczona innością mszy. Gdy wznosi ręce, uśmiecha się. Gdzieś

w tym tłumie, między popłochem a uniesieniem gubi się mały. Po tej nocy mogłabym zrobić dla niego więcej, tak czuję, ale już go nie odnajdę. Ruszamy do Nowej Brzeźnicy. Na krótko goszczą w naszej grupie klerycy pelplińscy i uczą nas nowych pieśni. Tę jedną, przy której wyrzucamy ręce w górę i nasładowujemy ruch fal, chciałabym śpiewać jeszcze sto razy

Jak morska fala kiedy wicher dmie
Miłość Chrystusowa ogarnęła mnie

ale klerycy muszą ruszać do swoich. Po drodze szukamy materiału na krzyż. Wszystkie zostaną w Częstochowie poświęcone, a najpiękniejsze podarowane rodzinom internowanych. Rodzą się ze wszystkiego. Brat Chrześcijanin Od Nici niesie krzyż z drzewa cierniowego, chyba z akacji, Brat Hippies ma z zielonej trzciny, Brat Od Szoku sporządził krzyż z lnu i zboża. Żałuję krągłych ostów o błękitnych łodygach i liściach, które deptaliśmy na pierwszych etapach pielgrzymki. Krzyż z nich byłby przepiękny. Na nocleg przybywamy bardzo późno, długo się myjemy (trzeba czekać, w studni prawie zaschło), więc nie idziemy na wieczór pojednania. Mam całe naręcz roślin, ale w końcu i tak wszystko rozdaje. Moczę nogi i robię krzyżyk biały, z gronem czerwonej jarzębiny i kłosem żyta. Miśka, bardzo przejęta, kończy swój krzyż już po ciemku. Okazuje się przepiękny, trochę naiwny w proporcjach opartych na kwadracie, wiązany z lnu i przetykany bladymi kwiatami ostu. Gdzieś w mroku słysząc pieśń konfederatów barskich

Nigdy z królami nie będziem w aliansach
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi
Bo u Chrystusa my na ordynansach
Śludzy Maryi

Już w sianie, jak przez mgłę zdaje sobie sprawę, że od kilku dni nie pamiętam o paleniu.

Wstajemy o czwartej rano, pięknie się ubieramy, dziś będziemy na Jasnej Górze. Wyobrażam sobie, że mały też bardzo się cieszy. Na trasie pozdrawiamy wszystkich pieśnią:

Tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym
znakiem
Polska jest Polską, a Polak Polakiem

Witający na trasie chłona skamieniała, my sami nie przeczuwaliśmy, że ta pieśń będzie wciąż na nowo przebiegać po nas dreszczem. Tuż przed Częstochową dochodzi do nas ojciec Janusz z Łęborka, ubiegłoroczny ulubieniec pielgrzymów. Rubaszny franciszkanin, współautor kaszubskiej szopki noworocznej witany jest z radością. Niemal równocześnie zaczyna krążyć nad nami helikopter. Sprawdza stan tych rzek toczących się wszystkimi drogami, o cyfrach od dawna dochodziły nas legendy. Wieże klasztoru wskazują nam drogę już na wiele kilometrów przed Jasną Górą. W mieście nie kończące się szpalery witających. Mijamy gmachy urzędów i służb, wszędzie za firankami widać postacie, pozdrawiamy je krzyżami i znakiem. W tłumie Murzyn cały w nabożnym zdumieniu kiwa głową i wypatruje oczy. Gdy łagodnym stokiem wspinamy się w stronę klasztoru, niebo wita nas kilkoma grzmotami i rześistym, ciepłym deszczem. Cieszymy się jak dzieci. W klasztornych murach mam wrażenie, że droga do kaplicy się nie skończy. Jest. Grupy kolejno oddają Jej hołd, ale tłum jest tak zbity, że nie mogą Jej dojrzeć. Twarz ma ciemną jak tajemnica. Tylko vota dziękczynne rzucają blaski, spływając rzekami po ścianach. Jeszcze nie sposób Ją prosić. Udajemy się do sióstr Nazaretanek, spać będziemy na strychu, klasztor wypełniony jest po brzegi. Myjemy się w gorącej wodzie, potem na dziedzińcu, przy stołach ustawionych pod drzewami spożywamy poczęstunek. Siostra Agnieszka otrzymuje od Miśki krzyż wiązany z lnu. Wieczorem idziemy na uroczystą, koncelebrowaną mszę na wałach. Pokrywamy wały jak trawa. Biskup Przykucki wita pielgrzymów, cieszy się z tego ogromu młodych. Po Apelu Jasno-górskim udajemy się na czuwanie do kaplicy. Wprawdzie każda grupa ma wy-

znaczone godziny czuwania, ale i tak jest zwarty tłum. Na dziedzińcu, na gołej posadzce, na schodach śpią młodzi w dżinsach, śpiący pielgrzymi zalewają piętro klasztoru, nawet konfesjonały są wypełnione: To jest taki sen jak wyraz największego zawierzenia — jestem bardzo zmęczony, chcę zasnąć przy Tobie. Ty czuwaj nade mną. Ci mocni śpiewają i śpiew wypełnia cały klasztor. Też czuję wielkie znużenie, ale wiem już najważniejsze — cud nie dokonuje się bez człowieka. Trzeba Jej pomóc. Bardzo pragnę zobaczyć z bliska Jej twarz, ale to jest niemożliwe. Więc jeszcze tu będę przychodzić.

Od następnego rana przypatrujemy się innym grupom. Godzinami przychodzą pielgrzymi z Warszawy, ich grupa to ogrom. Idą harcerze, kolorowa grupa łowiczian, młode małżeństwa z małymi dziećmi. Wszyscy mówią nieustannie różnicę na znak żałoby. Nikt nie śpiewa. Ponieważ jest to grupa wielonar-

dowościowa, modlitwa wznosi się w kilku językach jednocześnie. Witamy ich znakiem, podajemy sobie ręce. Poznają po emblematkach, że jesteśmy z Pomorza, kochają nas. Przechodzą grupy z wszystkich rejonów Polski. Nie ma im końca.

W nocnym pociągu do Gdańska leżymy śledziem na korytarzu, bardzo znużeni. Podnoszę powieki, widzę jak stoisz w przejściu między wagonami, wiatr cię omiata, masz czystą koszulkę z krótkimi rękawami. Jesteś bardzo jasny i wpatrujesz się w moją twarz, marzniesz. Jesteś tak piękny, że muszę zamknąć oczy. Wiem, stoisz tam jeszcze trochę i znikasz gdzieś za Bydgoszczą. Znowu rozglądam się po tłumie. Pamiętaj, jesteś bardzo piękny.

W domu, przy stole, opowiadam wczesnym rankiem, jak było. Potruś, mój brat pali sporty, ja nie czuję wcale dymu. Opowiadam i tęsknię.

Tadeusz Bolduan (— — —) Art. 2, p. 1 Ust. z 31.07.1981 r. o kontr. publik. i widowisk. Dz.U. nr 20 poz. 99; zmiana 1.08.1983 r.

Tyle różnych zajęć

Ze Stefanem Fikusem rozmawia Stanisław Janke

— Zadebiutował pan w „Kaszëbach” „Gódką o rëbokach” — było to w roku 1961. A w ogóle za pióro chwycił pan znacznie wcześniej. Neureiter pisze, że w czasie wojny, gdy przebywał pan w niewoli niemieckiej.

— Pisać zacząłem już w dzieciństwie. Odcinałem marginesy ze swoich zeszytów i rysowałem na nich różne zasłyszane wydarzenia, a pod każdym obrazkiem zamieszczałem krótki opis. Do ojca przychodzili różni ludzie, nie raz przysłuchiwałem się ich gadkom o wojnie, o streszkach, więc było o czym pisać. Na szczęście marginesy w moich zeszytach były dość czyste. Niektórym szkolny pisał na nich uwagi czerwonym atramentem.

— Czy ma pan jeszcze te szkolne zapiski?

— Zaginęły mi w czasie wojny. Miałem spore stosy tych papierowych tasemek.

— A jak pan pisał w obozie jenieckim? Czy był w ogóle na to czas?

— Najczęściej pisałem w niedzielę, wtedy nie pracowaliśmy. Niekiedy wieczorami, po pracy. Miałem dwa zeszyty z tymi samymi zapiskami i ukrywałem je w dwóch różnych miejscach. Napisałem tam nie tylko pamiętnik, ale także powieść i cztery sztuki sceniczne.

— I nie bał się pan konsekwencji?

— Wówczas nie. Dopiero po wojnie zdałem sobie sprawę z tego, co by było gdyby Niemcy dowiedzieli się o moim pisaniu.

— Czy już wtedy pisał pan po kaszubsku?

— Jeszcze nie. Po kaszubsku zacząłem pisać dopiero za namową Leona Roppla. Obaj działaliśmy w PAX-ie. Kiedyś był w oddziale tego stowarzyszenia w Lęborku i tam się spotkaliśmy.

— Po wojnie był pan korespondentem kilku czasopism.

— Pisałem do „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, do „Słowa Powszechnego”, „Sygnałów”, „Zielonej Drogi”, „WTK”. Teraz też piszę do niektórych gazet, ale bardzo rzadko.

— I już wtedy, zaraz po wojnie, kontynuował pan próby literackie.

— Tak. Zacząłem pisać opowiadania, powieści, wiersze, sztuki sceniczne.

— Wiele z tych rzeczy dotyczy Luzina, gdzie się pan urodził i spędził dzieciństwo.

— Napisałem monografię tej wsi, „Luzińskie gadki”, powieść „Trzy pokolenia”, sztukę sceniczną „Gwiôdzka z Lëzena”.

— A teraz mieszka pan w Lęborku. Mniemam, że na temat tego miasta też pan coś napisał.

— Spisałem legendy i bajki z ziemi lęborskiej, wcześniej napisałem „Wander po Zëmi Lëborskiej”, na XXX-lecie PRL opracowałem „Historię węzła kolejowego w Lęborku”.

— No właśnie. Przez długie lata był pan kolejarzem. Stanisław Pestka w referacie „Stan i perspektywy pamiętnikarstwa na Pomorzu” wymienił pański „Pamiętnik kolejarza”.

— Pracę kolejarzy opisałem także w krótkich sztukach scenicznych „Obarchniałi jada”, „Odprawa banniewców”, z tego tematu jest też opracowanie „Kolejnictwo w Lęborku”.

— Wiem, że interesuje się pan historią Kaszub i Pomorza. Czy na ten temat również pan pisał?

— Napisałem trzytomową powieść historyczną, liczącą 850 stron, której akcja zaczyna się za czasów księcia Mestwina (od 1270 roku), a kończy na czasach współczesnych.

— Z ankiety rozpisanej przez „Pomeranię” w roku 1978 dowiedziałem się, że zaczął pan pracować nad powieścią o zniszczeniu Łeby przez jeden z największych sztormów na Bałtyku w latach 1557—1558. Czy już pan ukończył tę rzecz?

— Jeszcze nie. Chociaż już jestem na emeryturze, mam tyle różnych zajęć, że nie wiem za co się chwycić.

— Na początku rozmowy wspominał pan, że w dzieciństwie lubił pan rysować. Teraz przyglądam się obrazom, które wiszą w tym pokoju i podejrzuwam, że to pańskie malarstwo.

— Tak. Namalowałem wiele obrazów, ale z braku miejsca musiałem je umieścić na strychu. Sporo się przez to zniszczyło, bo tam jest niestała temperatura... Znam się trochę na majowaniu, bo ukończyłem w Lęborku dwuletni kurs malarstwa i rzeźby.

— Z pańskiego życiorysu wyczytałem, że w roku 1938 wstąpił pan jako ochotnik do orkiestry Pułku Ułanów Wielkopolskich. Czyżby znaczyło to, że ma pan także smykałkę do muzyki?

— Moja przygoda z muzyką zaczęła się jeszcze w Luzinie w roku 1935, gdy miałem 15 lat. W Luzinie istniała wtedy rywalizacja pomiędzy Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży a pilsudczykowski Związkiem Strzeleckim, a ściślej pomiędzy proboszczem a komendantem tego związku. Mówiło się wówczas, że najmocniejszą stroną każdego stowarzyszenia jest orkiestra. Związek Strzelecki ją miał. Więc proboszcz w Stowarzyszeniu Młodzieży też chciał mieć orkiestrę. Ludzie mówili: Fikus jest taki zdolny do wszystkiego, niech więc on ją zorganizuje. I zostałem kapelmistrzem, a proboszcz dał na początek 28 złotych. Było sześciu chętnych, ale nie mieliśmy instrumentów. Chodziłem nawet pieszo, zimą, do Gdyni żeby zakupić jakiś tani instrument. W końcu udało nam się pozierać kilka używanych instrumentów. Z początku to ćwiczyliśmy i płakaliśmy, bo nam nie szło. Potem, gdy na prośbę proboszcza Augustyn Bacha i Zygfryd Elwart poduczyli nas nut, było już znacznie lepiej. Po raz pierwszy zagraliśmy 3 maja na defiladzie.

— I później zgłosił się pan do orkiestry wojskowej?

— Gdy skończyłem szkołę zacząłem pracować w fabryce mebli w Gościcinie. Potem zwalniano robotników z powodu braku pracy, pozostawiono tylko żywicieli rodzin. Ja też poszedłem na bruk. Szukałem pracy. I wtedy, gdy wojsko polskie stacjonowało w Luzinie, zgłosiłem się na ochotnika. Rodzice nie bardzo chcieli się zgodzić, ale ja uparcie stałem na swoim, bo zawsze marzyłem o służbie w wojsku. I dopiąłem swego.

— Wróćmy do pańskiego pisarstwa. W ubiegłym roku ukazała się nakładem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego pana książka „Pojmeńnicze”. Jak dotychczas jest to jedyna publikacja zwarta w pańskim dorobku. W stosunku do tego co pan napisał jest to niewiele. Czy to nie zniechęca?

— Dla mnie druk nie jest najważniejszą sprawą. Piszę dla siebie i dla przyszłych historyków, bo wszystko opieram na faktach autentycznych. Bardzo wiele moich prac złożyłem w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

— A nie próbował pan posłużyć się fikcją?

— Kiedyś chciałem napisać kryminał, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Ja się źle czuję we fikcji, nie umiem fantazjować.

— Jak patrzy rodzina na te pańskie zainteresowania?

— Żona to mi z początku wymawiała, że marnuję tylko papier, i że powinienem zająć się czymś bardziej konkretnym. Dzieci się tym nie interesują. Zadane nie poszło w moje ślady. Ich bardziej pasjonuje technika.

— A pan jest technikiem kolejowym i interesuje

się humanistyką... Czy rodzice również byli niechętni niezwykłym zainteresowaniom syna?

— Ojciec mnie pochwalał, mówił, że chętnie też by pisał. Czasami jednak rodzice mi przygadywali, że za dużo czytam, że nie wiadomo co ze mnie wyrośnie. Oni mieli bardzo dobrą pamięć i od nich wiele się dowiedziałem o przeszłości Luzina i o moich przodkach. Zresztą ojciec prenumerował wiele czasopism, „Gazetę Grudziądzką”, której był przez wiele lat kolporterem, „Przewodnik Katolicki”, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Mały Dziennik”... Gdy pracowałem na kolei śladów przeszłości. Moi koledzy wybierałem się na miejscowe cmentarze i do kościołów. Szukałem tam śladów przeszłości. Moi koledzy tymczasem albo grali w karty, albo odpoczywali... Niektórzy ludzie bardzo wiele przeżyli i mogliby napisać ciekawe wspomnienia, ale nie robią tego. Mój znajomy z Kębłowa przeżył dużo w czasie ostatniej wojny, ale powiedział, że wolałby torf kopać niż pisać o tym. I ja to zrobiłem za niego pisząc opowiadania „Wojazę kaszubskie rezerwisty Bernarda Bizewskiego”.

— Zdaje sobie sprawę, że w tej rozmowie nie wymienił pan wszystkich swoich prób literackich. Czy ma pan jakieś plany na przyszłość?

— Na razie robię to co dzień niesie. Teraz jestem zajęty organizowaniem przedstawień mojej pasji wielkopostnej „Za Judaszów strzébni”. Jeżdżę z całym zespołem teatralnym. Głównie wystawiamy tę sztukę w kościołach. W Kościerzynie przyjęto nas w domu kultury, ale tam była mała frekwencja, mimo że rozwieszono ogłoszenia. Ludzie jednak wolą oglądać tę sztukę w świątyniach.

— To misterium wyreżyserował o. Janusz Jedryszek, tutejszy franciszkanin. On także aktywnie wspomaga działalność waszego oddziału Zrzeszenia, jest zapalonym miłośnikiem kaszubszczyzny. Jak doszło do waszej współpracy?

— O. Janusz nie jest Pomorzanie, ale jego matka wywodzi się z Czapiewskich z Kiełpina. Słyszał coś nieco o naszym Zrzeszeniu i kiedyś sam przyszedł do mnie.

— Na pewno jeszcze niejedno usłyszymy o inicjatywach zrodzonych z waszej współpracy?

— To chyba będzie niemożliwe. O. Janusz należy do zakonu, który zmienia miejsca swojego pobytu. I tak już przedłużył sobie pobyt w Lęborku.

— Czyli znowu wszystko będzie spoczywało na panu. A tymczasem czy nie ma wśród młodych ludzi z zespołu teatralnego takiej osoby, która by się zajęła organizowaniem tych wędrownych spektakli?

— Oni mówią, że bardzo chętnie grają w tej sztuce, ale nie chcą mieć nic wspólnego z pozostałymi sprawami. Teraz jest taki czas, że ludzie nie mają ani chęci ani zaufania do pracy społecznej.

— Prezesuje pan Oddziałowi Lęborskiemu. Czy tam ma pan te same kłopoty?

— Właściwie tak. Wszystko jest na mojej głowie, bo jestem i prezesem, i sekretarzem, i redaguję nasz biuletyn. Ale najważniejsze, że ludzie chcą być w naszym Zrzeszeniu. Myślę, że jakoś to będzie. Obym tylko długo pożył.

Po nas tylko atom

Edmund Szczesiak

Był taki, który przewidział. Jeszcze przed pierwszą wojną sprzedał gospodarstwo, a żegnając się z sąsiadami wypowiedział te złowieszcze słowa: „Kartoszy-
no zginie!”

Słyszał je Jan Pokrywka, urodzony w pierwszym roku naszego stulecia. — Tak on rzeknął — zapew-
nia i podaje nazwisko, szczegóły, jakby chciał nimi
dowieść, że nie jest to jeszcze jedna legenda, w któ-
rej okolica wyjątkowo zasobna.

Blisko stąd do Góry Zamkowej, nie tylko wynie-
sionej najwyżej na całych północnych Kaszubach, ale
i najbardziej tajemniczej. Widać ją z podwórzka, na
którym rozmawiamy. Wyrasta garbem z długiego
wzniesienia, towarzyszącego jezioru wzdłuż wschod-
niego brzegu. Góra ciemna od drzew, ze śladami po
grodzisku, resztkami murów i fos na wierzchołku,
panuje nad wsią i wyobraźnią, która wypełniła jej
wnętrza zapadłym zamkiem, uśpionymi rycerzami i
księżniczką czekającą na wybawienie. Bliżej Star-
żówka z lysym szczytem ulubionym przez stolemów.
Jezioro Żarnowieckie, którego długa rynna bierze po-
czątek nie opodal wsi, też skrywa niejedną zagadkę.
Są na jego dnie zatopione skarby. Na przeciwległym
brzegu, obramowanym drugim pasmem wzgórz, leżą
na zboczach wielkie kamienie, o których mówią, że
są grobami dawnych olbrzymów. Taka to okolica:
gdzie nie spojrzeć wzrok ociera się o tajemnice.

Zna je Pokrywka, bo opowiadano o nich wieczo-
rami, zna i oddziela od przepowiedni o zagładzie.

— To nie bajka — przekonuje i otacza zapewnie-
nie konkretami.

Więc ten, który przewidział, nazywał się Pliński.
Sprzedał ziemię miejscowym, kupiło ją sześciu bez-
rolnych i małorolnych, po kawałku, on sam nato-
miast wyprowadził się do oddalonego tylko o 6 kilo-
metrów Żarnowca; tam nabył nowe gospodarstwo,
które prowadzi teraz jego wnuk.

Pliński był pierwszym, dokąd sięgano pamięcią,
który odważył się sprzedać ojcowiznę. Tym większe
zdumienie we wsi i zainteresowanie przyczynami
opuszczenia Kartoszyzna. A ponieważ trudno było do-
szukać się innego powodu poza tym, który sam po-
dał, słowa przestrogi mocno i na długo zapadły w pa-
mięci.

Sprawdzają się teraz, po wielu latach — Karto-
szyno ginie.

— Po nas ostatnie tu le atom — powiada Pokryw-
ka, głosem zdumiewająco spokojnym.

O atomie, który przyniesie zagładę, usłyszeli przed
dziesięć laty. Wtedy to, wiosną 1973 roku, przeby-
wał w Kartoszynie socjolog i stał się mimowolnym
świadkiem, jak przyjęto wyrok wydany na wieś. Mi-
mowolnym, gdyż nie zjawiał się po to, aby zarejestro-
wać reakcję na wieść o zagrożeniu, ale z zupełnie
innych powodów.

Socjolog zamierzał przeprowadzić badania świad-
omości społecznej rolników. Jak patrzeć na życie ro-
dzinne, sąsiedzkie, na miasto, na pracę rolnika i in-
ne zawody, jakie wzorce są im bliskie, jakie odrzu-
cają, jakie są ich poglądy na sprawy bardziej ogól-

ne. Chciał zwłaszcza sprawdzić, jak ta świadomość
zmienia się w miarę, gdy zmniejsza się odosobnie-
nie wsi, wzrasta liczba ludzi z zewnątrz, zwiększa
ilość rodzin, dla których źródłem utrzymania prze-
staje być praca na roli. Szukał wsi, które można by
porównać — od czysto rolniczej po taką, w której
opnad połowa rodzin utrzymuje się z innych niż
rolnicze źródła. Starał się tak je dobrać, aby znaj-
dowały się w pobliżu, na obszarze jednolitym histo-
rycznie i administracyjnie. Różnice miały się ograni-
czać wyłącznie do tych, których wpływ zamierzał zba-
dać.

Największe trudności nastęrczyło znalezienie wsi
„możliwie zbliżonej do tradycyjnej”, a więc typowo
rolniczej, położonej w znacznym oddaleniu od miasta
i ważniejszych szlaków, zamieszkałej przez rdzenną
ludność, a zarazem sąsiadującej z miejscowościami
o innym charakterze.

Odkrył taką wieś — po dłuższych poszukiwa-
niach — nad Jeziorem Żarnowieckim. Było nią właś-
nie Kartoszy. Spośród 16 rodzin aż 14 utrzymywa-
ło się z rolnictwa, wyjątkiem było starsze małżeń-
stwo i samotna kobieta. Tylko dwie osoby wywodzi-
ły się spoza Kaszub, dwie z dalszych wsi, pozostałe
z najbliższej okolicy i z samego Kartoszyzna. Dopiero
w 1973 roku połączono wieś asfaltową szosą z Żar-
nowcem, wcześniej była to droga polna. W stronę
Tyłowa, na południe, prowadziła droga leśna, tylko
miejscami utwardzona. Obie w okresie wiosennych
i jesiennych roztopów bywały nieprzejezdne. Od naj-
bliższego przystanku PKS Kartoszyno nadal pozo-
stawało oddalone o 6 kilometrów.

W okolicy znajdowały się trzy wsie, spełniające
warunki sprzyjające przeprowadzeniu porównań. Ty-
łowo — z niewielką liczbą rodzin nie utrzymujących
się z rolnictwa, także dość odosobnione, chociaż w
mniejszym stopniu niż Kartoszy. Lisewo — w po-
łowie tylko rolnicze. I Żarnowiec — wieś najbardziej
przeobrażona, z mniej niż połową rodzin żyjących
z rolnictwa, położona przy przelotowej szosie wio-
dącej z Pucka do Słupska.

O lepszy zestaw wsi byłoby trudno.

Socjolog ruszył w teren, na początek do Kartoszy-
na. I wówczas to pojawiła się przeszkoda, której nie
mógł przewidzieć. Dotarła wiadomość o planowanej
w tym rejonie budowie elektrowni atomowej i li-
kwidacji wsi.

— Wywołała wielkie poruszenie, szok — wspomi-
na dr Piotr Seliwończyk; on to bowiem był socjo-
logiem, który akurat w tym czasie przebywał w Kar-
toszynie. — Groźba, jaka nagle zawisła nad mieszk-
kańcami, perspektywa wysiedleń zaciążyły nad cał-
ym życiem tej spokojnej i leżącej na uboczu wsi. O
niczym innym nie rozmawiano, nie było też mowy
o kontynuowaniu badań. Musiałem zrezygnować, z ża-
lem, gdyż podobnej wsi w tym rejonie nie znalazł-
bym, a pominięcie Kartoszyzna, ograniczenie się do
trzech pozostałych miejscowości, przekreślało cały za-
myśl. Po kilku miesiącach postanowiłem, mimo wszy-
stko, spróbować raz jeszcze. Okazało się, że napięcie
zmałało, życie wróciło do normy. Zorientowano się,
że wysiedlenia nie nastąpią tak szybko, jak począt-
kowo sądzono, że decyzje jeszcze nie zapadły, ludzo-

no się, że może do budowy elektrowni w ogóle nie dojdzie.

Sieliwończyk przez kilka tygodni przebywał we wsi, przeprowadził rozmowy ze wszystkimi rodzinami, zebrał odpowiedzi na ponad 100 pytań zawartych w kwestionariuszu ankiety, poczynił wiele obserwacji. Mieszkał we wsi, pomagał w pracach polowych, głęboko wniknął w życie wioski. I chociaż celem badań było wysnucie ogólnych wniosków, uchwycenie zmian poprzez porównanie z miejscowościami o różnym charakterze, powstał przy okazji portret Kartoszyzna. Wsi ciekawej pod każdym względem, także historycznym.

— Wiele okoliczności świadczy o unikalnym, reliktowym charakterze Kartoszyzna — stwierdza socjolog, który we wstępie swojej pracy, liczącej 380 stron, podał liczne dowody upoważniające do sformułowania takiego wniosku. „Zmiany dotyczyły Kartoszyzna w przeszłości w szczególnie niewielkim stopniu” — brzmi konkluzja wywiedziona z siedmiu studiów.

Tyle liczy sobie wieś. Tyle wieków istnienia potwierdzają źródła pisane, bo archeolodzy, penetrujący ten rejon od kilku lat, natrafili na liczne ślady osadnictwa pochodzące sprzed naszej ery, cmentarzyska kultury pomorskiej sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Przed rokiem ekipa archeologów z Pracowni Konserwacji Zabytków w Gdańsku odkryła jeszcze starsze ślady ludzkiego bytowania: nad brzegiem jeziora znaleziono dobrze zachowane paleniska kamienne sprzed trzech tysięcy lat.

Ze źródeł pisanych wynika, że Kartoszyzna istniało już w roku 1283. W innym dokumencie, pochodzącym z 1297 roku, książę Mszczuj potwierdził prawo klasztoru w Żarnowcu do pięciu okolicznych wsi, wśród nich i Kartoszyzna. To podporządkowanie zawazyło na jego charakterze, w znaczącym stopniu. Przede wszystkim wieś ominęły przemiany, dokonujące się gdzie indziej w okresie panowania krzyżackiego, gdyż klasztor w Żarnowcu zachował swoje włości. Gdy dookoła przechodzono na prawo niemieckie, oznaczające zmiany w świadczeniach, sposobach gospodarowania, prawach przysługujących chłopom, tu aż do XVII wieku zachowało się prawo polskie. Jedyną zmianą było zastąpienie nieregularnego układu niw prostopadłym do osi wsi, układ ten istnieje do dziś. Kartoszyzna jako wieś należąca do dóbr klasztornych nie przeszło zwłaszcza radykalnych przeobrażeń, towarzyszących tworzeniu się gospodarki folwarcznej. Ten proces całkowicie je ominął. Nie dotknęły Kartoszyzna późniejsze rugi pruskie, nie objęła parcelacja po pierwszej wojnie światowej, reforma rolna po drugiej wojnie, nie naruszyły wielkie ruchy migracyjne, które zatrzymały się na pobliskiej rzece Piaśnicy, będącej w okresie międzywojennym granicą państwową.

Tradycyjna wieś kaszubska — w odniesieniu do Kartoszyzna nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Taką ukształtowała ją przeszłość, a w bliższych nam czasach sprzyjało położenie na uboczu, w odległym, oderzonym lasami i jeziorem zakątku.

Badania, które przeprowadził socjolog, potwierdziły, że z czterech wybranych do porównań wsi, Kartoszyzna pozostaje najbardziej tradycyjne. Znalazło to odbicie w przejawach życia rodzinnego, sąsiedzkiego, a także w poglądach na rolę rodziny, wychowanie dzieci, wykształcenie, pomoc sąsiedzką, stosunek do miasta, do własnej pracy.

Myliłby się jednak ktoś, kto chciałby postawić znak równości pomiędzy określeniem tradycyjna — anachroniczna, zacofana.

Otóż z czterech badanych wsi Kartoszyzna pod względem rolnictwa stało najwyższe. Mimo że gleby tu najgorsze, piaszki i szczyrki, wyniki osiągnęto najlepsze. Wystarczy porównać plony z hektara, aby się o tym przekonać. Na szczególnie wysokim poziomie stała hodowla bydła. Gospodarstwa w większości duże, ponad 30-hektarowych pięć, na czternaście, do tego łąki i pastwiska. Domy stare, w większości zbudowane jeszcze przed I wojną, ale... „Są to z reguły domy duże i solidne, najczystszy materiałem jest cegła pełna, jedynie dwa zbudowane są z pruskiego muru i jeden z pustaków”. W domach najczęściej 5 lub 6 izb, żadne więc kurne chaty. Stajnie

wszystkie murowane. Najbardziej tradycyjną wieś odróżniało poza tym od pozostałych to, że było tu najwięcej maszyn rolniczych, najmniej koni. A także: „Liczba osób czynnych zawodowo w rolnictwie oraz pomagających w czynnościach gospodarskich jest w stosunku do uprawianego obszaru ziem znacznie niższa niż w pozostałych wsiach”.

Najbardziej tradycyjną wieś wyróżniały więc cechy, które przypisuje się pożądanej wizji wsi: duże gospodarstwa, wyposażone w niezbędne maszyny, zatrudniające niewiele osób, uzyskujące dobre wyniki. Na dodatek wpłynęły na ten stan takie anachronizmy jak przywiązanie do ziemi, poczucie własnej wartości i wykonywanej pracy.

Tradycyjność wyraziła się między innymi w tym, że z 14 gospodarzy zapytanych, czy przeniesliby się do miasta, 13 odpowiedziało, że wolą mieszkać na wsi.

„Pracować trzeba od cienia do cienia — stwierdził jeden z rolników. — Nigdy się nie przewidzi, co oczekuje rolnika od pogody czy w chlewie. W mieście noc jest nocą, a czas wolny to wolny. Tu na łądze (wsi) nie ma niedzieli, bo się krowa w każdej chwili może ocieścić, a i jeśli też potrzebuje codziennie. To wszystko trzeba wykonać, bo inaczej i gospodarze i cały kraj by głodował. To nie jest lekka praca. Ale za to ja jestem na mojej gospodarce panem”.

Socjolog napisał w podsumowaniu: „W Kartoszyźnie, które jest wsią czysto rolniczą o dość dużym stopniu izolacji wszyscy bez wyjątku podkreślają swe przywiązanie do pracy na roli, stwierdzając niejednokrotnie wprost, że nie wyobrażają sobie w ogóle pracy poza rolnictwem”.

Taką to wieś poraziła wiadomość o rychłej zagładzie.

*

Zaraz potem pojawili się we wsi jacyś ludzie, chodzili po polach, oglądali domy, obejścia.

— Robili szacunki — przypomina sobie tę pierwszą wizytę Pokrywka. — A jak my się ich pytali, kiedy nas wyprowadzą to nie wiedzieli, mówili, że chyba za niedługo.

Tymczasem minęło lato, żniwa, wykopano ziemniaki, żadne nowe wieści nie nadeszły. Nie wiedzieli, czy mają siał oziminy czy nie. Sołtys Hoefft pojechał z dwoma gospodarzami do gminy do Krokowej, aby zapytać co mają robić. Odpowiedziano im, że decyzji o budowie nie ma, nie wiadomo kiedy będzie, nie ma się co oglądać — siał!

Przez dłuższy czas o budowie nie było słychać. Nikt nie przyjeżdżał, nie straszył, już zdążono we wsi uspokoić się, tłumaczyć sobie ciszę, jaka zapanowała, odstąpieniem od zamiaru budowy elektrowni. Tej atomowej, bo tymczasem za jeziorem zaczął się wielki ruch, zjechały setki ludzi, koparki ryły ziemię, wysiedlono ludzi z Kolkowa, Czymanowa, leżącego zaraz za Piaśnicą, do której sięgają pola kartoszyńskie. Budowano elektrownię wodną. Naruszony został spokój, jaki dotąd panował w całym rejonie Jeziora Żarnowieckiego, prawdziwego wstrząsu doznało Nadole. Kartoszyzna pozostało na uboczu i coraz spokojniejsze, przeświadczone, że skończy się na jednej elektrowni.

— Tak my myśleli, nic nie mówią więcej, nic nie robią, pewnie nie będą budować — odtwarza atmosferę z tamtego okresu Pokrywka. — Aż tu spalił się Augustyn Białk, ogień zabrał mu stodołę i kawał obory. Chciał odbudować, powiedział mi, że nie wolno, jest zakaz, nie ma co budować, bo i tak wszystko będzie rozebrane. Tyle wyprosił, że mógł nareperować oborę.

Od tego czasu pozbyli się złudzeń.

Pierwszy termin rozpoczęcia budowy wyznaczono na rok 1977. Taki podano w gazecie, mieszkańców wsi, najbardziej zainteresowanych kiedy będą musieli odejść, nikt nie uznał za stosowne powiadomić. Przyjeżdżali różni ludzie, wiercili w ziemi, mierzyli, puszczali nawet balony nad jeziorem. A we wsi wciąż niepewność: siał czy nie siał? Życie na walcach — jak napisał jeden z dziennikarzy, których coraz więcej zaczęło zjeżdżać do Kartoszyzna, bo temat rysował



Fot. S. Ossowski

wał się atrakcyjnie i kontrastowo: tradycja kontra atom, prastara wieś ustępująca miejsca nowoczesności.

We wsi narastało oburzenie. Jak gospodarować w takiej niepewności? Zbliżał się zapowiadany termin rozpoczęcia budowy, a nie przedstawiono nawet „szacunków”, nie powiedziano, na jakie odszkodowania mogą liczyć, żeby mogli się rozejrzeć za gospodarstwami w innym miejscu.

Po czterech latach okazało się, że będą czekać dalej: zapowiadany termin odroczono, nowego nie podano.

Wieś znajduje sojusznika w nowym naczelniku gminy Romanie Markowiczu. Zwołuje zebranie, ściąga przedstawicieli inwestora. Mieszkańcy Kartoszyzna mają wreszcie okazję wypowiedzieć swoje żale i wysłuchać drugiej strony. Zebranie burzliwe, obietnice, że otrzymają solidne odszkodowania, że już wkrótce, że poszukuje się dla nich gospodarstw. Jest czerwiec 78 roku.

Naczelnik gminy szuka ziemi, alarmuje u władz wojewódzkich. Napływa kilka ofert, cóż z tego, gdy nadal nie oszacowano budynków i pól w Kartoszynie.

W 79 roku dowiadują się, ile dostaną. We wsi zawrzało: za to, co im zaproponowano, nie mają szans na kupno gospodarstw. Całą wieś oszacowano na 24 miliony złotych. Za duże gospodarstwa wypada półtora miliona, za średnie milion, osiemset tysięcy. Tymczasem za wystawione na sprzedaż żąda się dwa i pół miliona, trzy. I to za mniejsze, w gorszym stanie.

— Myśmy wtedy powiedzieli tak: jak państwo nam zabiera to niech nam zbuduje nową wieś. Dlaczego my mamy dopłacać, my nie chcemy stąd iść, a jak trzeba, to niech będzie ziemia za ziemię, budynki za budynki — mówi sołtys Juliusz Hoeft.

Piszą do Rady Państwa. Odpowiada inwestor. Wy-

buduje wieś, ale pod warunkiem, że dopłacą, pokryją różnicę pomiędzy wysokością przyznanych odszkodowań a kosztami nowych gospodarstw. Podano, ile by wyniosły — 200 tysięcy zł za hektar z zabudowaniami.

— Każdy policzył i wyszło, że mamy dopłacić po parę milionów...

Napisali drugi list, a w nim: „Bolesna dla nas decyzja opuszczenia ziemi ojców nie może wiązać się jeszcze z krzywdą finansową”.

Inwestor swoje, oni swoje. I tak minął następny rok niepewności. Siódmy. A potem ósmy i dziewiąty. Bez decyzji o budowie elektrowni i rozstrzygnięcia losów wsi.

*

— Brzęczało, brzęczało, a potem alarm, jakby się zapaliło — powiada żona sołtysa.

— Siedziało w worku i nagle wyskoczyło — przedstawia również obrazowo wydarzenia, które nastąpiły na początku 82 roku Jerzy Okoń, gospodarz z Kartoszyzna. — Pola były obsiane, szybko zapłacili odszkodowanie za zasiewy, już dają ziemię, na wszystko się zgadzają, postawią zabudowania, nie będziemy musieli dopłacać. To było zaraz po tym jak ten minister tu przyjechał.

— Decyzja najbardziej zaskoczyła inwestora, który przez pięć lat zajmował się wykupem z rąk rolników terenów wsi Kartoszyzna, nie potrafiąc jej sfinalizować — słyszę od osoby dobrze zorientowanej w kulisach inwestycji. — Teraz załatwiano ją w trybie przyspieszonym, w ciągu dwóch miesięcy: lutego i marca 82 roku, chociaż nie do końca, bo przejęto ziemię, ale pozostały zabudowania wraz z mieszkańcami i to niemal w centrum budowy.

Decyzja o rozpoczęciu budowy elektrowni atomo-

wej zapadła w styczniu 82 roku. W marcu w pobliżu Kartoszyzna pojawił się ciężki sprzęt. Ostatniego dnia miesiąca na rozstajach dróg ustawiono stoły, odbyła się drobna uroczystość inaugurująca budowę. Nazajutrz wystartowano.

Dni, tygodnie, miesiące, które potem nastąpiły w Kartoszynie nazywają piekielnymi.

Zaczęło się od zdejmowania humusu z pól. Ruszyły potężne wywrotki — krazy, kamazy, tatry. Ziemię ładuje się przed wsią od strony Zarnowca, wywozi za wieś. Jedyna droga prowadzi przez środek Kartoszyzna, ulicówki, z dwoma rzędami domów po obu stronach. Tą drogą pędzą teraz ogromne wywrotki. Co minutę, co dwie przelatują z hałasem przed oknami. Na pełnym gazie — tak jak jeździ się na budowach. Kursują od szóstej rano do szóstej wieczorem, przez sześć dni w tygodniu. W mokre dni droga zamienia się w grzęzawisko, pod kołami samochodów błoto rozpryskuje się fontannami, pokrywa ściany domów, okna, drzwi grubą warstwą mazi. Płoty, ogródki przywalone zwalami brei. Z samochodów sypie się humus podczas szybkich przejazdów, brodzi się w tym wszystkim po kolana. A wszystko to we wsi, w której w każdą sobotę zamiatno drogę, zadbanej i czystej.

Przychodzą dni suche. Jeszcze gorsze. Wywrotki wzniesają teraz tumany kurzu. Nie można otworzyć okna, wywiesić prania na podwórzu. Z daleka wygląda tak, jakby nad wsią zawisł grzyb atomowy. Kurz opada tylko w niedzielę, gdy ustaje ruch na budowie. W pozostałe dni wieś tkwi w pylnym obłoku. Huk, domy trzęsą się, pękają ściany, drża szyby. Strach wyjść na drogę, wypuścić dzieci z domu, nie można uchylić okna, a i tak kurz wdziera się do środka.

— To nie jest do opowiedzenia, co my przeżyli, na to nie ma słów — skarży się sołtysowa.

W maju gromadą wychodzą na drogę i stają w poprzek. Samochody zatrzymują się. Kierowcy żli, bo płacą im od ilości kursów, wygląda na to, że dojdzie do starcia, kończy się jednak na spokojnej rozmowie przy kieliszku. I obietnicy, że kierowcy będą przez wieś jeździć wolnie. Susza nie ustępuje, próbuje się zraszać drogę polewaczkami, ale na niewiele się to zdaje. Potrzebna jest droga, która omijałaby wieś, przewiduje się jej budowę, brak jednak wciąż nawet dokumentacji.

— Niestety inwestycja ruszyła w starym stylu: najpierw rozpoczęcie robót, a potem dopiero prace przygotowawcze — stwierdza osoba dobrze zorientowana. — A tyle było czasu na przygotowanie.

Budowa nabiera rozmachu, trwają prace niwelacyjne, zasypuje się kawałek jeziora w rejonie, gdzie ma stanąć główny budynek elektrowni, wywozi się ziemię z wykopów. Przybywa ludzi, sprzętu, krazy coraz więcej samochodów — jedyna droga nadal wiedzie przez środek wsi. Piekło — tak nazywają sytuację, która trwała przez dziewięć miesięcy.

W grudniu ukończono wreszcie drogę dojazdową, prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora, omija wieś. Prowadzono także krótką obwodnicę, którą można dojechać poza Kartoszyno w kierunku Tyłowa. Wielu kierowców skraca sobie jednak drogę i nadal wali przez wieś, ustawia się więc szlabany. To także nie wystarcza, bo niektórzy kierowcy przystają, podnoszą szlaban do góry i przejeżdżają. Więc szlabany przybito wielkimi gwoździami. Po jakimś czasie zniknęły, przeszkodę usunięto.

— Jeżdżą dalej, ale to już nie jest to, co było — mówi sołtysowa, a jej słowa przygłusza łoskot; właśnie ktoś znowu skrócił sobie drogę. — Mówili nam, żeby zapisywać numery aut, ale co my jesteśmy, milicja?

„Siedzą jak w koszmarnym skansenie” — napisano o nich na początku tego roku w gazecie. Budowa otoczyła już wieś dookoła, a oni tkwią dalej w jej środku.

— Mówią, że stare drzewo nietłatwo przesadzić, gdzie się kto urodził, tam powinien odchodzić. Ale teraz to już każdy tylko czeka, żeby jak najprędzej stąd iść — powie mi Pokrywka, którego ceglany dom stoi na początku wsi zewsząd „obkopanej”.

Ziemię zabrano od razu. Dostali nową — w Odargowie, odległym o 12 kilometrów. Grunty dla nich wydzielono ze Stacji Hodowli Roślin, ponad 100 hektarów. Tam też mają w przyszłości zamieszkać.

Od kwietnia ubiegłego roku uprawiają więc ziemię na odległość. Dojeżdża się drogą, która wiezie przez rejon, gdzie prowadzi się największe roboty, panuje największy ruch. Nieraz trudno przejechać, taki tam tłok. Za każdym razem trzeba wozic cały sprzęt z sobą, bo w Odargowie gołe pole, nie ma gdzie zostawić pługa, brony, siewnika. Bydło w oborach, gdyż łaki już także stracili. Jak długo potrwa ta gehenna?

Gdy zapadła decyzja o budowie, nagle wszystkie trudności okazały się bagatelne. Ziemia za ziemię, budynki za budynki — proszę bardzo! Znalazły się fundusze, przestano żądać dopłaty. Tyle, że wszystko za późno.

„Gdyby dać rolnikom z Kartoszyzna ziemię w Odargowie wcześniej, budowniczowie elektrowni mogliby wejść z pracami przygotowawczymi na ich dotychczasowe użytki rolne, które potrzebne są dla realizacji pierwszego etapu inwestycji. Rolnicy mogliby uprawiać nowe działki, a jednocześnie mieszkać w Kartoszynie, dopóki nie wybudowano by im nowych obiekty w Odargowie” — proponował już przed trzema laty w „Głosie Wybrzeża” Andrzej Bałkowiec, obecnie rzecznik prasowy „Energobloku”. Gdyby wówczas tak postąpiono, obejścia byłoby gotowe przed rozpoczęciem budowy.

Zwlekano, bo dopóki nie zapadła decyzja o budowie elektrowni, nie było funduszy. „Konto” z miliardami otwiera się dopiero w momencie startu. Były jednak pieniądze na odszkodowania, czterem gospodarzom, którzy mieli dość czekania, wypłacono. Tak, dowiaduje się u inwestora, ale to co innego, kwoty na odszkodowania są przydzielone wcześniej, wyłącznie na ten cel. Co innego szacowanie, co innego budowanie. Były pieniądze na prowadzenie badań, wydano dwa miliardy złotych. Tak, ale pieniędzy badawczy to nie pieniądz inwestycyjny. Nie ta „szufladka”. Z tej właściwej można więc czerpać dopiero od stycznia ubiegłego roku.

Nagle skończyły się przetargi.

— Nic nie muszą dopłacać — zapewnia dyrektor Hryckiewicz, reprezentujący inwestora: Zakłady Energetyczne Okręgu Północnego. — Gdyby ich obciążać, to jeszcze wnuki by spłacały. A przecież nie oni winni, że ich się wyrzuca.

Do budowy zagród przystąpiono dopiero w listopadzie ubiegłego roku. Nie było dokumentacji, szukano wykonawcy. Podjął się budowy wejherowski PBRol, zwlekał, tłumacząc się brakiem materiałów budowlanych. „Energoblok”, firma, która wykonuje największe roboty, wiodącą, proponuje budulec ze swojej puli. Wieś przeszkadza w budowie, chcieliby, żeby jak najprędzej mieszkańcy wyprowadzili się. Okazuje się, że PBRol nie ma ochoty stawiać zagród w Odargowie, nie kalkuluje się. Usługi oferuje spółka polonijna, ale z kolei żąda zbyt dużych sum. Mijają miesiące, trwa stan zawieszenia. Wreszcie — po 10 miesiącach — zostaje do Odargowa skierowana firma podporządkowana energetyce — Zakład Robót Hydrotechnicznych i Budowlano-Energetycznych w Straszynie. Przed tegorocznymi zniwami mają być gotowe stodoły, żeby można było w nich złożyć plony. Termin oddania innych zabudowań wyznacza się na kwiecień 1984 roku.

Gdy odwiedzam Odargowo stoją już mury stodół. Kierownik Ludwik Łopaciuk mówi, że do właściwych robót przystąpili w styczniu, wcześniej przygotowywali zaplecze. Pierwszy okres był wyjątkowo niesprzyjający: mrozy, wichury. A terminy na wczoraj. — Teoretycznie powinniśmy zdążyć — stwierdza. Mają materiały, gorzej z ludźmi, tym bardziej, że potrzebni fachowcy z ginących zawodów. Bo projekty nietypowe — ciekawe, nie pudełka, sześciąny jak się teraz wszędzie buduje, ale ze spadzistymi dachami, ściany z szachulcami, elementy ozdobne. Każdy projekt inny, w zależności od rodziny, która zamieszka w danej zagrodzie. Spełniono życzenia, takie jak choćby to, żeby były piece chlebowe, bo w Kartoszynie do dziś wypiekają własny chleb. Centralne

ogrzewanie, woda — wszystkie wygody. Budynki inwentarskie też rozwiązane funkcjonalnie. Wiaty, zasieki na kiszonki, wybiegi, kojce, paszarnia, przechownia mleka.

— To będą gospodarstwa pokazowe, jeśli chodzi o estetykę rozwiązań architektonicznych, dopasowanie do otoczenia i jednocześnie baza rolnicza na miarę naszych czasów — mówi Zbigniew Gers, kierujący w przedsiębiorstwie przygotowaniem produkcji.

Oglądam projekty sporządzone przez Biuro Projektów Budownictwa Wiejskiego w Gdańsku — wyglądają rzeczywiście interesująco, nietypowo.

„Elektrownia” jest teraz bardzo hojna, jakby chciała odrobić to wszystko, czym przysłużyła się przez lata mieszkańcom Kartoszyń.

— Można im tylko współczuć — taką opinię słyszę w „Energobloku” wielokrotnie.

— Biedni ludzie. Ja to na ich miejscu chyba bym strzelał...

— Podziwiam ich cierpliwość, wielką kulturę osobistą. To są ludzie o naprawdę wysokiej kulturze — mówi inżynier, szef realizacji produkcji, przybysz z Płocka. — Że też ich musiało to dotknąć.

— Jeszcze rok — pocieszają się w Kartoszyń. — Żeby jednak tylko rok...

Nie wierzą już w żadne zapewnienia.

Wióry wielkiej budowy — jak napisano o nich w gazecie.

Jutro zaczyna się tu sezon

Zbigniew Gach

W pachnącej wątróbką i wódką jastarniańskiej „Róży Wiatrów” schodzą się co dzień ogorzali mężczyźni nakryci granatowymi czapkami z daszkiem, rozgadani, wymachujący wielkimi jak flądry dłońmi. Mają twarde, grube paznokcie, bo kciuk muszą dobrze wbijać w „podbródki”, a palce — wskazujące i środkowy — w oczy; potem robią kilka szybkich ruchów nożem i wyrzucają za burtę wnętrzności z niemą od bólu głową dorsza. Tak pracują na morzu. Do restauracji natomiast przychodzą podtrzymać rozkołysanie ciała.

Przez co najmniej sześćset lat trwały tutaj w niewzruszeniu kaszubskie rody, dopóki nie nadeszła era wczasowiczów i telewizji. W małym trójkącie Kuźnica-Jastarnia-Jurata mieszka dzisiaj 3800 ludzi (w samej Jastarni 2600), w tym 444 Konkelów i Konkolów, 316 Budziszów (głównie w Kuźnicy), 286 Kohnke'ów i Konke'ów, 103 Mużów, 96 Strucków i Struków, 90 Herrmannów, 83 Lisakowskich, a poza tym kilkuset jeszcze Pieperów, Selinów, Lenców, Szomborgów i Schomburgów, Długich, Boszke'ów, Neclów, Barlaszów, Rottów, Dettlaffów... 60 lat temu byli to jedyni osiedleńcy na kawałku owej piaszczystej nędzoty, którą sami nazywali *Helską Kosą* albo *Krowim Ogonem*; dzisiaj stanowią już tylko połowę mieszkańców rybacko-turystycznego osiedla, które w 1973 roku otrzymało prawa miejskie. Pewnie dlatego z taką troską próbują chronić pamięć i przekazywać z przeszłości to wszystko, co już nie w pełni jest przyswajane przez ich dzieci — ubrane nowomodnie w skórzane kurtki, szetlandzkie sweterki, sztruksowe spodnie i miękkie obuwie firmy „Adidas”. Pewnie dlatego starsze osoby wciąż tytułowane są „ciotkami” i „wujkami” — bez względu na rzeczywisty stopień pokrewieństwa.

Każdego roku zwala się na Hel wielotysięczna wczasowa szarańcza, żadna przygód, morza i widoku starokaszubskich enklaw uwędzonych w mroku zapadających domków. Tymczasem nigdzie chyba w kraju nie ma takiego rozmachu w budownictwie mieszkaniowym (przy jednoczesnych niedostatkach wielu rodzin), jak w Jastarni, gdzie na jedną izbę mieszkalną przypada średnio 0,7 mieszkańca. Oczywiście, że to poniekąd wynik budowania domów-pensjonatów z pokojami dla turystów, ale cóż — pieniądź traci na wartości, zatem co tęższy rybak

inwestuje w domy i w złoto. Tutaj ludzie też nauczyli się liczyć, a ponieważ dawną, przedwojenną biedę wciąż im jeszcze przypominają *starkowie*, każdy chwyta wszelki grosz, jaki się nadarzy, niechby dorywczy, niechby sezonowy czy koniunkturalny. Bo czy kto wie, co będzie za parę lat?

Młodzież na razie rośnie krzepka i dorodna, w typie rodziców (antropolodzy twierdzą, że ludność Mierzei Helskiej należy do rasy wysokorosłej). Dziś łatwiej odchowić tu dzieci, bo nikt już nie płodzi ośmiorga czy dziesięciorga. Nawet czwórka to rzadkość, ale za to można wszystkie lepiej wyżywić i wyposażyć. Sytuacja tutejszej kobiety też odmieniła się nie do porównania — obecnie każdy rybak przed podjęciem ważnej decyzji radzi się wpiętej w ślubnicy, cichej głowy domu. Zresztą, dobre, przewidujące gospodynie były tu zawsze w cenie, dlatego i do ostatnich lat zdarzają się stosunkowo często małżeństwa, w których żona trochę góruje nad mężem — wiekiem i doświadczeniem.

Dziewczęta mają dziś swobodę przy wyborze ślubnika, na tyle dużą, że 40 procent jastarniańskich pannie idzie do ołtarza w stanie odmiennym. Dawniej też co prawda zdarzało się, że chłopak z dziewczyną umawiał się co do żenby jak uciula grosz na dom, potem przez lata pływał na obcych statkach i składał detki do sakwy, by wreszcie przyjechać na stałe i pobrać się z panną, nieraz już wychowującą wspólne dziecko. Zwykle wszakże bywało, że panny nikt o zdanie nie pytał, a rodzice sami wybierali jej męża — czasem o wiele starszego. Nie pozostało jej wtedy nic innego, jak tylko śpiewać cicho w domu, kiedy chłop był w morzu lub w karczmie:

Staryguem so wzięła,
Szanowac go muszę,
Pueżoł że sę muecnicy Bueże,
A weż jegue duszę.

Każdy temat, którego tknąć w Jastarni, skłania do refleksji historycznych. Jeśli omawiać przywiązanie rybaków do półwyspu, trudno zapomnieć, że wiek tutejszych wykopalisk sięga 2500 lat. Jeśli nadmienić o trwaniu miejscowej ludności w słowiańszczyźnie, trudno nie podkreślić, że istniejącą od pradziędów osadę wspominał po raz pierwszy XIV-wieczny dokument krzyżacki. Jeśli przytoczyć zanikające już animozje czy różnice w wymowie pomiędzy dzisiaj

sza Jastarnią zachodnią a wschodnią, trudno po prostu nie zobrazować kilku faktów.

W dwieście lat po Jastarni właściwej, określanej później mianem Wielkiej lub Puckiej, dokumenty odnotowały usytuowaną w jej pobliżu — od strony cypla helskiego — inną osadę rybacką, zwaną przez miejscowych Borem. Istniała ona prawdopodobnie już pod koniec XV wieku, ale na pewno — w 1526 roku, kiedy król Zygmunt Stary oddał Gdańskowi „po wsze czasy” miasto Hel i część półwyspu do linii granicznej wsi Jastarnia. Podówczas Bór, z zaginionymi już dzisiaj osadami „Dziedzinka Leśna i Mikołajki, zaczął podlegać należącej do Gdańska ekonomii helskiej.

Wynikły z tego określone konsekwencje. Jastarnia Pucka, przynależna od wieków do parafii swarzewskiej, ostała się polska i katolicka, natomiast Bór (nazwany przez gdańszczan: Danziger Heister-nest) stał się rychło niemieckojęzyczny i protestancki. Sytuacja taka trwała aż do lat trzydziestych XIX w., kiedy to mieszkańcy Boru zaczęli się repolonizować i przechodzić na katolicyzm. U progu XX wieku niemiecki badacz Mierzei Helskiej H. Wunsche stwierdził ze zdumieniem: „Bór, w początkach XIX w. w pełni niemiecki, w początkach XX w. jest w pełni polski, a jego mieszkańcy nie chcą wiedzieć ani słyszeć o niemieckim pochodzeniu”.

W okresie między I a II wojną światową zabudowania Jastarni i Boru przybliżyły się i wreszcie zwały w jedno osiedle. Zresztą mieszkańcy obu stron „granicy” już kilkadziesiąt lat wcześniej zaczęli się pobierać i wspólnie rybaczyć, znikły więc powoli kwasy i urazy, wiatr ochłodził głowy pamiętliwych. Niemniej, kiedy w 1922 r. przeprowadzona została przez półwysp linią kolejową, a stację usytuowaną na terenie Boru nazwano Jastarnią, rozżaleni mieszkańcy Boru przypomnieli sobie, że „Jastarnia to świnia, a Bór to królewski dwór”. Podobnie było w roku 1930, gdy ukończony w Borze port rybacki także ochrzczono jastarnieńskim. Swoją drogą — ludzie z Boru zawsze mieli najbardziej przekorne i złośliwe języki na półwyspie. Do mieszkańców Jastarni od niepamiętnych czasów wołali przecież *jastarnicę* — *charabnicę* (jastarnicy — skąpcy) i dokuczali im, że mają krzywe nosy, skrecone do nordwestu; z kolei *kusfelan* (czyli mieszkańców Kuźnicy) wyzywali od dzikich kołtunów, a chałupian — od płotkookich.

I do dnia dzisiejszego dochował się Bór jako środowisko trochę odrębne. Jastarnia ma za swojego patrona świętego Józefa, a Bór — świętą Rozalię, broniąca od morowego powietrza. Jej ceglana kapliczka z datą 1883 świadczy, że lud tutejszy, od stu co najmniej lat znów jest katolicki, protestanci bowiem nie uznają kultu świętych. W Borze nie było tylko nigdy kościoła, co stanowiło wieczną zgryzotę dumnych mieszkańców. — A nie należała im się świątynia — mówią dziś jeszcze niektórzy jastarnianie — u nich piraci mieszkali, co fałszywym ogniem ściągali statki na mielizny, żeby okradać.

Niegdyś rozdzielała podobno Jastarnię i Bór depresyjna zaklętnina, wypełniająca się wodą po każdym większym sztormie. Zostawał wówczas Bór na wyspie, a Jastarnia na „ladzie”. Dzisiaj zaklętniny już nie widać, ale strzępki niewidzialnej granicy („tu, panie, obok krzyża przy zakładzie fryzjerskim”) istnieją nadal. W Borze na przykład do dziś powiedzą *leżku i gafelku* (łyżka i widelec), gdy w Jastarni — *leżko i gafelko*. Chłopak z Boru szepnie dziewczynie: *puej z miau* (pójdź ze mną), gdy w Jastarni: *puej z mneu*. Mieszkaniec Boru na widok cienko pokrajanego i podanego w zalewie octowej szprota orzeknie, że to *plechwinka*, a jastarnianin — że *plakwinka*. Wypatroszona i suszona w słońcu, a potem lekko podwędzona fladerka (stornia) to dla borowiaka *wandzówka*, dla jastarnianina — *wandzetwka*. W Borze coś *bandze*, a w Jastarni *bembdze* (w Kuźnicy — *bądze*). W Borze się gdzieś *pójdze*, a w Jastarni — *pódze*. Na wir lub prąd wodny mieszkaniec Boru powie *streum*, a jastarnianin — *zoch*. Borowiak *murga* oczami, a jastarnianin zwyczajnie *mru-ga*...

Ale mimo wszystkich tych różnic podobnie gospodarowano kiedyś i w Jastarni, i w Borze. I tu, i tam zbierały się w zapusty maszoperie, żeby uroczyście, przy resztkach mięsa i paru achtełkach piwa, zszyć przyniesione sieci w tak zwany *laskorn*, czyli olbrzymi niewód na łososie (zarzucali go potem maszopi od strony pełnego morza, po czym kilkadziesiąt osób — łącznie z kobietami i zwalnianymi ze szkół starszymi dziećmi — ciągnęło zdobywcę linami do plaży). I w Jastarni, i w Borze było po kilka maszoperii węgorzowych, obstawiających żakami ściśle wyznaczone odcinki, czyli *tonie*, przy czym *tonie* jastarników miały zawsze odrębne nazwy i odrębnie świętych patronów, a *tonie* borowian tylko nazwy. I w jednej, i w drugiej osadzie ludzie przymierali głodem, gdy niepomyślne wiatry wymiały ryby z zatoki, a wczesne, „różowe” ziemniaki nie rodziły w piachu. I święty Józef, i święta Rozalia patrzyli bezzadnie na niskie, szkieletowe chałupki, stawiane bez podpiwniczeń i fundamentów, na szopy klecone z połówek starych łodzi, na groby młodych maszopów, którzy przy podartych żaglach lub złamanym wiosłach nie potrafili w porę dopłynąć do zbawczego brzegu.

Dotrwały z tamtych czasów wspomnienia i doświadczenia. I jeszcze nazwania niektórych rybackich sprzętów, i jeszcze zwyczajowe nazwy ryb, jak *plastucha* (flądra, skarp), *bańka* (mała, niewymiarowa flądra), *brzona* (sieja wędrowna), *brajtling* (szprot), *tubis* (tobiasz), czy wreszcie *pomuchel* (dorsz), zwany także przez starszych rybaków „folksdojczem”, jako że liczniej pojawił się w polskich wodach dopiero podczas okupacji. Pozostały również tradycyjne miary, którymi posługują się między sobą morscy ludzie. Długość łajby określana bywa jeszcze w stopach, sieci — w łokciach i sążniach, wbić palą żakowego ocenia się w kwartach (szerokościach dłoni), a wagę — w funtach.

Nowe natomiast obyczaje opanowały zdobywanie i stosowanie rybackiego sprzętu. Nikt już nie siada z drewnianą kleszczką i nie wyrabia po nocy manilowych czy bawełnianych sieci — centrala morska zaopatruje przecież w siatki styronowe. Nikt już nie wyrabia lin z konopi czy grabowego łyka — do tego są kupowane na kilogramy podniszczone cumy z Marynarki Wojennej. Nikt nie robi pływaków z drogiego naturalnego korka — do tego są kawałki styropianu ze zużytych w państwowej flocie kół i pasów ratunkowych. Nikt nie robi ciężarków z kamieni — do tego jest gruby drut, samodzielnie formowany i spawany w gładkie, łatwe do wyplatania z sieci kółka. Mało kto robi kaszorki z rozwidlonych gałęzi — do tego są metalowe ramki. Mało kto wygina pałaki żakowe z długich dębowych prętów — do tego są winylowe rury moczone w gorącej wodzie i kształtowane na starych kołach od wozu. Mało kto musi brać w morze *umër*, czyli dębowy młot potrzebny niegdyś przy biciu pali żakowych; bo przecież do robienia w dniu dziur pod pale służy wąż z silnikowej pompy w łódce...

Zmieniło się tyle, że na foczej skórze by nie spał. Na foczej dlatego, że jeszcze kilkadziesiąt lat wstecz foki — po tutejszemu *selinty* — odlawiane były masowo. Przede wszystkim dla tranu, który wytapiał się w ilości do 50 litrów z jednej sztuki, dla mięsa, które tradycyjnie uważano za postne, i dla skór. Ale także dla zmniejszenia szkód, jakich dokonywały w sieciach owe tłuste, szarobrazowe wrzeciona o psich pyskach.

— Jak *selinty* szły z tymi swoimi grabcami — wspomina zagadany przy stole 84-letni Robert Struck, dawny rybak i szkutnik, najstarszy mieszkaniec Jastarni (Boru) — to potem można było tylko się i płakać. Żarłoczne były, co niech ich holipa weźmie. W sieciach z łososiami potrafiły zostawić tylko rybie łby. Tak, panie, tak było, ale dziś ani *selint* już nie ma, ani *mierszwajnow* (morświnów). Teraz, panie, już w ogóle mało co jest w zatoce; jak kto złowi dwadzieścia kilo węgorza, to się cieszy, jakby wieloryba upolował.

— Panie Struck, a czy pamięta pan jakąś rybacką piosenkę?

Pieśniörze Jastarni

Marian Selin KASZEBSCZÉ KWIAT

Czej Të znósz kaszëbszczé kwiat?
Jë taczij piękny,
Odmianę farb jaż sédem mō
E każdy Kaszëba go znō.
W nim dostrzësz kôlor nieba,
Morza zeleń, galaz drzewa
I jeseni złoty lisc,
I czerwiony wisnie kisc.

Wieldzi kielich — istny cud,
W nim kaszëbszczé słodczé miód,
Kwiat kaszëbszczé rośnie wszëdzie,
Gdzie go ledzkô ręka sęgnie.
Białczy kwiat ten wëszywaja
E na szkle go też malëja,
Chłopi sprzęt swój ozdôbiaja,
Kwiat ten w drzewie wërynaja.

Kwiat ten czorni wase mō,
Uceche każdemu dô,
Kto go chce le pielëgnowac
I Kaszebów uszanowac.
Bo to jich jë piękniñ znak —
W piękniñ mowie, w piękniñ spiëwach.

Kwiat ten znōny jë na swieć,
Gdzie sę rodzą i gdzie żëją
Kaszëbszczé lëdze i jich dzece.

Gerard Konkel PIEŚNIÓ JASTARNI

Piesnió to Jastarni naszym,
co nad wieldzim morzem leży,
mieszkają tu rëbôcë w nij,
co swoje jadra w morzu stôwiają.

Mnie je tak teszno za naszym morzem,
mnie je tak teszno za morzem.

W wschodze słońca wëjéżdżają
rëbôcë do swoich jader,
a wieczór w krój przëjéżdżają,
o skórcë chleba żëją cały dzień.

Mnie je tak teszno za naszym morzem,
mnie je tak teszno za morzem.

Niejednô dzëwcę knôpa stracy
i jedenô białka je gdowa,
bo cziëj morze bôt przewrócy,
to sę nie zretô ni żëwô noga.

Mnie je tak teszno za naszym morzem,
mnie je tak teszno za morzem.

Niżôden krzyż nie jë na grobie,
też ni ma tam ani kwiata,
krabë le chodzą po głowie —
e tak mijalë tu u, nas lata.

Mnie je tak teszno za naszym morzem,
mnie je tak teszno za morzem.

Antoni Pieper OJCZYŻNA

Ojczyzną moją to Bałtyckie Morze,
Jego szumiące, spienione balwany,
Ktôre czerwienią kraszą ranne zorze,
Na których ginie dzień pokonany.

Ojczyzną moją te wydmy piaszczyste,
Po których często wiatr niesforny hula,
To niebo błękitne, jasne, gwiazdziste,
Ktôre rybackie wsie nocą otula.

Ojczyzną moją jest ten pas Mierzei
Helskiej, dumnie w głëbie wód wchodzący,
Zdawać by mogło się, że bez nadziei,
Ze go pochłonie Bałtyk huczący.

Ojczyzną moją ta rybacka chata,
Samotnie stojąca jakby duch w bieli,
Skąd dusza moja niesforna, skrzydlata
Wzlatywała coraz wyżej, śmieiej.

Kocham niezmiernie te swojskie strony
Jako Ojczyzny Wielkiej skrawek mały
I tą miłością szczerą zapalony
Kocham, jak umiem, kraj cały.

— Jo:

Płynę sobie łódką,
W rękach długie wiosła,
Nie masz, jak to nasze
Rybackie rzemiosło.

Rybackie rzemiosło:
Na tych nurtach wody
Szybko sobie płynę
I szukam swobody. (...)

Takim pewnie chcieli widzieć żywot rybaka pierwszy letnicy, którzy zbiorowo odwiedzili *Elski Ušëp*. W 1827 r. sprowadzony z Anglii parowiec „Książę Xawery” odbył pierwszy rejs z Gdańska na Hel (w ciągu całej podróży przygrywała pasażerom wojskowa orkiestra). Pogoda była lazurowa, turyści mieli świadomość, że w Helu i Jastarni od 4 już lat istnieją — jakby co — stacje ratownictwa brzegowego.

Dopiero wszakże u progu lat 90-tych ubiegłego wieku, kiedy w Helu powstał solidny port, zainicjowano stałe połączenie parowcowe półwyspu z Gdańskiem i Sopotem. Odtąd jednodniowi turyści z zamieszanych rodzin mogli, chłodząc się lemoniadą, oglą-

dać z bliska helskich rybaków, a nawet kupić u nich świeżą rybę — prosto z wody, prosto z sieci, prosto z ręki.

Objęcie Mierzei Helskiej przez władze II Rzeczypospolitej nastąpiło 10 lutego 1920 r. I właściwie dopiero od tej daty można mówić o rozwoju masowego ruchu turystycznego w kierunku półwyspu. Ruch ten nasilił się bardzo mocno po wybudowaniu linii kolejowej do Helu, a także dzięki założeniu pod Jastarnią i rozbudowaniu w 1928 roku typowo wczasowej osady — Juraty. Runęli podówczas letnicy „na Rybaki”. Powietrze zdawało się tu czyste jak marzenie, wodę zamieszkiwało wiele nieznanym ludziom z „kraju” ryb, w *checzach*, żyli surowi, ale uczynni Kaszubi. Chwilami można było mniemać, że czas tu stanął w miejscu, gdyby nie coraz częściej pykające na falach motorowe łódki, a potem także kutry.

W 1927 roku Ministerstwo Robót Publicznych zorganizowało ankietę na temat możliwości zbudowania przez półwysep bitej drogi. W podsumowaniu wniosek ten odrzucono, stwierdzając, że ruch samochodowy zepsuje uroki pierwotnej natury i że w zupeł-

ności wystarczy dymiąca kolej. Wewnętrzny zatem transport lądowy na mierzei nadal skazany został na podeptaną przez wieki szosę, biegnącą wzdłuż brzegu od strony zatoki. Twardej drogi bitumicznej miał się doczekać półwysp dopiero w 1960 roku.

Kiedy na Helską Kosę zaczęło rokrocznie przybywać coraz więcej gości, Jastarnia — do niedawna tylko podpatrująca letników — mogła na nich wreszcie także zarobić. Działek i domów wczasowych w Juracie nie było wiele, zaczęli więc przybyśle wynajmować kwatery właśnie u jastarników. Szybko przy okazji wykwitły tu i ówdzie sezonowe smażalnie ryb, powyrastały letnie pawiloniki z drucianymi łózkami dla turystów, pojawiły się sprzęty plażowe i wodne. W 1932 roku ówczesny proboszcz Jastarni ks. Paweł Stefański (pierwszy kapłan, który do tutejszej parafii przyjechał dobrowolnie, a nie — jak dwunastu poprzedników — „karnie”), przedsięwziął, również z myślą o wczasowiczach, budowę nowego kościoła. Rozebrano zatem stuletnią drewnianą „katedrę” i na jej miejscu w ciągu pół roku wybudowano murowaną z licówki, przestronną świątynię z czworokątną wieżą, w której fundamenty rybacy cisnęli cztery potężne kotwice ze szwedzkich wraków. Do dzisiaj wspominają starzy, że jak każdego sezonu tonęło w morzu koło Jastarni do 10 letników, tak w roku budowy kościoła nie utonął ani jeden.

W latach 30-tych sława „międzymorza” sięgnęła zenitu. W Jastarni i Juracie pobudowano dalsze domy zdrojowe, kąpieliska, kawiarnie i prześcigające się w pretensjonalnych nazwach pensjonaty. Każdego sezonu nowa rewia mody kazała rybakom zastygąć przy zsywaniu podartych sieci, przy krojeniu krabów na przynętę do takli, przy struganiu pali żakowych albo smarowaniu tranem długich, sięgających poza kolana *skorzeni*. Tak było jeszcze latem 1939 roku, gdy w kościele zamontowano „morski” ołtarz główny roboty pelplińskiego mistrza Mikołaja Cichosza (tego samego, który wcześniej wykonał ambonę w ksztańcie łodzi). Ale już w parę miesięcy później, w pierwszych dniach października — jak napisał w swoich wspomnieniach dowódca Rejonu Umocnionego Hel, komandor Włodzimierz Steyer — „... wójt jastarniański był najwyższą władzą administracyjną działającą w kraju”.

Po wojnie turystyka kulała przez kilkanaście ciężkich lat, w czasie których rybacy z półwyspu ledwie wzięli koniec z końcem. Kutry i łodzie były poniszczone lub potopione, domy i szopy się waliły, a sieci i sprzęt brakowało jak chleba. Dopiero za Gomułki trochę się polepszyło, bo władza przestała cisnąć rybaków nie zrzeszonych w spółdzielniach rybackich (maszoperii formalnie nie uznawano). Szkutnicy z mierzei odbudowali powoli łódki i życie ruszyło nowym torem. W Jastarni zaczęła je rozświetlać pobudowana w 1955 roku biało-czerwona latarnia morska.

Od lat 60-tych znów przypuściły szturm na Hel legiony wczasowiczów. Do roku 1968 byli to w dużej mierze Czechosłowacy, od 1970 roku — górnicy ze Śląska, w roku ubiegłym zaś przewinęło się szczególnie dużo wojskowych. Nizmiennicy pojawiają się też starzy bywalcy, wieczni miłośnicy mierzei, odwiedzający ją od czasów przedwojennych. Do dziś są takie rodziny z Warszawy, Łodzi czy Poznania, które przyjeżdżają w trzecim pokoleniu, utrzymując serdeczny kontakt z trzecim pokoleniem rybakim. Do dziś są tacy entuzjaści „Rybaków”, jak pani profesor Maria Znamierowska-Prüfferowa, etnograf z Torunia, która odkrywszy dla siebie półwysp 35 lat temu, śpieszy tu w każdej wolnej od pracy chwili. Do dziś są jednak również tacy (bardzo liczni), którzy nie odróżniają wydm od wysypiska śmieci.

— W sezonie — powiada naczelnik Jastarni, mgr inż. Jerzy Sałata — potrafi się przewinać przez nasze miasto po kilkanaście tysięcy osób dziennie. Dlatego też, w związku z rozdeptywaniem i dewastowaniem półwyspu, planuje się w tym roku ograniczenie ilości wjeżdżających na mierzeję pojazdów, szczególnie w weekendy. Wymagania turystów w stosunku do półwyspu są ciągle bardzo duże, a utrzymywanie czystości w obecnych realiach jest właściwie nie-

możliwe. Mamy — szczególnie latem — za mało strażników przyrody, za mało milicjantów, za mało chętnych do pracy w gospodarce komunalnej (około osiemdziesięciu procent naszych mężczyzn pracuje w rybołówstwie, w tym również we Władysławowie lub Helu). Nie mieliśmy też do niedawna działaczy społecznych — wyjąwszy prężne koło Ligi Kobiet — ale myślę, że na tym polu wreszcie coś drgnie w związku z niedawnym powstaniem u nas oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, do którego zresztą sam zgłosiłem akces.

— Społecznicy jednak nie rozwiążą podstawowych problemów miasta.

— Oczywiście, że nie. Niektóre z naszych bolączek można załagodzić tylko pieniędzmi, a tych nigdy nie jest za wiele, na załatwienie innych potrzeba tak zwanych mocy przerobowych, których Jastarnia — jako miasto bez przemysłu — po prostu nie posiada. Sprawa najbardziej paląca dzisiaj to brak kanalizacji i wiązanie się z tym problem dołów asenizacyjnych.

— Czyli szamb.

— Tak, tak zwanych... Naszych siedem samochodów asenizacyjnych wybiera nieczystości i wywozi je po prostu na pażyce (łaki) za Jastarnią.

— Skąd spływają one do zatoki.

— Oczywiście, niestety, tak. Ale nie mamy innego wyjścia. Gdybyśmy chcieli wozik fekalia do najbliższej luźniejszej oczyszczalni, w Jastrzębiej Górze, trzeba by czterdziestu ciągle sprawnych — szczególnie w sezonie — samochodów asenizacyjnych. Skąd wziąć te samochody? Skąd wziąć kierowców i mechaników? Kto by nam przydzielił większe limity paliwa i kto miałby za nie płacić?

— A inne problemy komunalne?

— Uszczupla nam się baza noclegowa (w ciągu ostatnich pięciu lat o ponad połowę — do ilości około dwóch i pół tysiąca miejsc), brakuje infrastruktury turystycznej. Poza tym cierpimy na anemię kulturalną.

Brak jest świeżych danych o stanie życia kulturalnego, ale chyba nie zmieniło się ono wiele od roku 1970, kiedy to ówczesny wikariusz parafii w Jastarni (obecnie proboszcz w Grębocinie pod Toruniem), ksiądz Zygmunt Frost, zbierał materiały do swej socjologicznej pracy magisterskiej *Religijność ludności kaszubskiej w parafii Jastarnia*. Stwierdził w niej, że najliczniej prenumerowanym periodykiem w Jastarni jest „Hodowca Drobного Inwentarza” (dla 270 hodowców norek), a dopiero potem idą czasopisma o profilu katolickim i morskim. W kinie o 230 miejscach seanse odbywają się często przy minimalnej ilości widzów. Najchętniej oglądane są westerny i kryminały, natomiast kompletny brak zainteresowania dotyczy filmów problemowych, biograficznych i popularnonaukowych.

Rozpatrując mentalność swoich owieczek, ksiądz Frost dał także ciekawą analizę bezpośredniego i pośredniego wpływu turystów na zmianę obyczajowości rybaków:

„Przez wczasowiczów mieszkańcy Jastarni w znacznej mierze poprawili sobie polszczyznę (w pierwszych latach po wojnie turyści niekiedy z trudem porozumiewali się z rodowitymi Kaszubami), poznali ludzi z innych regionów Polski, zawarli wiele cennych znajomości otwierających im możliwości zwiedzenia naszego kraju, zapoznania się ze sposobem życia innych grup etnicznych (...).

Następuje wymiana poglądów zwłaszcza między tubylcami i wczasowiczami, którzy przez szereg lat przyjeżdżają do Jastarni. Są oni niekiedy prawdziwym autorytetem dla Kaszubów — przede wszystkim, kiedy okazali pozytywne cechy charakteru i życzliwość. (...)

Bywa jednak, że (...) zwłaszcza młode pokolenie wczasowiczów, które podczas swoich urlopów korzysta ze swobody, wywiera wpływ ujemny (...) na bezkrytyczną młodzież Jastarni, która nie zdając sobie sprawy, że ci przybyśle tylko przez dwa lub trzy tygodnie mogą dla relaksu zażywać wolności i odprężenia, chciałaby przejąć ich styl życia na co dzień. Deprawacja idzie w kierunku porzucenia tra-

dycji religijnej, bezkrytycznego przejmowania najnowszej mody, swobody seksualnej, picia alkoholu, cwaniactwa i szukania łatwego zarobku. Samo nagromadzenie się wielkiej ilości mieszkańców w sezonie letnim sprawia, iż miejscowi, którzy dotąd żyli w bardzo zwartej grupie sąsiedzkiej, zostają zagubieni i mniej znani, a także zauważani przez siebie wzajemnie. Wyzwała to niższe instynkty, nie skrepowane przez rodzinę i inne bliskie osoby."

— To prawda — kiwa głową Marian Selin, jeden z dwóch jastarniańskich poetów — ja jeszcze trochę pamiętam, jak to dawniej było. Pamiętam wyganianie wczasowiczów z łózek, kiedy w kościele na sumę dzwonili, pamiętam nieporozumienia słowne. Przychodził kiedyś letnik do gospodyni i prosi o wia dro, a ta mu niesie *jadro* (sieć). Po krótkim wyjaśnieniu gospodyni już rozumie o co chodzi, tylko nie może się nadziwić, że letnik od razu nie poprosił o *wamborek*. Innym razem letnik życzył sobie obrusa, a dostał święty obraz. Jeszcze kiedy indziej zapytany przez gospodynię, czy mu wystarczy jedna poduszka, odpowiedział, że tak, bo przywiózł ze sobą „*jaśka*”. Gospodyni wyszła zgorzonna i dopiero pod wieczór domyśliła się, że „*Antki*” nazywają „*jaśkami*” *zagłówek*.

— Dzisiaj już chyba takie rzeczy się nie zdarzają.

— Nie, nie, radio, prasa i telewizja zrobiły swoje. Ale starzy wciąż jeszcze na przykład bardzo się krzywią na wczasową goliznę, szczególnie w kościele. Niejedną już roznegliżowaną wczasowiczkę kościelny przepędził z nabożeństwa.

„Parafianie z Jastarni — pisze w swojej pracy książkę Frost — czują się z jednej strony związani z Kościołem, z drugiej zaś są rzeczywście religijni. Do religii skłania ich niewątpliwie sytuacja, w jakiej się znajdują. Rybak, bywając często na morzu, czuje się zagrożony żywiołami wody i wichru. Środowisko przyrodnicze mówi mu o potęgze Boga, jak również o ciągłym zagrożeniu życia. (...)

Znamiennym jest fakt, że rybacy u wejścia do kubryka na kutrach mają napis „*Bóg z nami*”, a wewnątrz znajduje się krzyżyk lub święty obrazek. Rybacy zabierają też z sobą wodę św. Agaty, którą na wypadek sztormu lub innych niebezpieczeństw wlewają kroplami do morza, z wiarą przyjmując, że sztorm minie i morze się uciszy.

W niebezpieczeństwie wielu rybaków składa przyrzeczenia i śluby, wzywając na pomoc albo Matkę Boską Swarzewską, albo św. Antoniego. Nikt jednak z treści tych ślubowań nie zdradza się przed drugimi."

Owe śluby to najczęściej okresowe wstrzymanie się od picia alkoholu. Jeśli zatem znany moczymorda nagle zaczyna całymi dniami rąbać drewno, latać sieci albo konserwować samochód, a do knajpy nie zagląda, to wiadomo, że musiał coś sobie przysiąc. Nie wszyscy jednak składają sobie obietnice albo też nie wszyscy bywają w niebezpieczeństwie, skoro „*Róża Wiatrów*” tętni co wieczór męskim gwarem.

Oddajmy raz jeszcze głos księdzu Frostowi:

„Dosyć powszechnym zjawiskiem negatywnym w parafii Jastarnia jest pijaństwo. Źródłem jego są: dość duża zamożność mieszkańców, sporo wolnego czasu, zajęcia nie związane z dyscypliną pracy, brak rozrywek kulturalnych, u młodzieży natomiast chęć imponowania i manifestowania swej dojrzałości. (...)

Kłótnie i gniewy sąsiedzkie mają dość niezwykłą postać. Kaszubi nie okazują najczęściej swoich stanów wewnętrznych, dlatego nie słyszy się raczej głośniejszych awantur i bijatyk, ale potrafią nie rozmawiać z sąsiadem przez wiele lat. Żywią ukrytą niechęć i złość nierzaz tak silną, że trudno w jakikolwiek sposób nakłonić ich do zgody. Najczęstszym powodem uniemożliwiającym doprowadzenie do zgody jest przesadna ambicja i honor oraz chęć postawienia na swoim za wszelką cenę."

Osiedleni w Jastarni przybyłe z „*kraju*” nazywają ów honor kaszubskim hermetyzmem lub kaszubską podejrzliwością. — Trzymają się w kupie, wie



pan, a człowiek z „*lądu*” zawsze będzie dla nich obcy i niepewny, jego dzieci też. Oni tu jeszcze do niedawna twierdzili, że: „*kto mówi po polsku, ten kłamie i kradnie*”. Czy słyszał pan coś podobnego? Przecież oni tak samo kłamią i kradną, jak każda inna nacja, a ta ich pobożność to jest tylko na pokaz. Do kościoła chodzą, żeby pokazywać nowe ubrania i żeby się nie narazić na plotki. Tak, tak, wiem, co mówię. Nie, nazwiska nie podam, bo by mnie tutaj zjedli.

Stanisław Pieper, sekretarz Zrzeszenia Rybaków Morskich w Jastarni, aż zaciska pięści, gdy słyszy takie zarzuty. — Czy pan wie — pyta — jak tu bywało dawnymi laty? Jeszcze przed ostatnią wojną, kiedy przez kilka lat z rzędu zdarzały się obfite połowy szprotów, handlarze i spekulanci tak darli skórę z rybaków, że aż trzeszczało. Ceny w sezonie połowowym potrafiły spaść czterdziestokrotnie. Dochodziło do tego, że zrozpaczeni rybacy woleli sprzedawać ryby gburom jako nawóz, bo to się bardziej kalkulowało. Nas przez wieki tłamszono i oszukiwano, dlatego trudno się dziwić, że jesteśmy nieufni. To jest wynik wielopokoleniowych doświadczeń. Ale jak się Kaszuba do kogoś przekona, to już nie ma dla niego znaczenia, czy ten ktoś jest z gór, czy z łąk, czy znad morza. Tylko to musi być Człowiek.

— Mówią jednak przyjezdni, a tutaj osiedleni, że wasze charaktery się zmieniły, że ciągle wam teraz mało pieniędzy, że nie dość, iż macie worki złota dzięki kutrom, to jeszcze odnajmujecie letnikom całe wille, mieszkając samemu w piwnicach, posyłacie w sezonie żony do sprzątania w ośrodkach wczasowych i hodujecie norki, z których macie dodatkowe miliony.

— Naopowiadał panu głupot jakiś zawistnik. Przede wszystkim kutrów jest w samej Jastarni tylko dwadzieścia pięć (a za to dziewięćdziesiąt jeden łodzi motorowych). Wśród ludzi znajdzie się na pewno trochę ludzi zamożnych, ale nie tak, jak się niektórym wydaje. Jedno wypłynięcie kutra w morze to dziesięć tysięcy złotych za samą ropę. A gdzie opakowania (skrzynki), łód, części zamienne, farby, sieci, ubrania, pensje dla załogi? Na wszystko trzeba bulić.

— Ale włożone w kuter miliony muszą się chyba zwrócić?

— Wszystkie kutry rybaków indywidualnych to jednostki złomowane przez przedsiębiorstwa społeczne. Nikt przecież nie kupi nowego kutra za trzydzieści milionów, ale niejednego stać na złom za trzysta tysięcy.

Stara Jastarnia w zdjęciach



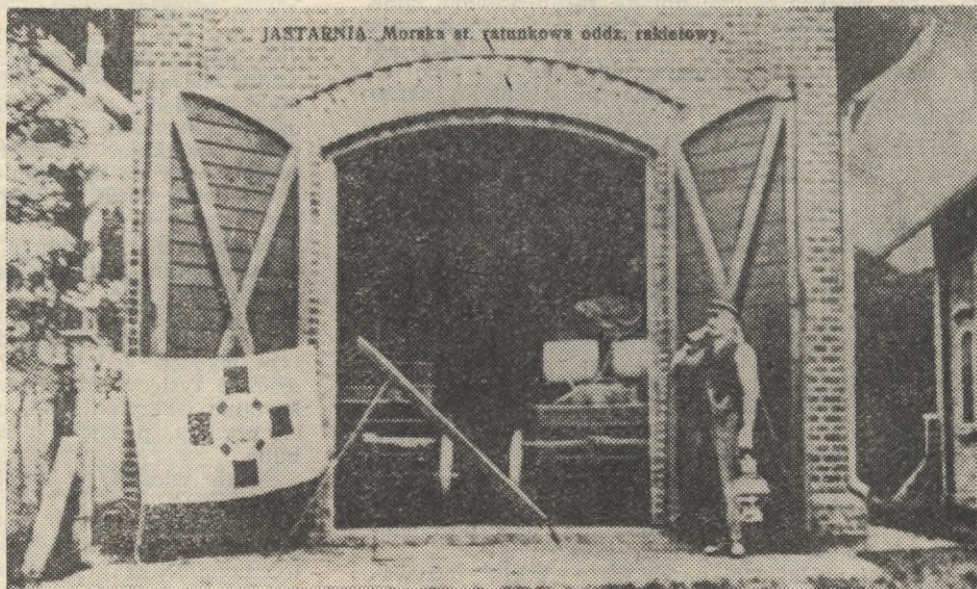
Przystań żeglugowa

Prezentujemy obok pięć fotografii ze zbioru Antoniego Konkela, lekarza w Jastarni (wszystkie pochodzą prawdopodobnie z lat trzydziestych XX wieku). Sam zbieracz tak napisał do nas o swojej powiększającej się z roku na rok kolekcji:

„Zbieranie rozpocząłem przed około 15 laty. Moje zainteresowania koncentrują się na zdjęciach dotyczących Jastarni, rybołówstwa, ludowego szkutnictwa, a także na dokumentach i książkach związanych z tą tematyką. Zbieram także drobne sprzęty rybackie, gospodarskie i inne, które obecnie już znaleźć można tylko na bardzo starych stry-



Pierwszy budynek „dworca”



Morska stacja ratunkowa

chach. Powodem mojej pasji stała się chęć ocalenia, choćby w małym zakresie, tego, co już minęło. Przecież na moich oczach niszczały przedmioty, które jeszcze nie tak dawno były w powszechnym użytku. Zniknęły na przykład niektóre typy łodzi (pomieranki, kutry żaglowe), giną powoli kaszubskie łodzie żaglowe, ulegają również zapomnieniu słowa, którymi określano części takielunku. Ocalenie rzeczy jest więc ocaleniem słów. Przykłady można by mnożyć.

Żywię nadzieję, że może mój skromny zbiór ułatwi kiedyś pracę tym, którzy interesują się bliżej naszym regionem. Marzę o tym, aby wystawić to co zebrałem. Niechby zdjęcia, dokumenty i przedmioty codziennego użytku przypominały, jak to dawniej w Jastarni bywało”.

Repr. fot. wyk.

Zbigniew Trybek



Przystań żeglugowa



Kawiarnia „Warszawska”

— I jeszcze na tym pływa?

— Pływa przez dziesięć lat. Rybak umie dbać o swoją własność, wie, jak się obchodzić z silnikiem, nie przecięża jednostki bez potrzeby.

— A wrócimy jeszcze do letników i norek.

— Więc każdy dorabia, jak potrafi. Ryby nie zawsze są w toniach, a w sezonie przydaje się gotowy grosz. Hodowla norek jest znowu bardzo ważna dla ludzi starych, samotnych (mamy dużo wdów), skazanych na niskie emerytury. Odpadków do karmienia jest dosyć — zawsze ktoś ma w rodzinie rybaka.

W porze obiadowej płynie nad Jastarnią zapach smażonych lub gotowanych ryb. Nie są to oczywi-

ście wandzelki na węgliszkach, nie są to ksjiny, czyli flaczki z węgorzy. Woń wydzielają świeże filety. Rybacy często spożywają ryby, ale — jak sami przyznają — nigdy im się one nie przejadły. Białki znają zresztą dziesiątki sposobów przyrządzania darów morza i dogadzania w ten sposób swoim chłopom. Od wieków jadło się tu bardzo niewiele warzyw i owoców, a jednak ludzie długo zachowywali zdrowie i siły. To dzięki rybom, w których mięsie znajdują się między innymi wapń, fosfor, witaminy.

Doktor Antoni Konkel, jedyny lekarz ogólny w Jastarni, raczej jest zadowolony ze stanu zdrowotności swoich pacjentów. 20-letnia praktyka pozwala mu twierdzić, że na sporą tężyznę fizyczną tutejszej lud-

ności wpływa małe zanieczyszczenie atmosfery, sąsiedztwo lasu, ruchliwa praca na powietrzu oraz właśnie typ pożywienia. Choroby reumatyczne — wbrew pozorom — występują na półwyspie nie częściej niż gdzie indziej, może tylko trochę więcej jest przypadków reumatyzmu stawów rąk.

— Ludzie tutejsi, czyli „nasińcy”, byli jeszcze do niedawna dosyć zabobonni i dotyczyło to również spraw zdrowia — uśmiecha się doktor, przecierając okulary. Pamiętam pacjenta, który cierpiał okresowo na zaostrzającą się chorobę skóry. Zanim zgłosił się po poradę, postanowił wypraktykować ludowy sposób dla odczynienia uroku. W tym celu rozebrał się do naga, chwycił sieć, która jeszcze nigdy nie była w morzu i rzucił ją trzy razy za siebie. Ponieważ jednak „złe” nie puściło, przyszedł do mnie.

Będąc zwykłym do chorych mieszkającym w czerwonych domkach i ocieplonych szopach, ale także w wyniosłych prywatnych „kamienicach”, rozumiał doktor w pewnym momencie, że przy naporze obecnej cywilizacji bezpowrotnie zanika „rybaków „stare”. Coraz mniej zachowuje się dawnych sprzętów, dokumentów, fotografii, używa nawet wyrazów w rybackim słowniku. Bo czy ktoś z młodych pamięta dzisiaj, co to są *bierdzala* („raki” do butów — dla chodzenia po lodzie), co to *igie* (podwójne jarzmo dla krów) albo *żemper* (bluza z wykładanym kołnierzem)? Ojciec i dziadek doktora byli rybakami, żona także wywodzi się z rybackiej rodziny. Jak w tej sytuacji nie czuć się w obowiązku ratowania od zapomnienia choćby cząstki tutejszej przeszłości, szczególnie, gdy się jest prezesem oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. — Byłbym szczęśliwy — mówi cicho doktor — gdyby mój skromny zbiór stał się w przyszłości zaczynem regionalnej izby pamięci, na przykład w starym domku rybackim przy ulicy Rynkowej 10, jeśli miastu uda się go wykupić z rąk prywatnych.

Jastarnia jest miastem o wyjątkowo zagmatwanej dokumentacji niektórych nieruchomości. Do 1974 roku, kiedy prawo budowlane nie wymagało wykazywania się aktem własności w stosunku do terenu, na którym ktoś chciał się budować, wszystko było jako tako. Wystarczył dowód zasiedzenia i zgodność placu budowy z ogólnym planem zagospodarowania przestrzennego. Obecnie potrzebne są akty własności, a w Jastarni mało kto je sporządzał. Od wieków sprawy spadkowe załatwiano tu przede wszystkim na słowo — wystarczało „że „wszyscy wiedzieli”. Problem ten wychodzi teraz z całą mocą, bo postępowanie spadkowe coraz częściej dotyczy również osób pochodzących spoza półwyspu, ale wżenionych w miejscowe rodziny. Ludzie ci nie chcą już niczego „na gębę”, żądają uregulowań, które często są niemożliwe bez kosztownego procesu sądowego (na przykład, jeśli działka zapisana jest na nieżyjącego od wielu lat pradziadka żony). Poza tym, zachodzą takie sytuacje, że do jednego domu lub jego części zgłasza pretensje kilka spokrewnionych rodzin, przy czym żadna nie ma rozstrzygających kwestii dokumentów. W ten sposób nikt z owego kręgu osób nie może się na danej posesji budować, remontować, burzyć i tak dalej.

Młody architekt miejski w Jastarni, Bogdan Marzsał, rysuje na kartce szkice, prowadzi strzałki, dostawia cyfry. Z konstrukcji tych wylania się obraz poplątanej do niemożliwości sytuacji budowlanej miasta. Przede wszystkim brakuje materiałów: wapna, gazobetonu, cegieł, papy, szkła, drewna... (zalecenia konserwatorskie zobowiązują do stosowania w Jastarni dachów dwuspadowych, ale miasto prawie w ogóle nie dostaje długich krokwi i eternitu). Ludzie nie otrzymujący pozwoleń na wznoszenie rozmaitych przybudówek, werand, szopek, robią to po prostu na dziko. Przepisy wymagają wykopywania piwnic w grunt, ale tutaj oznaczałoby to wiecznie stojącą wodę. Przepisy każą stawiać domy w odległości nie mniejszej niż 8 metrów od siebie, ale w Jastarni, szczególnie w starym kompleksie koło kościoła, jest to po prostu niemożliwe. Do tego dochodzi problem wąskich a długich działek prywatnych, których właściciele trzymają je „na wszelki wypadek” i nie chcą odstąpić miastu pod budownictwo

mieszkaniowe. Do tego dochodzi jeszcze dziesięć problemów pomniejszych.

Odmiennych kłopotów dostarcza administrowanie gruntami w Juracie. Urząd Miejski w Jastarni nie może uregulować 90 procent spraw związanych z tamtejszymi nieruchomościami, ponieważ są to najczęściej działki poddzierżawione na 90 lat od przedwojennej Spółki Akcyjnej „Jurata” (za 1000-metrową działkę trzeba było wówczas zapłacić 12.000 zł w złoście). Spółka ta — na co są dokumenty — zawarła umowę z Dyrekcją Lasów Państwowych na dzierżawę 150 hektarów lasu na Półwyspie Helskim. Umowa wygasa 14 lutego 2018 roku.

Generalnym projektantem planu ogólnego zagospodarowania Jastarni-Juraty (Kućnicy także, ale w osobnym opracowaniu) jest mgr inż. arch. Brunon Wandtke z Pracowni Zagospodarowania Turystycznego przy Biurze Planowania Przestrzennego w Gdańsku. Kierowany przezeń zespół dokonał w roku ubiegłym szczegółowej inwentaryzacji zabudowań w obu osiedlach, przy czym początkowo opisywano tylko po 3 budynki dziennie, ponieważ „człowiek może wypić pod rząd tylko trzy kawy u gościnnych ludzi”. Całą operację przyspieszył anons z ambony, dokonany na prośbę architektów przez proboszcza Zdzisława Bembińskiego.

Wynik końcowy pracy grupy pomiarowej jest ciekawy, choć — dla laika — dość szczegółowy. Wynika z niego w każdym razie, że w Jastarni-Juracie znajduje się 508 budynków mieszkalnych, w zasadzie prywatnych, z czego za budynki o wartościach kulturowych zasługujących na ochronę uznano aż 190, a za zabytki — 25.

„Zabudowę zarówno Jastarni, jak i Juraty charakteryzuje drobna skala budynków. W szczególności wyróżniają się dwa kompleksy zwartej zabudowy historycznej: wokół kościoła i w Jastarni-Borze. Są to niewielkie budynki z czerwonej cegły, zwieńczone szczytowym dachem, pokryte ceramiczną dachówką. Większość z nich wpisano do rejestru obiektów zabytkowych. Niestety, współczesna zabudowa jednorodzinna w większości charakteryzuje się bezwyrazową architekturą. Zanotowano tu szereg obiektów przeskalowanych, nie pasujących do ogólnego wystroju miasteczka.”

W zwyczajny, późnowiosenny dzień słychać po jastarniańskich zabudowaniach stukot młotków murarskich i warkot pił. Na podwórzach leżą worki cementu i piachu, kupki gruzu i cegieł. Po ulicach przechodzi z zagadkowym uśmiechem dobroduszny Antoni Pieper, drugi z jastarniańskich wieszczów. Od wielu lat tętno swojej piaszczystej ziemi ujmuje w strofy:

„(...) Pieśń, która czasem we mnie się zrywa,
prosta jak życie jest i nieuczona,
razem z wiatrem, z szumem morza śpiewa
rybakom, nie w mieście po salonach. (...)”

— Jak ci leci? — krzyczy pan Antoni do krępego człowieka z kręconą czupryną (to już przy końcu Boru).

— W porządku, w porządku — odmachuje mocną, grubą dłoń Juliusz Struck (syn Roberta), ostatni szkutnik „na Rybakach”. Wyciąga teraz właśnie na słońce żółto pomalowaną łódź, najnowsze dębowe dziecko cierpliwości i doświadczenia.

Tu i ówdzie ktoś poprawia rynnę, oliwi furtkę, omiata ścieżki w ogródku. Ławki na skwerkach lśnią świeżą bielą. Nawet rany Chrystusa w przydrożnych krzyżach pociągnięto czerwoną farbą. Ludzie kują, odnawiają, reperują w milczeniu, złączeni ideą, którą przy różnych okazjach lubi rzucać sekretarz Urzędu Miasta, Gerard Lisakowski: „Jastarnia nie zginie jako lotnisko, dopóki ma morski klimat i białe piaski na plażach.”

— Czyli jak długo jeszcze? — zapytuje retorycznie nadzorca ochrony wybrzeża Stanisław Rybarczyk, autor zredagowanego przed miesiącem 9-stronicowego, bijącego na alarm apelu o ratowanie miasteczka.

(maj 1983 r.)

Pomorzanie w Nowej Zelandii

Ks. Władysław Szulist

Jednym z obywateli, zasłużonych dla Nowej Zelandii, którzy zachowali świadomość swego polskiego pochodzenia, był Gustaw von Tempsky.¹⁾ Urodził się na Śląsku w Legnicy w 1828 r. Jego przodkowie wywodzili się z rdzennej szlachty kaszubskiej z miejscowości Tęcz koło Wejherowa. Po przeniesieniu się na Śląsk ulegli znacznej germanizacji.

Gustaw v. Tempsky w 1847 r. znalazł się w Londynie, w 11 lat później przybył z rodziną do Melbourne w Australii, zaś w Nowej Zelandii zastaliśmy go w 1862 r. Tam zaproponowano mu zorganizowanie specjalnego oddziału leśnego do walki z Maorysami. Udana walka przyczyniła się do jego awansu na stopień majora, który to otrzymał już w 1864 r. Ginie z rąk Maorysów w 1868 r., mając zaledwie 40 lat²⁾:

Gustaw von Tempsky był wówczas jedynym człowiekiem bardziej znanym w Nowej Zelandii, którego przodkowie pochodzili z Pomorza. W kilka lat po jego śmierci, w latach siedemdziesiątych XIX wieku, na teren Nowej Zelandii przybywają już liczniejsi emigranci z Pomorza. 4.08.1876 r. przybyło do portu Wellington 17 rodzin (Alfuth, Brzoska (Bzonska), Drzewicki, Fabiasz, Fabish, Jakubowski, Kowalewski, Kukliński, Labowski, Lewandowski, Meller, Prus (Preuss), Rogacki (Rogutki), Rzaska, Rzoska (Rzonska), Treder i Turczyk (86 osób ze wsi Kokoszkowy koło Starogardu Gdańskiego³⁾). Wyłynęli oni z Hamburga 12.04.1876 roku na statku „Fritz Reuter”. Kwestią sporną okazało się miejsce ich pochodzenia. J. Pobóg-Jaworowski podał Kokoszki koło Matarni, obecnie dzielnica Gdańska⁴⁾. Wspomniat także o właścicielu tej wsi, Wircu. Otóż okazało się, że wspomniany Eduard Würtz⁵⁾ w 1880 r. był właścicielem Kokoszek koło Starogardu, obecnie nazywanych Kokoszkowy. Dobra te wówczas dzierżawił George Würtz (Lieutenant). Majątek liczył wtedy 1046 ha. Należały do niego gorzelnia, młyn i cegielnia. Według danych z 1869 r.⁶⁾ dobra (Erbpachtsgut) obejmowały 4106 morgów z 21 domami mieszkalnymi, 367 mieszkańcami, w tym 298 katolików i 69 ewangelików. Statystyka z 1879 r. wymienia 22 domy zamieszkałe przez 336 mieszkańców⁷⁾. Wieś w omawianym czasie (jak i obecnie) posiadała kościół parafiany. W 1935 r. planem parcelacyjnym objęto

305 ha majątku Franciszka Würtza. Na krótko przed wyzwoleniem w 1945 r. opuścił majątek⁸⁾.

Würtz zapisał się w pamięci emigrantów od najgorszej strony. Ponieważ mieszkańcy Kokoszkowych nie bardzo chcieli odbywać służbę wojskową w czasie wojny prusko-francuskiej 1870 r., Würtz w porozumieniu z Landratem obmyślił podstępny sposób wywłaszczenia ich z ziemi. Zapowiedziano im, że jeśli będą produkować żywność dla armii, nie będą zaciągani na front i bez podejrzeń oddali Würtzowi na przechowanie dokumenty i tytuły własności, które rzekomo miał przedstawić w starostwie. Gdy po skończonej wojnie mieszkańcy Kokoszkowych domagali się zwrotu dokumentów, miał im odpowiedzieć: jaka ziemia, jakie papiery? Nie pozostało im wtedy nic innego — o czym pisze wspomniany J. Pobóg-Jaworowski — jak tylko emigrować za morze.

Do Nowej Zelandii wędrowali również mieszkańcy z innych powiatów ówczesnych Prus Zachodnich. Według J. Pobóg-Jaworowskiego August Ulenberg pochodził ze „Starogardu”, gdzie się urodził w 1865 r. Chodzi tu niewątpliwie o Starogard Gdański, gdyż podobnie przy przodkach Schimanskiego odnotowano, że urodzili się w miejscowościach Dirschau (czyli Tczewie) i w Starogardzie. W 1872 r. do Christchurch przybył z Rytyla pow. Chojnice Watembach. Miejscem urodzenia Tomasza Potroza według tegoż autora były również Kokoszkowy. Metryki chrztu Michała Hoffmana i Augustyny Hoffman wskazyują, że zostali ochrzczeni w Subkowach i Lubiszewie w latach 1825 i 1872. Przesłany mi przez J. Pobóg-Jaworowskiego spis miejscowości z Pomorza poza wyżej wymienionymi obejmuje jeszcze Elbląg, Pszczółki, Sztum i Turze. Emigranci wywodzili się również z Prus Wschodnich, Pomorza Zachodniego, Wielkopolski i Śląska, tylko nieliczni z zaboru rosyjskiego.

Dalszych danych o pochodzeniu emigrantów dostarcza L. Paszkowski. Według niego Józef Gradowski urodził się w 1832 r. w Czersku na Pomorzu, zaś Jan i Józef Zajonskowscy w Gdańsku. (W. Helman w pracy „Polonia w Australii i Nowej Zelandii”, wydanej w 1979 r. w Lublinie, nie omawia pomorskiej emigracji). „Według informacji ks. dra Leona Plate-ry, kierownika Polskiej Misji Katolickiej w Wellington — pisze w swej książce Paszkowski — emigranci polscy w XIX wieku byli przeważnie kaszubskiego pochodzenia i wywodzili się z okolic Gdańska i Kokoszek”. W innym miejscu podaje „mamy wieśniaków z dawnych Prus Królewskich”.

Pozostaje do rozstrzygnięcia jeszcze problem kaszubskiego osadnictwa w Nowej Zelandii, który stał się szczególnie głośny po ukazaniu się drukiem książki J. Pobóg-Jaworowskiego, chociaż ten autor o nich nie wspomina. Stało się to zapewne dlatego, że pomylił, jak już zaznaczyłem, Kokoszkowy koło Starogardu z dzielnicą Gdańska Kokoszki. Te pierwsze tworzą teren językowo-etnograficzny Kociewia, zaś te ostatnie Kaszub. Ze wśród polskich osadników w Nowej Zelandii są także Kaszubi nie ulega najmniejszej wątpliwości, na co wskazują już przytoczone da-

8. J. Milewski, Dzieje wsi powiatu starogardzkiego, Gdańsk 1968, s. 133—134.

9. J. Zubrzycki, Polska emigracja do krajów Wspólnoty Brytyjskiej. Studium demograficzne, Przegląd Polonijny 1976, z. 2, s. 66.

1. L. Paszkowski, Polacy w Australii i Oceanii 1790—1940, Londyn 1962, s. 189. Liczbę polskich emigrantów w Nowej Zelandii ocenia się na ok. 3000 osób, z tego 2000 przypada na Wellington (Studia Polonijne 1: 1970, s. 315. Por. także: ks. Z. Kaczmarek, Duszpasterstwo polskie w Nowej Zelandii, Collectanea Theologica 43(1973) f. I, s. 179—181.

2. Dał się także poznać w walkach w Hondurasie i Meksyku. Napisał książkę „Mitla” wydaną w Londynie w 1858 r. oraz nie wydany pamiętnik z wojen Maoryskich. Ten urodzony poliglota zdradzał także zdolności malar-skie.

3. J. W. Pobóg-Jaworowski, Polish Settlers in Taranaki 1876—1976, Broadway, Stratford 1976, s. 1 i 5.

4. Tamże s. 7. Por. także list J. Pobóg-Jaworowskiego do piszącego te słowa z dnia 30.07.1980 r.

5. Handbuch des Grundbesitzes im Deutschen Reiche. Die Provinz Westpreussen, Berlin 1880, s. 216—217. K. Jeżowa (Der Grundbesitz in Weichselpommern zur Zeit der Teilungen Polens und vor dem Weltkrieg, Danzig 1934, s. 123) podaje Eduarda Würtza jako właściciela Herma-nowa.

6. Topographisch-statistisches Handbuch für den Regierungsbezirk Danzig, Danzig 1869, s. 208.

7. Statistische Darstellung des Kreises Preuss. Stargard 1879, s. 74.

ne L. Paszkowskiego. Najstarsi przedstawiciele osadników zarówno na Wyspie Północnej jak i Południowej, mówili jeszcze w 1958 r. — jak podaje Paszkowski — po polsku, a raczej po kaszubsku. Pozostaje jednak do zbadania ich liczba. J. Pobóg-Jaworowski podaje w liście do mnie (z dnia 2.10.1980 r.), że mniejsze grupy ludzi z Pomorza, w tym także z Kaszub osiedliły się w 4 lub 5 różnych miejscowościach czy okręgach. Natomiast J. Zubrzycki pisze, że wśród osadników ze wschodnich terenów Niemiec znajdowało się około 150 Polaków z Kaszub¹⁰). Należy przypuszczać, że tę sprawę wyjaśni następna książka J. Pobóg-Jaworowskiego, która będzie dotyczyć całego polskiego osadnictwa w Nowej Zelandii. W okręgu Taranaki wyrażenie Kaszuba jest obce polskiemu osadnikom. J. Pobóg-Jaworowski często słyszał: my Pomorzaki, my z Prusaków, my Poloki, my germańskie Poloki, ale nie Kaszubi, o czym pisał w liście z 30.07.1980 r. Z tej też racji do publikacji krajowych jak i prasy polonijnej, które ukazały się w związku ze stuleciem osadnictwa polskiego w Nowej Zelandii, należy podchodzić z dużym krytycyzmem¹⁰).

Najlichniesza grupa emigrantów z Pomorza osiedliła się na Wyspie Północnej w prowincji Taranaki w parafiach Inglewood i Stratford (L. Paszkowski... s. 77), wielu z nich przyjechało wspomnianym statkiem „Fritz Reuter”. Spis z 1882 r. podaje jeszcze

10. Kaszubi w Nowej Zelandii, Biuletyn Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego 1965 nr 3/6, maj-czerwiec s. 25. 100 lat kaszubskiej Polonii w Nowej Zelandii, Pomerania 1977 nr 2, s. 40; A. Chciuk, Stulecie Taranaki, Dziennik Polski 7.04.1977 r.; Kaszubi w Nowej Zelandii, Kronika Tygodnia, Głos Ludowy Toronto 19.4.1980 r.

inne miejscowości w okręgu Taranaki jak: Waipuku, Midhurst i Hawera. Część emigrantów osiedliła się w Jackson Bay, Hokitika, Halcombe, Waipara, Canterbury, Dunedin i Christchurch.

Początki pomorskich osadników w okręgu Taranaki były niezwykle trudne. Pracę rozpoczynali od karczowania dzikiego buszu. Mieszkali w prymitywnych szałasach, w których za podłogę służyła ubita ziemia. Wielkie odległości od szkół sprawiały, że dzieci bywały w nich tylko gośćmi. Życie tych osadników w pionierskim okresie można porównać do kaszubskiego osadnictwa w Polonii Wisconsin i ontaryjskich Kaszubów na Wyżynie Madawski¹¹).

Niewiele już pozostało w ich życiu polskich elementów narodowych, zwyczajowych czy kościelnych. Starsi odmawiają jeszcze pacierz po polsku. W ich domach spotyka się przywiezione ze Starego Kraju obrazy Matki Boskiej i świętych, religijną prasę i śpiewniki kościelne. Ze zwyczajów J. Pobóg-Jaworowski wspomina tylko pustą noc. Ta ostatnia — przypomnijmy — zachowała się także u ontaryjskich Kaszubów w Barry's Bay¹²).

Obecnie polscy potomkowie w okręgu Taranaki są zainteresowani miejscem swego pochodzenia. Świadomość polskiego — pomorskiego — pochodzenia pogłębiły uroczystości milenijne, jak również 100-lecie osadnictwa w Taranaki.

11. R. M. Gard, My Land, My Home, My Wisconsin, Milwaukee 1978 oraz Clyde C. Kennedy, The Upper Ottawa Valley, Pembroke Ontario 1970.

12. John Michael Glofcheskie, Folk Music of Canada Oldest Polish Community. National Museum of Man, Ottawa 1980, s. 35—37.

Mój dom

(17)

Anna Łajming

Wiosna roku 1935-go przynosiła same smutne wieści. Na południu Polski ludność walczyła z powodzią. Setki hektarów ziemi i zabudowania stały pod wodą. Zrozpaczona ludność poniewierała się bez dachu nad głową. Dlatego organizowano w każdej kłodzie pewne uliczne na powodzian. Na ulicach kłębiło się pełno pań z puszkami i dziś jeszcze w uszach mam ich okrzyki: Proszę na powodzian! Proszę na powodzian! Pieniędzy nikt nie miał. A jeśli miał to bardzo mało. Niektórzy przechodnie wpadali do bram, by uniknąć spotkań znajomych kwestarzy, którym nie wypadało do puszek włożyć mało. Na ogół jednak ludność nie żałowała grosza. Prawie każdy przechodzień miał znaczek w klapie. Mój mąż swój znaczek zgubił i do domu wracać musieliśmy nie ulicami a parkiem. Może dlatego, przyspieszył kroku, stał się oschły a nawet niegrzeczny. Obrażona szłam z dziećmi z tyłu, ale w parku podniosłam ładny kawałek drzewa na rozpalkę.

— Po co to niesiesz? — krzyknął do mnie mąż oglądając się.

— To jest grosz, który trzeba podnieść!

— Odrzuć to, proszę cię! Jak to wygląda, żeby dama w parku zbierała drzewo — powiedział przystając i podał mi ramię.

W domu czułam się zmęczona tą przechadzką. Dzieci także marudziły aż do chwili, kiedy na niebie pojawiła się czarna chmura. W mieszkaniu zrobiło się ciemno i błysnęło. Jednocześnie zagrzmiąło z prze-

rażliwym trzaskiem. Mąż natychmiast wyłączył radio i uziemił antenę. Lunał deszcz. Burza z gwałtownymi grzmotami i błyskawicami trwała długą chwilę. Siedziałam z dziećmi i Adelą na leżance. Mąż przysiadł się do nas i objął mnie ramieniem. Po burzy pootwierał okna.

Lato było gorące. Włożyłam najłżejszą sukienkę i poszłam do miasta, by u Maciejewskiego kupić jakieś drobnostki z pasmanterii. Kiedy wracałam spostrzegłam elegancką panią w kostiumie podróżnym, która także mi się przyglądała, aż przystanęła. Ostu-piałam. Była to Bronia Lipska, najlepsza przyjaciółka z panińskich lat w Chojnicach. Zwierzałyśmy się sobie z naszych trosk, z losu dobrego i złego. Choć nigdy się nie pocałowaliśmy, wtedy przez chwilę trzymałyśmy w objęciach.

— Pani tu pracuje? — zapytała wreszcie.

— Nie, tu mam swój dom, męża i dzieci.

Jej twarz wyrażała wielkie zdziwienie i dopiero po chwili zapytała:

— To pani wyszła za mąż? A ja tak często myślałam o pani, co robi i jak jej idzie... A czy przynajmniej jest pani szczęśliwa?

— Chyba tak...

— Przyjechałam tu dziś rano z Grudziądza, aby coś załatwić dla naszego sklepiu. Wciąż jeszcze tam mieszkam. Mam siedmioletniego synka.

Zaprosiłam ją na obiad. Skierowałyśmy się w stronę domu, wciąż zerkając na siebie. Mówiliśmy o nie-

nie znaczących sprawach, choć ona myślała o mnie, a ja o niej, zawsze pięknej i pełnej wdzięku kobiecie. Niedługo wielkiej niewolnicy miłości.

W domu, siedząc na tapczanie, rozmawialiśmy ożywione.

— Cieszę się, że choć pani jest szczęśliwa — powiedziała po pewnym czasie.

— A pani? — zapytałam.

Bronia nagle mnie objęła, jej powieki zaróżowiły się jak niegdyś.

— Nie wolno wyjść za mąż tylko dlatego, by wyjść — odrzekła. — Nie miałam szczęścia w miłości, dotychczas nie mogę zapomnieć tamtego, z Chojnic.

— A czy on wart jest, aby go wspominać po tylu latach?

— Siedzi wciąż w moim sercu jak ostra szpilka. Zniweczył mi życie. Gdy wreszcie zwierzyłam się mężowi, myślałam, że tak będzie uczciwiej, że mnie zrozumie, on znienawidził mnie i straciłam wszystko. Zrobiłam błąd. Nie mam człowieka — przyjaciela, który by mnie zrozumiał, przed którym mogłabym się wyplakać, a nie udawać. Wszystko duszę w sobie i czuję się bardzo samotna.

Jej smutek udzielił się mnie. Tyle jej kiedyś zawdzięczałam, a teraz nic jej pomóc nie mogłam. Sięgnęłam po chusteczkę i osuszyłam łzy.

— Pani też płacze? — zapytała. — Zapewne ma pani podobne kłopoty, ale o nich nie mówi.

— To nerwy. Czasem trzeba sobie ulżyć łzami — odrzekłam. — Nie mówię, bo za dużo byłoby do mówienia... Myślę, że my, kobiety, mamy wiele problemów. Może błahych, ale są. Mówiła mi kiedyś starsza ode mnie osoba, mężatka, że życie jest inne od tego, jakie sobie dziewczyna wyobraża. Miała chyba na myśli, że w życiu wszystko można zaplanować, ale szczęścia nie. Bo jeśli dziewczyna nie wie, kogo ma wybrać na towarzysza życia, nie wie, kogo kocha naprawdę... To jest problem.

Lipska słuchając, zmrużyła oczy.

— To jest dla mnie nowe i niepojęte — rzekła po chwili i zapytała: — Czyżby był jeszcze kto inny w pani życiu?

Na to nie umiałam odpowiedzieć. Spuściłam wzrok i bawiąc się frędzelkami serwetki, po chwili mówiłam już zupełnie co innego:

— Zdarzało się, że potrafiłam myśleć o kimś innym, zupełnie obcym mężczyźnie, latami i z daleka. Ledwo go zobaczyłam, czar prysł i wszystko się rozwiązało bez żalu.

— To przecież są sprawy sztubackie, zupełnie bez znaczenia — zawołała Bronia, patrząc na mnie.

Przysunęła się bliżej mnie i spytała już głosem przyciszonym:

— A mąż?

— Mąż? To przecież zupełnie co innego. To jest uczucie z przywiązaniem, na stałe. Tym bardziej, że są dzieci — odrzekłam spiesząc jakbym bała się go utracić. — Mąż to jest dom. Nie wyobrażam sobie życia bez jego opieki. Szanuję go i poza nim żaden inny się nie liczy.

Zamilkłam, bo przecież znowu przypominałam sobie dawnego kolegę Tchórzewskiego, który wciąż mi sympatyzował, schlebiał a ja to pobiżałam i wykorzystywałam w różnych naszych sprawach i kłopotach. Dlatego dodałam:

— Naturalnie, że trzeba mieć jeszcze życzliwych przyjaciół... Kiedyś, zanim mojemu przyszłemu mężowi dałam słowo, najpierw bardzo pragnęłam porozmawiać z panią. Byłam wtedy w rozterce... Nie wiedziałam, czy byłam zakochana czy nie — dodałam już trochę płacząc się.

Bronia przyglądała się mnie uważnie i kiwała głową. Odsunawszy się, westchnęła głęboko i po namyśle rzekła:

— Żeby nie wiedzieć czy się jest zakochaną czy nie — powtórzyła, ruszając ramionami. — Wszystko o czym pani mówi, wydaje mi się nie ważne. Naturalnie, że w życiu nie wszystko jest tak jak się nam podoba, ale ważne jest, że nie dręczysz panią miłość do kogoś innego. Pani dużo lepiej wyładowała niż ja i życzę jej tego — mówiła, wciąż patrząc na mnie.

— Bo moje małżeństwo jest jak powrót przerwany i związany w duży supeł.

I to w potężny supeł — dodała zaopatrzona w jakiś punkt.

Podziwiałam jej piękny profil jak dawniej, przed dziesięciu laty, częściej smutny niż wesoły. Była ładna i pechowa. Jedyną jej pociechą chyba było umiejętnie ubieranie się i uroda, którą panowała dawniej jak i teraz. Zawsze dobra i subtelna, a wyszła za mąż za obliczonego kupca, egoistę.

— On się ożenił a dzieci nie ma — powiedziała nagle jakby z tryumfem i popatrzyła na mnie.

— Mówi pani o Stefanie Janowskim z Chojnic?

— A o kimże by? Mam dobry wywiad. — Po chwili dodała: — Wówczas był aplikantem, dziś jest sędzią, wielką figurą.

— Słyszałam, że nie ten szczęśliwy co jest kochany, a ten co kocha — powiedziałam, by ją pocieszyć i jeszcze dodałam: — Jestem pewna, że gdyby go pani teraz zobaczyła, przeszłoby jej. Stałby się nagle obcy... i miałyby pani spokój raz na zawsze — dodałam żywo i klasnęłam w dłonie.

Bronia, nie parząc na mnie, kręciła głową.

— Nie przejdzie mi — rzekła. — Umyslnie pojechałam raz do Chojnic, by go zobaczyć. Przekonać się, co by zrobił, gdyby mnie ujrzał. Przecież to jemu na złość wyszłam za mąż. Z biciem serca kręciłam się na ulicy Młyńskiej, w pobliżu sadu. Gdy go zobaczyłam, zachwiałam się i przystanęłam przy oknie wystawowym zupełnie nieprzytomna, cała drżąc. I choć nie oglądałam się, czułam że się zbliżał. Ujrzałam jego odbicie w oknie wystawowym, prawie że otarł się o mnie...

— No i co?

— No nic. Przypadek chciał, że nie zwrócił na mnie uwagi. Wydawało mi się, że się spieszył i mógł mnie nie zauważyć. Tak przynajmniej się pocieszałam. Do Grudziądza jednak wróciłam chora.

Tego ja znowu nie rozumiałam i rzekłam:

— Nie trzeba było tam jechać i wszystko odnawiać. Rozsadek powinien być silniejszy od miłości, kiedy się ma swój dom i dziecko. Ale my, kobiety jesteśmy biedne i głupie, żeby trapić się jakąś tam przebrzmiałą miłością, zajmować się jakimś rudawym facetem...

— Urwałam, bo Bronia ściągnęła brwi i powiedziała oschle:

— Co pani wie o prawdziwej miłości?

— Przepraszam — powiedziałam i objęłam ją serdecznie uściskiem a ona mi się odwzajemniła, płacząc. Zmieniliśmy temat. Rozmawialiśmy o naszych wspólnych znajomych, zanim odprowadziłam ją na dworzec. Było to też nasze ostatnie pożegnanie.

Z dworca wróciłam oszołomiona, iakby wytracona z moich obowiązków domowych. Gorliwie zajęłam się dziećmi, które przez te parę godzin zaniedbałam, oceniając, jak wiele znaczy harmonijne ognisko domowe i dobry mąż.

W jedną pogodną sobotę mąż zjawił się wcześniej, by wspólnie z nami pospacerować po parku. Akurat wtedy przyszedł do nas starszy pan Czergeiko, bo chciał zapłacić zaległe składki do ZER. Chętnie zajął miejsce. Mąż był trochę zdziwiony, ale kiedy gość oznajmił, że jego żona wyjechała na dwa tygodnie do Białegostoku, zrozumiał, że chłop zażywa swobody. A Czergeiko mówił tłumaczac:

— Wot eto, pojechała... Bo cóż robić z biletem II-giej klasy, które nam, kolejarzom przysługują. Trzeba je wykorzystać i jechać jak najdalei...

Mąż usiadł na brzeжку krzesła, przysłuchując się grzecznie i czekał aż gość się pożegna, ale ten zaczął wspominać dawne katastrofy kolejowe, które zdarzyły się za carskich czasów. Mówił o samogonce, która po kryjomu uprawia jakiś kolejarz z jego stron i tej samogonki mógłby mężowi przynieść, naturalnie zaraz, w tajemnicy przed żoną, która niebawem może się zjawić. Mówił też o dr. Rusinie, który niedawno miał sprawę w sądzie, gdzie go oskarżono o usuwanie ciąży, ale on wywinął się jak piskorz.

— Ma znajomych lekarzy w Gdyni, rozumie pan, do nich wysyłał pacjentki po zaświadczenie, a oni stwierdzali to samo co on, że urodzenie dziecka zagraża życiu matki i żaden prokurator mu nic nie zrobi. Tak...

Mówił jeszcze o Żydach, którzy w Warszawie wykupili ze sklepów czarny kir jeszcze podczas choro-

by marszałka Piłsudskiego i trzeba było później im za ten kir słono płacić.

— A ile było metrów tego kiru na tak długich ulicach? Jak pan myśli?

Mąż potakiwał roztargniony i niespokojnie obejrzał się na okna, myśląc o przechadźce. Wstał, by poprawić sznurowadła. A gość, choć już się pożegnał, jak na złość jeszcze sterczał przed drzwiami i laską coś rysując na podłodze informował nas dokładnie, gdzie na ulicy Hallera, zamieszkał nowy lekarz dr Majkowski, okulista i laryngolog, przyjaciel Rusina, również Ukrainiec.

— Jak to Ukrainiec? — zapytał mąż, podnosząc głowę.

— No... Tak słyszałem — jakaś się gość i dopiero wtedy obejrzał się na klamkę, którą powinien był nacisnąć wcześniej. Dzieci już się niecierpliwiły i zaczęły tupać nogami, a dziewczyna sprzątnąć chciała mieszkanie. Gość pożegnał się po raz drugi. Po schodach zesłaliśmy razem z nim, a potem skierowaliśmy się do parku.

— Ten Czergejko to jest bardzo dobronudny człowiek, ale nudziarz. Gdzie ja tam będę brał od niego truciznę, zakazaną samogonkę! — mówił mąż.

— Godlewscy przysłali nam kartkę z pozdrowieniami — powiedziała, kiedy usiedliśmy w parku. Dzieci bawiąc się, pokrzykiwały, a z pobliskiego stawu słychać było skrzeczenie żab. Spacerowiczki oglądają się na moją nową sukienkę. Mąż nie był w dobrym nastroju, bo machnął ręką i rzekł:

— Godlewski... Godlewski miał rozum póki był kawalerem. To jest bardzo inteligentny gość i można z nim było rozmawiać godzinami na różne tematy. Skoro się ożenił, od razu zdziadział. Ale nie o ubiór mi idzie a o to, że potem już nic innego nie miał na głowie, jak szuflowanie tych pieniędzy dla żony. Zrobił się skąpy i liczył każdy grosz. To już był inny człowiek — dodał i zmrużył oczy, bo przyglądał się starej i brudnej kobiecie, idącej ścieżką w naszą stronę, która rozmawiała sama z sobą. Przechodząc koło nas, przystanęła i usłyszeliśmy jej monolog:

— Ja tera będę madra. Wiecej dzieciom nie bede robiła, bo sie zaharuje. Niechby mnie sznowali póki żyję, a nie, jak już będę w trumnie. Bo cóż mi to nomoże, że oni na moim grobie georginy posadzą? — To rzekłszy, poszła dalej mamroczać.

— Boże ty mój! Jak to starzy ludzie, którzy potrzebują serca i wyrozumiałości, poniewierają się u własnych dzieci — mówił mąż, zaciągając się papierosem i zaczął kaszleć.

— Znowu dymisz. Nie można tak bez przerwy palić.

— Pale, aby dymem odstraszyć komary. Dranie tną i piszcza mi nad uchem, jakby nie wiem jakie silne płuca miały — odrzekł kaszłąc i po chwili mówił dalej: — W następny obiad będę musiał zabrać choćby tylko sportowe spodnie „pumpy”. Nie mogę przecież zawsze grać w tenisa czy w krokietu w stroju wizytowym, jak to ostatnio u państwa Łubieńskich.

— A co nowego u nich? — zapytałam.

— Mała hrabianka Izetka ma już 15 lat i się zachowuje, i wygląda jak dorosła. Bardzo ładna panna. Kto by pomyślał, że chorowała na płuca, jeśli tego im nie wmówił dr Rusin. Jeszcze dziś nieproszony, składa im wizyty, niby zagłada, jak się miewa tego mała pacjentka. A skaczę przed nimi na wszystkich czterech...

— Patrz, Janek idzie! — zawołałam. Przez siatkę płotu widziałam go idącego swoim ciężkim krokiem ulicą Baldowską i zawołałam do niego. Mąż pokiwał mu kapeluszem.

— Obejdź, Janku, ten parkan naokoło i przyjdź do nas! — zawołał.

Janek zdziwiony najpierw przystanął, popatrzył na nas i żwawo skreślił wzdłuż płotu na ulicę Zieloną. Oglądając się za nim, zobaczyłam jak przerzucił przez płot laskę i melonik, a później sam przez niego przelał. Mąż uważał to za niepoważne ale mimo tego, brata przywitał serdecznie.

— Jo. Przyjechałem na niedzielę do waju, żeby oboczek jak wa mieszkota — mówił Janek i szukał czegoś po kieszeniach.

Dzieciom, które koło niego się kreciły, podał landryny. Wyciągnął także munsztuk. Przedmuchał go i na bok strzyknął ślinę.

— Tede le sobie zapolema... — rzekł, siadając na ławie. Upřednio chusteczką przetarł zgrzaną twarz.

— Ulica Wybickiego leży nieco dalej od parku, ale bliżej Baldowskiej — powiedziałam, przyglądając się bratu. Chód i postawę miał po matce. Ręce spracowane, serdeczny palec obandażowany. Zdjął melonik, dłonią musnął uczesanie i obejrzał się na przechodzącą blisko nas dwie panienki.

— Widzita, jo ni mogę się ożenic, choc w Gdyni tech dzewusów je jak mrowiu — powiedział nagle.

— Na wsi jest większa możliwość ożenku — mówił mąż.

— Mosz prowde — przytaknął Janek. Szczypnie się dzewusa w udo i ju są zarękowe. A spróbuj le to zrobic w miesce, na sztrasę.

— A po co zaraz ta wulgarność — szczypać? Myślę, że jesteś po prostu niezaradny — odrzekł mąż. — Choć prawdę powiedzieć, oświadczyły chyba zawsze sprawiają wiele kłopotu i niepokoju.

— Dło mnie ożonka boła wiedno na ostatnym molu. A teru widzę, że w Gdyni mom termecie, nim be się tako nalazła, co be mnie chciała. A mom ju 33 lata i bez żenioczi ani rusz ani war.

— A można wiedzieć, dlaczego ty prędzej o niej nie myślał?

— Prędzy... Przecę mówię, że do dzewusów mnie nie cygnoło, bo nawzerołem się na żeniałych kolegów. Tec ich babe, to boło rozjuszzone sekutnice. Kłócołe się z nimi jak paralusz. I to o detczy, ząb za ząb. A to mnie odstraszało.

— Hm... W tych sprawach trudno radzić. Nie ma idealnych małżeństw. Trzeba się zdobyć na odwagę, albo albo.

— Ale do kogo jo mom szturmowac, w kogo ucyłowac? A jak jo ucyłuję w tako, co ni mo mieszkannia, co tede? Też chcę miec swój kąt.

Mąż pokiwał głową i milczeliśmy przez chwilę. Janek zmienił temat.

— Ten Hitler w tech Niemczech robi czestkę jak paralusz — powiedział. — Wiele Żedów ju do nos wyemigrowało.

— Ja uważam, że Żydzi byli współwinni tej rewolucji w Rosji — mówił mąż.

Janek kręcąc głową, odrzekł:

— Jaczci be oni mieli w tym geszeft? Żede nie są idealistami. Przecę z ich strone też boł zamach na Lenina. No, może cilką biednych Żydków za rewoltą boło, ale tak to Żyd, na całym świecie roztrzesły, życie z handlu i le mesli, jak be nos oszukac i wezyskac. A ustrój komunistyczny nie doł be im na to szanse. Żyd to wie...

— Janku, nie mów tak głośno, bo ludzie się oglądają. Lepiej nie mówmy o polityce, bo ja się niepotrzebnie denerwuję — powiedział mąż grymasnie.

— Mosz prowde. Słowo z peska welecy jak wróbel i nie kertnie nazód. Mówma o czym inszim. Bede neutral — zgodził się Janek i zaczął rozglądać się po parku. — Tu je fein trowa — mówił znowu. — A u nos, na tim Obłużu, krowe se pasą i tech krowińców tam mają nadrzyzdane, że bez te plostre strach kroku dac.

Śmiałam się po cichu. Mąż to zauważył i też się śmiał. Zawsze się cieszył, kiedy chichotałam, bo wołał to, niż mój smutek. A Janek tymczasem się zamyslił i laska rysował na piasku domek, od czasu do czasu oganiając się od komarów.

— To do deszcz bo medzi grezą — powiedział i podniósł małego Włodzimierza, sadzając go sobie na kolanach. — Ale urośł ten knop od tego czasu! To będzie kawał chłopa. A jak on cecho sedzy.

— To tylko na chwile. Potem znowu prawą nogą za lewym uchem drapać będzie — mówił mąż. — A co tam nowego w tej Gdyni?

— Buduje się. Jeden bez drudzigo. Ledze se zbozaceli na ti zemi, co państwo od nich kupioło. Zbogacony sobie buduje dome, a ten bogaty temu biednemu do co laska i lez sobie swoja droga. I to jesz ledze se biją o bele jako robote. Le jo mom robote stało, w porce. Rude na plecach ju downo nie noszeme, bo teru są dzwige. Teru żebe le się tak szcześliwie ożenic — dodał Janek, obmacując swój chory palec.

— Ożenisz się, Janku kochany, jeszcze się oże-

nisz — mówił mąż. — Mam też problem, bo w to lato dostanę urlop dopiero od 1 września. Głupi czas, bo z plaży nici.

— Jo — odrzekł Janek. — Bo czego sierpień nie dorporzi tego wrzeseń nie doworzi.

— Dlatego Hanka chce jechać do Parzyna. A to jest strasznie głucha miejscowość, tam sama cisza przeraża. Podziwiać można te strony będąc tam po raz pierwszy.

— Zebe mnie nie boło żol tech detków na biljet, to jo bem tam jechoł w każdo niedzielę. Tesknię za Porzynem jak paralusz. Ale muszę oszczędzac na mieszkanie — mówił Janek i znowu rysował domek na stęgnię. Mąż spojrzał na zegarek i trzeba było iść na obiad. Janek wziął chłopca na barana.

Tego roku na początku września było wiele pogodnych i bardzo ciepłych dni, że jednak wyjeżdżaliśmy do Sopotu. Na plaży nie było tłoku i znaleźliśmy nawet wolny kosz. Słońce nad morzem piekło i opaliło nas na czerwony kolor.

Znowu zwiedzaliśmy Gdańsk. Już wtenczas widziało się na ulicach i w restauracjach mężczyzn ubranych w brunatne koszule. W pociągu naprzeciwko nas usiadł jakiś cywil z partyjną odznaką z swastyką w kłapie i czytał gazetę „Völkischer Beobachter”. Zwróciłam mężowi uwagę na tę odznakę, ale mąż nieznacznie trącił mnie łokciem. Niemiec zza gazety zerknął na mnie z ukosa tak złośliwie, że poczułam mrowie na plecach.

Wyszliśmy z pociągu i dopiero wtedy mąż prosił mnie, abym nie robiła takich uwag pod adresem gdańskich Niemców, bo oni żyją wśród Polaków i rozumia każde słowo.

Przed furtką naszego domu stał katarzyniarz na sztucznej nodze i chrypiąco grał jakieś smętne melodie. Przeszliśmy obok, nic mu nie dając. Dzieci z wielkim apetytem rzuciły się na potrawę, ugotowaną przez Adele, z warzyw i kości ogonowej, kupionej w „Beconie”. Dla oszczędności. Dziewczyna już podała nam kisiel a inwalida na dole wciąż jeszcze obracał korbą i powtarzał jedne i te same melodie. Męża to wreszcie zdenerwowało i zaczął grzebać w pormanetce. Długo liczył groszaki, coś obliczając.

— Muszę mieć na drogę do Torunia — mówił z niecierpliwością. — Może masz jakieś grosze?

— Wystarczy dać dwa grosze — odezwała się Adele, rękawem ocierając pot z twarzy.

W kuchennej szafie znaleźliśmy pięć groszy, które dziewczyna zawięła w paperek i wyrzuciła za okno.

Lato się skończyło. Choć drzewa były jeszcze zielone, liście szeleściły już inaczej, jakoś smutnie, po jesiennemu. Znowu poczułam się psychicznie źle, tym bardziej jak Adele opowiedziała mi o jakimś człowieku z Nowego Miasta, którego trzeba było jednej nocy zabrać i zamknąć w Kocborowie. Byłam mocno przynębiona i z długiej chwili wyglądałam przez otwarte okno na ulicę. Rzadko pokazał się jakiś przechodzień. Pod chmurnym niebem kołowała gromadka szpaków szykujących się do odlotu. Wtedy dwa domy dalej zajechał jakiś wóz naładowany meblami. Adele powiedziała, że wprowadza się tu młoda para żydowska. Widok mebli wnoszonych do domu też mnie niepokoił. Wiedziałam, że w tym dniu w farze był odpust św. Krzyża, wybrałam się tam, by się pomodlić.

Stałam przed bocznym wejściem świątyni, za żelaznym płotem, gdzie stała buda z dewocjonaliami. Lubila przyglądać się świecidełkom, ale zaraz zapytano mnie, co podać. Dlatego zmuszona byłam coś kupić, a nie wiedziałam co i palcem wskazałam na najskromniejszy sznur drobnych koralików, jakie kiedyś w dzieciństwie kupił mi ojciec. Tuż przed samym wejściem do kościoła klęczał rząd starców z obnażonymi głowami, którzy tam, pod murami starej świątyni, szukali miłosierdzia ludzkiego i głośno

odmawiali różaniec. Do ich czapek, leżących na ziemi, czasem ktoś wrzucił jakiś grosz. Wtedy zauważyłam, że jakiś niestary jeszcze mężczyzna w lachmanach, kulejący i bardzo chudy stanął obok nich, jakby chciał się dołączyć. Wpierw jednak się rozejrzał. Wreszcie przykląkł obok żebraków, czapkę położył na ziemi i pożegnał się wielkim krzyżem. Jednak nie miał szczęścia. Bo już po chwili jakiś grubas znalazł się przy nim i grożąc mu pięścią, zawołał:

— A widzisz, bratku, gdzie cię znalazłem! A żyto siec to nie?

Gwar wywołany modlitwami żebraków ucichł, a napastowany biedak aż przysiadł na piętach. Rozglądał się bezradnie i odrzekł:

— Z moją chorą nogą, panoczku i to za darmo...

Na dalsze wymówki grubasa, zawołał z goryczą:

— A co panoczek o mnie wie? Czy zdrowy chorego albo syty głodnego rozumie!

— Ludzie, po co ten raban tu, przed kościołem! — zawołał ktoś z obecnych.

— Przez dobroć dałem mu pracę, rozumiecie ludzie, a on co? Woli żebrać — wołał grubas.

Chłop widział, że lepiej będzie jak stąd zniknie, bo i ludziska się przyglądali, więc z klęczek wstał i chciał wmieszać się w tłum. Ludzie odsuwali się od niego. Kiedy zbliżył się do żelaznej bramy, z nim ją przekroczył, obejrzał się na swego przesładowcę i zawołał:

— U was tyle jest dobroci co na wróblu mięsa! Niech was wszystkich gęś kopnie!

Weszłam do kościoła pełnego ludzi. Była cisza. Chrząknął tylko ten lub ów, albo ciężko westchnął. Wierni na coś czekali. Wreszcie ciszę tę przerwał ostry dzwonek i zabrzmiały organy. Zaczęło się nabożeństwo.

Wracalam do domu smutna i tak głęboko zamyślona, że ani się spostrzegłam, jak znalazłam się już na ulicy 31 Stycznia. W uszach brzmiały mi słowa kazania, które wygłosił ks. prob. Kupeczyński: W krzyżu cierpienie w krzyżu zbawienie... Udręczona moim lekowym stanem czułam wtedy jakąś ulgę. Jednak zaraz ogarnął mnie strach, że znowu wrócić mam do tego samego domu, do tych rozkrzyczanych dzieci i Adeli, która skarżyć się będzie, jak trudna ich upilnować, by czegoś nie straciły i nie stłukły, lub same się nie pobily. Czemu akurat ja tak muszę być przynębiona, kiedy inni się śmieją? „Smutne jest serce, przyciśnione ciężarem cierpienia” — również mówił kapłan. Usłyszałam za sobą stukot kopyt końskich i hałasowanie żelaznych kół po bruku. Obejrzałam się. W dwukółce siedział Tchórzewski, który patrzając na mnie, prędko zerwał czapkę z głowy.

— Proszę, niech pani siada! Podwiozę do domu — zawołał, uśmiechając się przyjaźnie.

Podał mi rękę, by pomóc mi wsiąść. Jechaliśmy ulicą Bałdowską, którą zdobyły wysokie, stare drzewa.

— To jest ta pamiętna droga, którą kiedyś po raz pierwszy jechała pani w stronę Gorzędzieja i tu już została... — zawołał, nachylając się do mnie, by przekrzywić hałas kół.

Uśmiechałam się, ale w głębi ducha byłam smutna.

— Ale żeby się tak opalić — mówił znowu, wciąż patrząc na mnie. — Byliście w Sopocie?

Nie mogłam się obudzić ze swojej ządumy i z wrażeń tego dnia, ani pozbyć się nieustannego niepokoju. Skinęłam tylko głową i nie powiedziałam nic.

— Tczew powinien mieć z dworca aż do końca ulicy Bałdowskiej linię tramwajową. Byłoby mieszkańcom tej nowej dzielnicy za parkiem lżej — mówił znowu, ale już skreślił na ulicę Wybickiego i przystanął pod numerem 24-tym. Pomógł mi zsiąść z wysokiej dwukółki i otworzył furtkę, kłaniając się niżej niż zwykle. (Cdn.)

ROCZĘŻNA

Andrisów Gust

Latos, trzédzestego stęcznika przépadła roczężna mégo slébu z moją Rozalką. Prówdę rzec, cziej jem sę z nią żeniël, tej ona jész nie bëła moją białką. Dëcht nôprzód ona bëła dzëwczëcem, a tej znôu mojim dzëwczëcem, a tej moją brutką, a tej dopiërzë bëło nasze weselë i dopiërzë potëmu ona bëła moją białką. Od naszëgo wesela minëło ju szëscdzësät lat. Jak ten czas lecy! Mie sę zdaje jakbë to le wczora bëło. Stronami ti stôri lëdze narzëkają, że ta dzysej-szô młodzëz o stôrëch nie dbô, nie chce jich znac a nawet jim dokuczô. Ale ti naszi są jiny. Oni są corôz lepszi dlô nas. Cziej më sę żeniël tej oni sę za nama nie czierowelë, ale terô sę zbrzątwilë i nôm wëprowiëlë na swój koszt diamentowë weselë. Zeszëlë sę wszëtczëlë dzecë, jich dzecë i jész rôz jich dzecë tak, że bëlë prawnucë i prawnuczczë. Na nôstëpnë nasze weselë mogä bëc ju dalszi potomkowie. Jeden z wnuków grôł na akordjonie i ti młodi tën-cowelë. Jô so chcôł tëz zatëncowac, ale mie nodzi bolälë a ta moja slëbnô (białka) tëz je sztiwnô. Ko to nie bëło tëncowanie, le jakbëm stôri mëbel przëstôwiôł. Zëbë ten muzykant bëł zagrôł jacziëgo skocz-niëszëgo, to bë może bëło lepi, ale on chcôł dobrze z zagrôł stôrego donauwalca. Namëczël jem sę a nic nie utëncowôł. Jak to dobrze że jô terô nie brëkuję na slëbnë chodzëc.

Cziej jem kask odsapnął, tej ti potomkowie nalë-gelë, zëbëm jim opowiedzôł jak przôdë na swiece bëło, a przëdë wszëtczëm o tim, jaczim sposobem më z babczą sę poznëlë i w dwoje przëzëlë wespółnie tich szëscdzësät lat. Na taczëlë pitanië jô le czekôł, bo jô lubië bëc wôzną personą we wiëkszym gronie. Pitelë sę tëz jak jô nabël ten reumatizm. Na to drëdzëlë pitanië jô odpowliëdzôł zarô, że jem go nabël w lôzku przez swoję zgniëlotë. Oni ak sę na se przëzdrzëlë ale nic nie rzeklë. A jô kask odkaszlôł i zaczął jem opowiadac:

Cziej jem miôł dwadzësć dwa lata, tej jem tak rôz, przë leznoscë tatkwë wspomnął, że bëm sę chcôł żënic. Tëgo on sę pewno nie spodzôł, bo jakos tak mrëczącô odrzek:

— Të môsz ledwo dwadzësć dwa lata a do żënbë jész jész za głupi.

I gdzës odszed. Mie to sę baro nie widzało, że on mie mô za tak głupëgo cobë so jész ni môg żë-nic. Ale nadszed wieczôr i më sedzëmë w jizbie i pôwiôdômë. Tej jô od nowa zaczął:

— Tatku, wë mówicë, że jô jem za głupi do żënbë, a jô ju swój rozëm môm. Wejcele Cyszak nôm tëlë powiôstków napowiedzôł, taczëlëch, jak to lëdze mielë trzech sënów, dwaj starszi bëlë mądri, a ten trzeci głupi. To wë mnie môcë za tëgo głupëgo, że jô jem ten trzeci? A wiëm, że ti mądri nijak ni môglë so dac radë w swiece i biëdny wrôcëlë dodóm, a ti głupi zdobiwelë krôlewionczë, bëlë bogati i jész swojëlëch starszich wprowadzëlë w krôlewsczië pa-la-ce. Môżë jô bë tëz czasëm sę bogato ożeniël, bo ti moji braco bëdą klepac të biëdë do smiercë.

Tatku tak postëchôł i rzek:

— A chcôł të nas ostawic i jic w swiat szukac tëgo szcëscô?

— Nië — mówicë — jô le tej sej puszczë sę w te-ren po lëni ożenku. Bądë odwiedzôł krewnich i zna-jomich, môżë czasëm nalëzë jaczië piękne dzëwczë,

tak pasownë dlô mie, bo tu w okrag nic bëlnëgo nima.

Na to odezwa së mëmka:

— To të sę dotëchczôs jész dosc nie nalôbrowôł, jész të jaczi tôs, zëbës oblôtiwôł blëszsë i dalszë stronë za timi melkusami? Jô ce radzë wzac dobrëgo rôjce, niech szukô brutczë, a të le znôu z nim zañ-dzës i cziej sę bądë tobie widza, obgôdôta sprawë posagu i co trzëba.

A tatku chutiszko dodôł:

— Mëmka dobrze radzy. Dwaji le są dwaji, a oso-blëwie w ti sprawie të jész jész za celëczë. Jô miôł szësc dwadzësć lat cziej jô sę żeniël.

Mie to dëcht rozgorzëlô i odrzek jem:

— A wasz tatku jész ni miôł ani dwadzësć lat cziej sę ożenił, ale tej wë bëlë cëcho, le terô, cziej jô. Choc môm ju dwadzësć dwa lata, tej wë môcë wiôldzië wiwtôrë.

Jô tak zrobiël jak mie starszi radzëlë. Zaprosël jem Bójkë do nas i naszi mu powiedzëlë jakô ta brutka mô bëc. Mie sę le rozchodzëlô o to, zëbë bëła piękna, mądri i dobrô a naszi znôu, zëbë bëła bogatô, robotna, pobożna i kulturalna, a i cëbë umia spiwac, coskolwiek muzykowac a chobële gwizdac. Bójka za swoję przëstlëgë zafedrowôł pôł korca gro-chu, korc ôwsa z jëczmieniem dlô kur, a na Gwiôdz-kë tliëstą gës, takâ od dwanôsćë fuñtów. Mëmka próbowa cos uhañdlowac, ale on nie ustąpił. Mëmka mu tlômacza, że terô po ti wojnie dzëwczët jész dosc, jaz za wiele, bo chlôpi są na wojnie wëbiti, tej on doch nie bądë miôł niżôdny trudnosć z nalëzenim bëlnëgo dzëwczëca.

— Môżë prôwda — odpowliëdzôł Bójka — dzëwczët jész dosc, ale jacziëch? Taczëlëch, co to milâ drodzi, abo i wiëcy gnają na muzyczki a przinëdą nad ranem dô-dóm. Do koscoła temu ję zgniëlô jic, ale znów w po-niëdzôk na slëbnâ, tej jich nicht ni môżë utrzi-mac. Taczëlëch dzëwusów ję na pëczczë. Ale taczëlë dzëw-czë, jak wa chcëta, cobë pasowalo do waszëgo sënâ ję trudno a nawet baro trudno nalëzc. Ale w wa môtâ to szcëscë, że waji Pôn Bóg natchnął tã mës-lâ, że wa mie tã sprawë powierzëlë. Wa jész mie bąd-zeta baro wdëczni i na pewno jész cos dorzucyta.

Z tim Bójkâ mie sę dëcht udało, bo cziejbëm — jô so tak mëszlë — sôm zaszed do jacziëgo dzëw-czëca, a ti starszi bë mie sę zapitelë: co të powiësz, abo: za czim të przëszëd? — mie bë bëło wstëdno.

Cziej Bójka odchodzël to jész rôz nôm przëbôczël, zëbësmë nie mëslelë, że on wnet przinëdze, bo to wôznë i czëczëlë zadanië. I dërowalo wnet dwie nie-dzele nigle on sę zjawiël.

To bëła niedzela i on całë popôlnië u nas przëse-dzôł. I nôm napowiedzôł, gdzë on to wszëdzë nie bëł i co on wszëtko nie widzôł. Uwozôł, że są trzë dzëw-czëta, z jacziëch môgbëm so jednë wëbrac: jedna, blondinka, z piëknyma modrima oczami, postawnô, nawet szëkowno.

— Dzëwczë — mówicë — ję piëknë na gëbie, mô pël-nâ piers, plecë, slôdk i nodzi, co proszë widzec. Le niewiadomo, że të sę bądzës jic widzôł, czë bądzës dosc intëlëgentny. Ji starszi nazëwają sę Kuźlowie, ale pochodzą ze szlacheccziëgo stanu, i przed wojnâ pisëlë sę von Kuszel August i Rozalie. Oni muszâ bëc bogati, bo mają wiôldzi mól, ponad sto morgów.

Mają mieszkańców, parobka i dziewczę. Mają le to jedno dziewczę, to też dostanie bëlly posóg. Ono dostanie też w Józkach budinck mieszkalny, zachę i wszetko, co se dziewczęcu przestoji.

Okróm ti Bójka miół jesz dwa jiné dziewczęta na sztrichu, le kask biédniészé.

— Mają czorné włosé, są młodsze i jesz ni mają wszetczych, co se przénólógó zachów.

Tatkowi i mēnce widza bē se ta blondinka, bo bēla po jich mēslé. Le teró żebēm se ti brutce widzól. Tatk przékóžól Bójce, żebē mie przed starszima te dzewusa chwólél, bo ko jō poprówdze jem tim nóbēlniészim beńlę w okolim.

— Bo nicht w okrag ni może wērōbiac tacziché rzeczi jak on. Do tak czegos nie wēstarczy sóm talent, do tego trzeba miec leb, abo główkę. A on mó jedno i drédzié. Pic nie pije, palęc nie pōli a...

— O tim, panie Bójka lepi nie godōjce. — wmięsza se mēмка. — A może ona bē tacziego chca, cobē piēl i pōlę?

O tim picym i pōlenim rōz bēla gōdka, cziej jem jacha cugem. Tej ne babē, co ze mną jachałē jiscēlē se na swoich chłopów, ale odezwa se takō pizumajtk a powiódó:

— Tacz chłop, co nie pije, nie pōli, nie pierdzy, za kozłem smierdzy.

Tej jō jem se odezwa:

— A jak nie pōli, le zażiwó?

— Wēstarczy, że zażiwó — odpowiedzała.

— A jak nie pierdzy, le bzdzy?

— To se takšēje nawet wēži, bo to je ju wēžszl stepiēn kulturē...

Nē i gadōjta z taczima.

Mē z Bójka, tak jak mē bēlē ugōdōny, w dręgą niedzele po pōlniu rēpiēmē na kołach pod Hēcēsko, do czlachcēców Kužólw na wrēje. Jō se nie przēznōl, ale kask mie strach zjimól. Cziej mē przējachelē, tej wacpanowie nas przējelē baro laskawie. Zaró nas zaprosēlē do ti pańszci jizbē a mē so usedlē przē stole. Za sztērk nalazlē se na stole szklōnczi i zbōnczi ze sokami swojsziché wirobów i nas rōczēlē. Mie se to dēcht przēdało, bo jō bēl rozgrzōny ta jazda. Ale strachu jō ju ni miół. Wiele co jō nie gōdól, ale Bójka z nima rozmōwiól jak ze stōrima znajomima. Mie to dzēwcze piōruńsko w oko wpadło. Ale też bēlo piēknē. Blond włosé, a tak szēkowno uczosōnē, modré zalotné oczē, kulczy w licach. Pod kożdim okem trzē, w trójkace ustawionē piedzi, a na nosu z kożdi stronie po jedny, nos piēkny, tacz jak mój, w uszach órindzi, na szēji bursztinowē pōczōrczi, co zwisalē jaż na piersē. Jacziē bēlē te piersē tego jō nie wiēm, bo ona bēla oblokō. Bójka bēl dbē, że ona je baro piēknō. Jemu se widzól ten ji chód, gōdól: dzēwcze jak strēna. Ona, wedle niego, bē mogła nocny topk sobie na głowę postawic i, jak ne Hindusci, z nim jic, pogwizdując sobie i ani jedna kropla bē se nie wēlała.

Znōu po kawie mē se tak kask rozlōznilē. Wacpōn z Bójka gdes poszlē, a jō z Rozalka szed do kuchni, bo tam ona cos mia do rozkōzaniō ti dzēwce. Ale w ti kuchni dostól jem slēpia. Żebēsta widza jaczi tam bēl porzadk. Podłoga wēłożōnō cegła, iistno jak w domie, w ten sposōb jak se uklōdō parket. Ceglē bēlē wērōwnōnē, wēszorowōnē na czerwono i posēpnōnē biōtim piōskem. Stól, lōwcz i szēmlē szrobrem wēszorowōnē na biōło. W tōbrece lēszczi za rēgą zawieszōnē na ti poprzeczny listwie. W nōrcē stoja becza do wodē, wēfarwowōnō z bēna na biōło, a z butna na żółto z czōrnyma obreczami. Biat kachlowi i kol niego piēck wmurowōny w scanē tak, że grzól narōz w kuchni i w jizbiē po drédzi stronie. Z kuchni mē szlē do ji jizdebci. Co tam bēlo, jak tam bēlo, ni moge powiedzec. Pomietóm le tēli, zem nalōz stosownā chwile, żebē ie ukochac a cziej jem postrzēg, że se tak miētko brōni, kusēlo mie i jō je tak bēlno wēkuszkōl. Ona se musza zleknać, bo segnēla reka i z fartuchowi taszē wēje sznēpelduk, ale go nie rozwinēla, le trzima, jakbē chca so oczē, abo

gēbę otrzec. Ale niē. Tak krējamko se obliznēla, schowała sznēpelduk i rzekla:

— Ale do kuszkaniō tē mōsz szēk.

Jō nic nie odrzek, ale mēslēl jem so: to miół mój tatc czē!

Cziej ma z Bójką se wēbiērelē pod dodóm, tej nasa rozmowa se dēcht rozwinēla, bo mē se dogōdelē, że mój tatc je Gust, a mēмка-Rōza. Ny ji starszi też bēlē: Gust i Rōza.

— A jacziē wa mōta miona? — zapitól se nas Bójka.

— Jō jem Gust.

— A jō Rōza — odpowiedza ona.

— Dali jō se nie bādę pitól, ani dopowiódól, bo wszetko je na dobri drodze — rzek Bójka. — Tej le bādžeta z Bodziem!

Mē se oddžekowēl i odjachelē.

To ju pewno bēl czwōrtk cziej se znova nalōz Bójka. Bēl wesoli i usmiechnięti a zaró przē przēwitanim wōlō do mie:

— Tē mōsz wēgrōnē wiōldzi los! Ta twoja krōlewionka doch se o ce tak dopētiwō, że ni móg jem nadāžec z odpowiesciami. Co je mogło tak rozebrac? Ko to je prōwda, że tē jes fors chłop i wiēs jak se u lēdzy zachowiwac, ale ko zōdnym krōlewiczem tē nie jes. Ona mie nakōza, żebēsma w niedzele znōu do nich przējachelē. A ti stōri są za tobā i widzy mie se, że tē nie tēli że dostōniesz krōlewionkę, ale jesz pōl te mōla. Ale w ti sprawie jesz nic pēwného nima, bo to le są moje przewidiwania. Jak to duńdze do skutku, tej mē musimē jesz pogadac o podwiżce zōpłatē dlō mie.

Bójka w niedzele ze mną nie chcól jechac, ale jō mu muszól przērzec, że sóm odwiedzē swojē nōmilszā. Jo nimóg se ti niedzele doczekac i chodžēl jem jak obsamētōny. Żebē mie se czas mināł to tatc mie zadōwól rozmajitē robotē, ale jō se ze wszētczim rōz dwa uwijól tak, że tatc gōdól, że to wszetko bēlo zrobionē tak na zbēcē. Mie on przēstrzēgól:

— Le tē knōpie nie oglēp, abo nie strac rozēmu, bo do żēnbē też muszi bēc główka, abo lēp.

Ale doczekól jem se. Rozalka bēla buten cziej jem nadjachól, tak jakbē na mie czeka. I mē se serdecznie przēwitelē. Ti stōri też mie serdecznie przējelē i do jizbē prosēlē. Rozpoczē se gōdka, jakbēsme se ju dlugo znelē. Po kawie, cziej tē kobiētē bēlē zajētē sprzątanim ze stōlu tej ostelē le ma dwaji: ji ojc i jō. I on do mie gōdól:

— Te zachē, co w ti jizbie widzysz, bādę wajē okróm zōfē, bo ta je ju stōrō. To są nowē zachē zrobionē na zamōwieniē dlō Rozalcz. Tē se pewno dzēwisz że tu felējā lōzka, a ko to je to nōwōznieszē dlō młodoženialich? Dostōnieta jedno małżēnszcziē lōzko, taczē do rozsuwaniē w szēr. Taczē lōzko ona mó w swoji jizdebeczce. Ona rōd w nim spi. Ono je užētecznē, bo cziej midžē małżonkami cos zańdze, to w tim lōzku pierzyna jich pogdzy, a cziej kożdō strona mó swoje lōzko, tej nierōz przez dēgysz czas do se nie gōdaja, le dāsaja se a tej nie wiedzā, w jaczi sposōb se pogodzēc. A tu je leżnosc do pogodzeniō umēslnēgo i nibē przēpodkowēgo. Rozalka tobie to lōzko pokōže. Stronami, w jinszēch krajach, dze biōtēczā z cēzołōztwem, tam lēkwidējā lōzka i spia na piēckach. Mē tego stepinia kulturē jesz nie dosyglē, a spac se chce.

Nadeszla znōu Rozalka i on ji kōzól, żebē mie to swoje lōzko pokōza. Mē szlē wszetko troje do ny jizbē i ona mie tłomacza, jak se to lōzko poszerziwō. Wtim przēsšla ta ji mēмка i fachowo mie jesz rōz wēłomacza jak to se robi. Potemu ma dwoje wrōca do ny pańszci jizbē. Tu mē bēlē dēcht sami. Mē so sedlē przē stole dēcht krōtko siebie a jō se na niē ni móg nazdrzec. Zdrzól jem w te piēknē oczē, zdrzól jem na te piēknē piedzi, te kulczy w licach, na te czerwōnē lēpē. Jem zdrzól. Onē wēzdrzałē jakbē bēlē malowōnē, ale nie bēlē. Bo jō próbōwól nē farwē zetrzec na sēcho i na mokro, ale to se nie dało. Zrobiēlē se jakbē jesz czerwienšzē, ale to pewno przez ten was.

Piotr Kotow

TRZEBA UMIEĆ MILCZEĆ

Trzeba umieć milczeć
Gdy błysk i odgłos gromu,
Trzeba umieć milczeć
Gdy krzyczą u nas w domu.

Trzeba umieć milczeć
Kiedy zebranie szumi,
Gdy wszyscy tam „ZA” krzyczą,
Umieć nie zginąć w tłumie.

Trzeba umieć zagrać
Przy rampie i bez rampy,
Trzeba umieć milczeć
Siedząc pod światłem lampy.

Trzeba umieć wzrastać
W mądrości cierpliwej
I umieć wypłatać
Plecionkę z wikliny.

Tłumaczył: Andrzej Zgorzelski

WYLEW WISŁY

Widzę nurt Wisły wzburzony,
Miasto wiosenne.
Słyszę gdzieś motyw znajomy —
To walc Chopina.

Znów tu muzyka rozbrzmiewa —
Coś się zdarzyło...
Obyż tej fali, co śpiewa,
Nic nie zmało.

Tłumaczył: Franciszek Apanowicz

PTAKI UMIERAJĄ W LOCIE

Aby nie zginąć od mrozu i chłodu,
aby nie zginąć wśród śnieżnej zamieci,
uciec od zimy, nie zaznawać głodu,
gdzieś na południe klucz ptaków znów leci.

A gdy zmęczone, nad morza głębiną,
nad pustym lądem, bezpłodną krainą
już z sił opadną — wtedy w locie giną
skrzydła rozpiąwszy nad własną mogiłą.

I ja, jak one, chcę lecieć w obłoki,
ptakom podobny, chcę umrzeć podobnie:
tak właśnie cicho, bez żalu, bez trwogi,
na skrzydłach, w locie chciałbym umrzeć
godnie.

Tłumaczył: Andrzej Zgorzelski

* * *

Na wierzbach puchną lepkie pączki,
Wiatr marszczy wodę wszerek i wzdłuż,
Śmieje się młoda zieleń łącki
I pachną białe kwiaty grusz.

Zaledwie pola poczerwiały,
Z odległych krajów, z ciepłych gniazd
Gromadą ptaki przyleciały
Do naszych osad, chat i miast.

Ziemia zaniosła się oddechem,
Ludzkiego trudu zabrzmiął głos,
Kowal w ognisko zadał miechem,
Kosiarze dzwonią ostrzem kos.

I w tym wesołym kołowymrocie
Pędzącym prędzej z każdym dniem
Jakże mam myśleć o odlocie,
Jak się pogodzić z wiecznym snem?

Tłumaczył: Jerzy Gurbisz

Teatr w remizie

Wskrzeszenie teatru w Luzinie zapowiadano od dawna. Przypominam sobie audycję radiową, w której miejscowe animatorki kultury zwierzały się z takiego zamiaru. Ostrożnie, z zastrzeżeniami, niezbyt pewne czy się powiedzie.

Obawy uzasadnione: teatr ludowy, tak żywotny w okresie międzywojennym, przeżywa zdecydowanie złe dni. I nawet nie bardzo wiadomo, dlaczego właśnie ten rodzaj amatorskiego ruchu artystycznego cierpi na wyjątkowy uwiąd. Nie wszystko można wytłumaczyć przeobrażeniami, którym uległa wieś, wkroczeniem telewizji, ogólną niechęcią do uczestnictwa w tworzeniu kultury. Mimo takich tendencji istnieją przecież, wcale liczne, zespoły pieśni i tańca, zespoły muzyczne, recytatorskie, podtrzymujące rodzime tra-

dycje, folklor. Teatr ludowy natomiast to dziś ewenement.

I oto niespodzianka. W Luzinie wystawiano sztukę Bernarda Sychty „Dziewczę i miedza”.

To nie przypadek, że właśnie w tej wsi, położonej nie opodal Wejherowa, powiodła się próba odrodzenia teatru amatorskiego. Było do czego nawiązać.

Stefan Fikus, mieszkający w Lęborku, pochodzący jednak z tego środowiska i wierny mu do dziś, nieustrudzony kronikarz dziejów wsi, nazywany „Kadłubkiem Luzina”, powiada, że nic z niczego nie powstaje. Odwołuje się do okresu zaborów. Począwszy od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, bujnie rozwijało się w Luzinie życie kulturalne. Była to przede wszystkim zasługa ks. Ludwika Machalewskiego,

przybył z Wielkopolski. Przyczynił się do ożywienia gospodarczego wsi (z jego inicjatywy powstało kółko rolnicze), prowadził naukę czytania i pisanie po polsku, a zwłaszcza rozwijał polskie życie kulturalne. Założył wspólnie ze swoim organistą chór „Lutnia”, a potem „Cecylia”, patronował towarzystwu ludowemu.

— Wszystko z myślą o przyszłej Polsce, która — jak często powtarzał — musi powstać. „Najdłuższa wojna w Europie” toczyła się i tutaj. I kiedy przyszło odrodzenie, gleba była przygotowana. Rozkwit, jaki potem nastąpił, był przedłużeniem tamtej działalności.

Teatr ludowy w owym okresie służył nie tylko rozrywce, ale i wzmacnianiu uczuć patriotycznych. W pamięci najstarszych mieszkańców zapisał się spektakl z 1919 roku. Grał w nim Feliks Dampz, mający wówczas 12 lat.

— Nie przypominam sobie już tytułu sztuki, tylko jej treść — wspomina. — Myśmy jako dzieci przyjechali niby z Ameryki, był zabór, prześladowania, ale cieszyliśmy się, że jesteśmy w ojczyźnie, towarzyszył nam duch Kościuszki. Bardzo patriotyczna sztuka. Przygotowywał nas ksiądz wikary Ptasinski. Namęczył się z nami, bo mówiliśmy po polsku, ale czytanie przychodziło z trudem, to się tak dukało, dopóki nie wyuczyliśmy się na pamięć. Potem przedstawień było dużo. Każda organizacja miała ambicję, żeby chociaż raz w roku wystawić sztukę. I straż pożarna, i związek strzelców, i kółko rolnicze. Nie było zabawy tanecznej bez przedstawienia. Najpierw teatr, potem tańce. Sztuki różne, nawet Bałuckiego graliśmy, ale najczęściej ludowe. I komedie i dramaty. Nieraz cała sala płakała, nieraz trzęsła się od śmiechu. Ludzi zawsze pełno. Każdemu zależało, żeby syna czy córkę zobaczyć na scenie, tak że chętnych do grania nie brakowało. Telewizji nie było, radio miało mało kto. A dzisiaj na teatr mogą popatrzeć w telewizji, widzą coś lepszego. Ale to nie jest jednak to samo, co żywy człowiek i żywe słowo.

Wśród wielu sztuk, które wystawiano w Luzinie przed wojną, było kilka kaszubskich. Największym powodzeniem cieszyły się dramaty ks. Sychty: „Hanka się żeni”, „Gwiondka ze Gduńska”. Zdążono też zagrać wydaną w 1938 roku „Dziewczę i miedza”.

Po wojnie wystawiono już tylko tę ostatnią. Teatr odżywał dwukrotnie — w 1948 roku i w latach pięćdziesiątych. Potem nastąpiła długa przerwa.

— Moim marzeniem było, żeby do tej tradycji powrócić — wyznaje Feliks Sikora, który urodził się w Luzinie i jest tu od 24 lat nauczycielem, pełni też funkcję prezesa oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. — Mnie w domu zaszczytowało miłość do Kaszub i naszej pięknej mowy. Marzyłem, żeby odrodził się teatr kaszubski, żeby usłyszeć mowę kaszubską ze sceny. Mieliśmy obawy, czy uda się przyciągnąć młodzież i czy będziemy mieli widzów. Luzino nie jest dzisiaj taką zwartą, jednorodną wsią kaszubską, jak kiedyś, nie jest też wsią typowo rolniczą. Luzino to obecnie sypalnia Trójmiasta. Rolników jest niewielu, większość ludzi dojeżdża do stoczni, portów. Młodzież dojeżdża do szkół. A jednak znaleźli się chętni. A zainteresowanie spektaklem upewniło nas, że warto było się trudzić. Za parę dni wystawimy sztukę po raz drugi, bo nie wszyscy pomieścili się na sali, pytają, kiedy będą mogli obejrzeć.

Próby rozpoczęto w październiku ubiegłego roku. Trochę trwało, zanim zdobyli tekst sztuki, po wojnie nie wznawiano. Ćwiczone późnymi wieczorami, bo jeden z aktorów przyjeżdżał pociągiem o wpół do dziewiątej. W zespole teatralnym, poza jedną osobą, są sami młodzi, część pracuje, część to jeszcze uczniowie, wśród nich trzech tegorocznych maturzystów.

— Harowali ciężko — mówi Sikora. — Wszystkim brakowało doświadczenia. Ani ja, ani pani Krośnicka nigdy przedtem nie wystawialiśmy sztuki teatralnej.

Maria Krośnicka, kierująca Gminnym Ośrodkiem Kultury, podjęła się reżyserii. Pomocny okazał się udział w „warsztatach teatralnych”, organizowanych przez WOK w Gdańsku.

— Zastanawiałam się nad „Hanką się żeni”, wydawała mi się ciekawsza od „Dziewczę i miedza”. Ale doszłam do wniosku, że to nie jest sztuka na nasze



Medal wybitny Bernardowi Sychcie za monumentalny Słownik gwar kaszubskich. B. Sychta jest również autorem sztuk scenicznych najczęściej granych na Kaszubach

warunki. W „Hance” występuje kapela, są tańce. Bylibyśmy ją w stanie przygotować, ale nie wystawić.

— Widzieliście państwo naszą scenę. Usiąść i płakać — powiedział Feliks Sikora po spektaklu, podczas spotkania w bibliotece.

Starsi wspominają czasy, gdy w Luzinie było kilka dużych sal widowiskowych. Każdy zajazd dysponował salą. Największa mieściła 300 osób, posiadała duże zaplecze. Tam też po wojnie odbywały się jeszcze spektakle, wyświetlano filmy. Obecnie służy jako magazyn mebli. Pozostała niewielka sala na piętrze remizy, bez zaplecza.

— Rozważaliśmy możliwość wykupienia tego pomieszczenia, gdzie jest magazyn mebli — mówi naczelnik gminy Władysław Kowal, wyjątkowo przychylny wszelkim inicjatywom regionalnym. — Budynki wymagałyby jednak gruntownego remontu, takiego od podstaw. To się nie opłaca, lepiej wybudować nowy. Na razie widzę takie rozwiązanie: wykorzystanie sali szkolnej. Trzeba będzie zrobić lekką konstrukcję podnoszonej sceny, łatwej do składania i rozkładania. Jakies wyjście musi się znaleźć. Jeśli jest grupa ludzi, która chce coś tworzyć, trzeba to chwalić i popierać.

Tak więc teatr wystartował w nie najlepszych warunkach. Za to przy pełnej widowni. Bawiono się doskonale, bo sztuka pełna humoru, dialogi żywe, wartka akcja. Kaszubszczyzna, która popłynęła ze sceny dowodziła, że wykonawcom nie jest ona obca, że posługują się nią na co dzień.

Ktoś powiedział po spektaklu, że to nieważne, że scena nie taka, że brak zaplecza, kostiumów. Ważne, że nastąpiło odrodzenie teatru i to udane.

Czy teatr w Luzinie utrzyma się, czy też będzie tylko jeszcze jedną efemerydą? Zobaczymy. Na razie otrzymał zaproszenia do występów w innych wsiach, do udziału w przeglądach. Może będzie zachęta do podjęcia podobnych prób i gdzie indziej. „Teatr w remizie”, chociaż trudno mu konkurować z profesjonalnymi teatrami, ma przecież także swój urok.

Przedstawienie reżyserowała Maria Twornicka. Scenografia: Irena Lemke i Lucyna Wróbel. Wystąpili: Andrzej Hinz, Maria Klawikowska, Krystyna, Tomasz i Wojciech Kotłowski, Andrzej Miler, Piotr Pelcer, Jarosław Pielowski, Arkadiusz Potrykus, Brunon Szpica, Teresa Szpica i Marek Zalewski.

Ucieczka w piękno

Stanisław Janke

Na skraju Rumi stoją domy zwyczajne i bardzo do siebie podobne. Ludzie tutaj też żyją zwyczajnie. Rano dojeżdżają do pracy, przeważnie do Gdyni, po południu uprawiają przydomowe ogródki, wysiadują na ławkach, odpoczywają. Tymczasem Alfons Zwara chwytą za pędzel i maluje obrazy. Tej pasji oddaje się od piętnastu lat. Fabułą jego malarstwa jest morze, ziemia kaszubska i jej ludzie. Wystarczy wymienić kilka tytułów malarzskich prac Zwary by znaleźć potwierdzenie tej tematyki: Jastarnia, Puck, Mechelinki, Sobótka w Jastarni, Matka Boska Sianowska, Portret starego rybaka, Pomeranki.

Malarstwo Zwary cechuje całkowita wierność realiom. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że to fotografia. Sam artysta mówi o sobie ironicznie, że jest malarzem dziewiętnastowiecznym. Miałem okazję obejrzeć kilka obrazów Alfonsa Zwary spośród około tysiąca, które namalował. Z pierwszego kontaktu z tymi płótnami pozostały we mnie sugestywne szczegóły w jakichś nadrealnie zestawionych kolorach. Niby każdy kształt na obrazie można znaleźć w otaczającej nas rzeczywistości, a jednak te barwy sprawiają, że widzimy go innym, piękniejszym, jakby z krawędzi marzenia i snu.

Alfons Zwara maluje przede wszystkim dla samej radości tworzenia, ale także z myślą o kimś, kto polubi jego obrazy i zapragnie mieć na własność. Nie zamierza burzyć tradycyjnej formy wypowiedzi plastycznej. Język, którym od wieków posługiwało się malarstwo sztalugowe jest mu najbliższy. Wciąż doskonalą swój warsztat, bo jak dla każdego samouka, biegłość techniczna ma dla niego istotne znaczenie.

W tym miejscu należy przytoczyć kilka ważniejszych faktów z życiorysu malarza. Urodził się 26 listopada 1933 roku w Rumi (ojciec — wiejski stolarz i ludowy rzeźbiarz — przybył tutaj z kartuskiego). Po ukończeniu szkoły podstawowej, w której już ujawniły się jego zdolności plastyczne, pomagał rodzicom w gospodarstwie rolnym. W latach 1955—1956 pracował jako doker w gdyńskim porcie. W roku 1960 zaczął uczyć się stolarki i w tym zawodzie podjął pracę w Marynarce Wojennej, gdzie pracuje do dziś. Tam też — w roku 1968 — zetknął się ze znanym gdyńskim malarzem kapitanem Henrykiem Baranowskim, który wprowadził go w arkaną malarstwa i przez dłuższy czas sprawował nad nim artystyczną pieczę. Od 1969 roku Zwara zaczął uczestniczyć w konkursach i wystawach malarzskich. Zdobył kilka nagród i wyróżnień. Swoje prace eksponował na trzech wystawach indywidualnych i na siedmiu zbiorowych. Być może jego talent miał szansę rozwinąć się inaczej. Jednak inwalidztwo, a potem śmierć ojca, trudna sytuacja materialna rodziny nie pozwoliły mu zdobyć wykształcenia plastycznego.

Plenery malarzkie artyści to najczęściej miejscowości nadmorskie i kartuskie lasy. Zresztą morze i las wciąż są jego największą fascynacją. W jego artystycznych zamierzeniach jest historia i kultura duchowa społeczności kaszubskiej. Malarz jest członkiem oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Rumi. W październiku bieżącego roku oddział wspólnie z miejscowym domem kultury organizuje wystawę jego prac. Alfons Zwara jest jednym z tych ludzi naszej ziemi, których trzeba odszukać i poznać.

Własne piękno

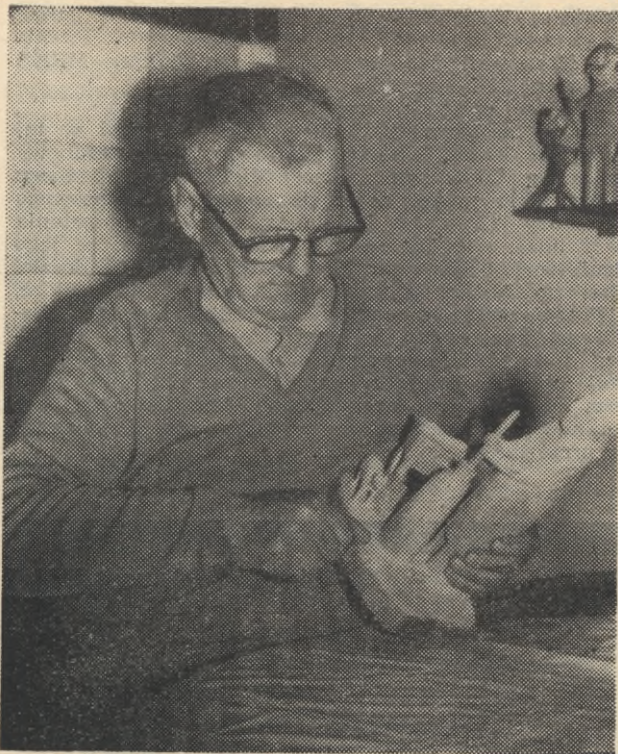
Kazimierz Nowosielski

Skromny, przydomowy ogródek pana Albina Kuchty ze Starogardu Gdańskiego zaludniają procesje jaskrawo wystrojonych postaci: jakichś wodzów, królewien, krasnali, a także gnieźdzące się na stoliku płaszyska oraz przycupnięte pod drzewami czworonogi. Może to za mocno powiedziane, że są „jaskrawo wystrojone”, ale na tle miękkiej zieleni wczesnego lata ubiegłego roku ich kolory intensywniały, bo potem, gdy oglądał w przyległej do warzywnika szopce inne figurki, przyszło mi podziwiać ich zgaszoną, zgrzebną w swym nasyceniu barwę.

Ich twórca, przedwojenny kociewski murarz (ur. w 1909 r. w Wysokiej, pow. Starogard Gd.) z pewnym żałowaniem mówi o swojej pasji, przez tyle lat skrywanej, a odkrytej dla znajomych dopiero po śmierci żony, gdy mógł już swobodnie strugać w mieszkaniu, nie bacząc na wyfruwające spod kozika i zalegające podłogę „wiory”. W dzieciństwie pięk-

nie wychodziły mu rozmaite „gwizdałki”, choć być może brało się to bardziej z uciechy, jaką dają człowiekowi melodyjne dźwięki, niż z potrzeby strugania, bo upodobanie do wszelkiej muzyki pozostało mu do dziś, o czym świadczą dwie stare mandoliny, wiszące na ścianie wśród gromad drewnianych płaszczków i w naiwnej powadze zasłuchanych postaci. Potem przyszły lata, gdy rzeźbił tabakierki z rogu, ale to minęło razem ze zwyczajem zażywania, choć tą robotą, jak powiada, można już było co nieco zarobić.

Od dłuższego czasu do skromnej renty dorabia w inny sposób. Latem jeździ rowerem po okolicznych lasach i łąkach i zbiera najrozmaitsze ziele, które suszy, a po wysuszeniu podbarwia sobie tylko znanymi sposobami, by późną jesienią i zimą sprzedawać na targu te, jak je nazywa, „słumiaczki”. One szybko znajdują nabywców, „raz, dwa i precz”, lecz



jego rzeźbami ludzie raczej się tu nie interesują. Ot, raz pamięta, księdzu chodzącemu po kołędzie podarował anioła, gdyż figurka spodobała się gościowi. Jestem chyba pierwszym, który, po rozmowie o tym niezwykłym człowieku z przyjaciółmi, a sąsiadami pana Kuchty, trafił tu po to, by zainteresować się światem jego wyobraźni.

Dziwna uroda rzeźb tego artysty tkwi nie tyle w ich realizmie, do którego przywiązuje on nawet spore znaczenie („żeby było podobne”), ale w ich kom-

pozycji: w połączeniu starej huby z toporną, surową chłopską twarzą, w umieszczeniu na jednej gałęzi ptaków, które w rzeczywistości nigdy z sobą tak przebywać by nie mogły... Patrząc na rzeźby Kuchty, rozumiem radość, jaką dawać mu może układanie bukietów, ta jedyna pasja, z którą nie krępuje się iść między ludzi. Bukiety ptaków na półkach... Nawet krowa i dojarka ułożone jakby w jakąś wielokwiatową kompozycję. Najbardziej podobala mi się wisząca na ścianie ni to anielica, ni chłopka (a może św. Franciszek) z białymi ptaszkami na dłoni i ramieniu. Ramię z ptakiem jest nieproporcjonalnie długie w stosunku do pustego ramienia, tak samo ręka, na której przysiadł gołąbek(?), jest dwa razy dłuższa od tej wolno opuszczonej wzdłuż szaroróżowej szaty. Jest w tym jakiś wspaniały rodzaj plebejskiego funkcjonalizmu. Gdy oglądałem tę figurkę, przypomniała mi się postać Jana Citaka, rzeźbiarza z Krynicy, który na uzasadnienie nieproporcjonalnie wielkich głów swego Frasobliwego takie znajdował uzasadnienie: „To pan nie rozumie, że Tyn, co to wszystko wymyślił: i niebo, i ziemia, i ludzi to musiał mieć chyba wielki łeb, no nie?”.

Obok tego ptasiego bukieciarstwa najpiękniejsze bywają Kuchtowe anioły: te już lekko przychylone pracą wiejskiej dziewczyny, ubrane w powłóczyste, błękitne szaty, którym artysta każe dźwigać przed ołtarzem wstęgę z napisem „Alleluja”, albo wyciągać zgrabiałe ręce po oczekiwaną w zaświatach duszę.

Albin Kuchta dla swych postaci i ptaków wymyśla swoje własne piękno. Układa je w kompozycje niebywale i obdarza barwami, w których się ich dotąd nie spotykało. Być może, bierze się to z potrzeby uczynienia ciekawszymi szarych i żmudnych dni, a może z dyskretnego upominania się o swój własny świat, ten świat, który jest również częstką naszego wspólnego losu.

Mini-rozmowa

Andrzej Grubba mistrz celuloidowej piłeczki

Ma lat 25. Jest wychowankiem Neptuna Starogard. Tenista stołowy 6-krotnego drużynowego mistrza kraju AZS AWF Gdańsk. Mistrz Europy w grze mieszanej w parze z Holenderką Bettine Vriesekoop. Dwukrotny mistrz kraju w grze pojedynczej. As 4 drużyny superligi europejskiej. Uczestnik turniejów Masters i Top 12. Dwukrotny zwycięzca aktualnego mistrza świata w pingpongu Chińczyka Guo-Yuehua. Wraz z innym gdańszczaninem Leszkiem Kucharskim stanowią czołowy debel Europy i świata. Spotykam go w hali oliwskiej AWF, gdzie Grubba po raz szósty wraz z kolegami wykuwa tytuł drużynowego mistrza kraju dla swej drużyny.

— Urodził się pan i wychował na Kociewiu — nabrał Andrzej Grubba — lecz nazwisko wskazuje na pana kaszubskie pochodzenie.

— Bo i jestem Kaszubą. Moi oboje rodzice pochodzą z Kaszubi i są Kaszubami. Ojciec urodził się w

Obłuzu i pochodzi ze starej gdyńskiej kaszubskiej rodziny, a matka wywodzi się z rodziny Kulasów ze Starej Kiszewy.

— Jak więc trafiliście na Kociewie?

— Najzwyczajniej w świecie. Po prostu mój ojciec jest z zawodu nauczycielem. Niejako służbowo został przed laty przeniesiony pod Starogard. Nic dziwnego, że oboje z siostrą mamy w metrykach wypisane inne miejsce urodzin. W rodzinach nauczycielskich nie należy to wcale do rzadkości. To przenoszenie z jednej wsi na drugą, z jednej szkoły do innej.

— Co po dziś dzień pozostało u was z kaszubskiej obyczajowości?

— Przede wszystkim znaczny rygor moralny i obyczajowy. Taki przykład. Zaprosiłem kiedyś moją partnerkę w grze mieszanej, Bettine, do domu moich rodziców w Starogardzie. A trzeba panu wiedzieć, że czasami lubię sobie puścić dymka, czyli zapalić pa-

pierosa. Zwłaszcza po zawodach, wyjątkowo wyczerpujących w naszej dziedzinie sportu. No i stało się. Bettine mnie wkopała. W chwili gdy ktoś w domu zapalił papierosa, Bettine obruszyła się: „Andrzej, czemu ty nie zapalisz?”. Z miejsca spojrzenia obojga rodziców spoczęły na mnie. Ja zaś, skoro już rzecz cała się wydała, sięgnąłem po paczkę papierosów, wyciągnąłem jednego i jakby nigdy nic, zapaliłem. Na to mama wyrwała mi papierosa z ręki, zgasiła go w popielniczkę mówiąc: „Ty się, Andrzej, nie wygłupiaj”. Najwyraźniej więc, pomimo moich 25 lat i faktu, że dawno już opuściłem progi domu rodzinnego, mają mnie za duże dziecko...

— A jaka była pana droga z Kociewia do Gdańska?

— Jako młodzik grałem w lidze okręgowej w barwach starogardzkiego Neptuna. Podpatrzono mnie jak grałem i zaproponowano dalszą naukę w gdańskim liceum.

— Był to czas, jak mi wiadomo, ostrej rywalizacji

między AZS-em a gdańskim MRKS-em o palmę pierwszeństwa w gdańskim pingpongu.

— Trenowali wówczas (a i dziś także) MRKS Weisbrott i Mielewczyk...

— ... też, zdaje się, Kaszubi?

— Jak najbardziej. Czołową rolę odgrywał w tej drużynie Tadek Klimkowski, obecny mój klubowy kolega a także syn trenera Mielewczyka. Jednego roku miało nawet dojść do spotkania brązowego pomiędzy AZS-em a MRKS-em o prawo pozostania w I lidze. Ale Mielewczyk uznał wówczas, że jego drużyna jest bez szans i do barażu tego nie doszło. Dziś zaś MRKS odgrywa czołową rolę w II lidze.

Potem rozmowa moja z Andrzejem Grubbą schodzi na inne, czysto już sportowe tory. Wiele mówimy o Azjatach, o specyfice ich gry, o niepośledniej roli jaką odgrywają w sporcie przez Andrzeja z takim powodzeniem uprawianym. Umawiamy się też na koniec na szczegółową rozmowę dla „Pomeranii” w przyszłości.

rozm. Ryszard Ciemiński

URODZINY

Zbigniew Gach

W zgodzie ze starym przyzwyczajeniem doktor gminny Hubert Janowicz i tym razem zakupił u leśniczego comber z jelenia, żeby go krzywa Stefa (królowa okolicznych kucharek) mogła spokojnie bajcować i nacierać tłuczonym jałowcem. Zeszłego roku pieczeń taka udała się wybornie, ale solenizant zdążył ją ledwie napocząć, gdy do drzwi dopukał się mokry jak rosa chłop z odległej kolonii Bukówka: że kobieta mu zległa i strasznie krwawi. Wej, cholera jasna! Jechać samochodem nie było sensu — koła ugrzęzłyby w rozpadlinach zaraz po skręcie z asfaltu. Pozostawał skrzypiący chłopski zaprzęg, a i to po zmówieniu pacierza, takich bowiem sakramenckich wadołów, jak pod Bukówką, nie ma więcej na Kociewiu. Pacierz był jednak za krótki, skoro wóz także zassał się w leśnym rozlewisku i doktorowi przyszło dobrze zamoczyć spodnie; do domu wrócił nad ranem, nieprzytomny z ubłocenia — po gościach ujrzał rozdziobane jadlo.

Pomny tamtego zdarzenia, teraz się zabezpieczył i już na dwa tygodnie przed urodzinami (równe pięćdziesiąt lat) rozgłosił po okolicy, że w dniu owym będzie na urogiście, pacjenci więc mają się zgłaszać w pilnych sprawach do doktora Mechlińskiego ze Szlagi. Osobno wyłożył wszystkim sołtysom gminy Ogonowo, dzięki czemu nabrał przekonania, że nic nie zakłóci mu przyjęcia.

W dzień doktorowego półwiecza krzywa Stefa od świtu komponowała przekąski, miała wątróbki na pasztet, dekorowała gotowane jajka, dogrzewała bigos, wyczyniała gusła nad pieczeniem i wykonywała setki innych czynności, przerywanych niekiedy pacnięciem ścierką którejś z dwóch najetych do pomocy dziewczyn.

— Pośpieszta się, toć kuchni jeszcze nie zaczęte! — gderala, krojąc jarzyny z szybkością sieczkarni.

Z cyklu: Noweliłki

Ambicją krzywej Stefy było wywołanie w uczujących takiego apetytu, by pożądali każdej potrawy ze stołu, by jedli i pili do rozpędu żołądka, do puszczenia gazów ustami, do mdłości. Szatkując z zagadkowym uśmiechem wciąż nowe góry sałatek, oczyma wyobraźni widziała to, co nastąpiło (bo nastąpić musiało!) również i tym razem: goście doktorstwa rozeszli się grubo po północy z brzuchami wielkimi jak dynie i głowami pełnymi blekotu. Doktor Janowicz, trzymając się jedną ręką płotu, drugą niezgrabnie machał na pożegnanie widzianym przez mgłę postaciom.

— Chodź już, Hubciu — wysłyszał wreszcie za sobą dobry, zwyczajnie łagodny głos doktorowej.

— Pomóż mi, Zośka — westchnął ciężko.

Po pięciu minutach sapał w łóżku, obmyty i przebrany w czystą piżamę; doktorowa nuciła coś w kuchni, zmywając naczynia. Była zadowolona. Zaproszeni goście przybyli co do jednego i ubawili się walenie — cała gmina powinna jutro wiedzieć, że pięćdziesiąte urodziny doktora Janowicza obchodzone były hucznie. Stuknęły się tylko trzy kieliszki i jeden talerz od serwisu, ale to przecież na szczęście. Nikt nikogo nie obraził, nikt nie zanieczyścił mieszkania. Przyniesione przez pacjentów i gości prezenty zajęły cały tapczan. Oby tak zawsze.

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy doktorowa kończyła wycierać statki. Z sypialni dobiegało rytmiczne chrapanie doktora, choć parokrotnie już tej nocy zdarzyło mu się siadać i nieprzytomnym wzrokiem wodzić po ścianach. Jelita ziały wtedy gorącem, przez głowę przebiegały tabuny wspomnień i wyobrażeń, a pośród tego wszystkiego ogromniał niemal na jawie migocący napis: RACHUNEK SUMIENIA. „Nie, nieprawda! — doktor oganiał się od majaków rozcapierzonymi palcami — tej znajo-

mej Gniewkowskich nie mogłem pomóc, miała zaawansowaną posocznicę. Tamtego chłopca od Szczypińskich też nie mogłem uratować, nie dowieziono surowicy przeciw jadowi żmii. To samo ze Starym Gruhsem, który zmarł po złamaniu kręgosłupa; to samo z rąbiącym drewno załadowcem Kamińskim; to samo z pijakiem Berendtem, z poparzoną Kreją...! Nikomu z nich nie mogłem już wrócić życia!" Napis przygasał to znów migotał żółtą poświatą — z niewidzialnych magnetofonów odgrywały się strzępki jakichś dialogów. Doktor leżał na wznak, zaciskając oczy i zasłaniając dłońmi uszy, chwilami jednak wyraźnie widział i słyszał, jak dziesiątki dawno nie widzianych pacjentów żądały opatrunków i zagranicznych zastrzyków, pokazywały na świeżo usypane mogiły, wymachiwały pozwami sądowymi, groziły, krzyczały, nalegały...

— Hubciu, Hubciu, kochanie! — głos ten po raz trzeci lub czwarty tej nocy dopomógł doktorowi wypłatać spoconą czuprynę spod pierzyny.

— Zośka..., o Boże..., ooo...

— Zaraz ci zrobię kompres i podam sodę.

— Czy ktoś pukał?

— Skądże, musiało ci się przyśnić.

— Ufff...

Kiedy doktorowa przyniosła zmoczony ręcznik i musującą w szklance wodę, doktor znowu spał. — Jeszcze tylko trochę zamiotę i też się kładę — powiedziała do siebie półgłosem.

Doktor leżał nieruchomo przez dobry kwadrans. Senna manna osypywała grubymi płatkami jego skronie, gdy raptem, mimo bezwiednie naciągniętej na twarz poduszki, znów zaczął słyszeć nie słysząc i widzieć nie widząc.

— Kto tam? — spytał głos podobny do głosu doktorowej.

— To ja, Felski z Bukówki.

Drzwi skrzypnęły, niby otwierane.

— O co chodzi? — głos doktorowej był kłujący jak przymrozek.

— Pani, czy pan doktor je w domu?

— Mąż jest na urlopie.

— Pani, dziecko mie kona!

— Nic nie poradzę, musi pan jechać do doktora Mechlińskiego do Szlagi.

— Pani, dziecko ma czterdzieści stopni i oddaje jedzenie na podłogę... Pani, kark ma sztywny, leży na boczku i drży jak zajacek... Pani..., pani...

— Mąż jest na urlopie, pojechał na ryby i... — twardy głos doktorowej zadrżał nieco — ...musi pan jechać do Szlagi, nie ma innego wyjścia.

— Pani, toć... samochód doktora stoi w ogródku.

Oczy doktorowej zwęziły się w żyłetki:

— Pytał pan i dałam odpowiedź. Ma pan przecie swój samochód, za dwadzieścia minut może pan być w Szladzie.

— Pani, a jak za ten czas dziecko mie umrze?!

— Męża... nie ma — doktorowa wycodziła

ostatnie słowa w taki sposób, że zrezygnowany chłop obrócił się na pięcie i prawie płacząc wsiadł do syrenki.

Doktor zdjął poduszkę z twarzy — dookoła panowała cisza.

— Zośka! — zachrypiał, czując przez moment, jak żyły na czole splatają mu się w ciernistą koronę.

— Co się stało, kochanie? — doktorowa odstawiła miotłę.

— Czy ktoś się dobijał?

— Znowu ci się coś przyśniło, Hubciu, masz halucynacje na tle przejedzenia i przepicia — roześmiała się przekornie.

— Uuu..., muszę wreszcie normalnie usnąć.

— No to ci nie przeszkadzam. Posiedzę jeszcze trochę w łazience — doktorowa ucałowała męża w policzek i poprawiła mu poduszkę.

Doktor zwinął się w kłębek. — Gdyby to była rzeczywistość — wymamrotał — to te objawy o synka Felskiego wskazywałyby na zapalenie opon... A wtedy... penicylina i sulfonamidy...

Na dworze już się przecierało (choć nie było chyba później niż wpół do szóstej), kiedy u drzwi doktorostwa zjawiał się zdyszany, krępy mężczyzna z przełożonymi przez ramię widłami. Zdecydowanym ruchem nacisnął guzik od dzwonka i trzymał prawie tak długo, aż usłyszał szczęki otwieranego zamka. Podpuchnięta, rozmalowana doktorowa nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdy mężczyzna wyrzucił z siebie pierwsze zdanie:

— Pani doktorowo, trzeba zara pojechać..., mój szwagier Boguś Felski, leży za bożą męką w rozbitej syrence!...

— Dzień dobry! — powiedziała bardzo wyraźnie doktorowa — mąż jest na urlopie.

— Pani, Boguś ma zamknięte oczy i puszcza krew ustami!...

— Przykro mi..., doktor Mechliński w Szladzie...

— Pani, trzeba go ratować!

— Niestety...

W tej chwili skrzypnęły schody i z pięterka zaczął powoli schodzić doktor Janowicz. Oczy miał podkrążone, włosy zlepięte na czole.

— Od której strony jechał Felski? — zapytał bez wstępu.

— Jakby stąd na Szlagę — odparł człek z widłami.

— Będę za kilka minut — doktor przybliżył się, machnął ręką na pożegnanie i zamknął drzwi.

— Zośka! — obrócił się w stronę połowicy.

— Przecież byłeś w takim stanie, że chodziłeś niemal na czworakach! — powiedziała bardzo szybko doktorowa.

— Zośka!...

— Jesteś na urlopie i masz prawo!... Zresztą, gdyby nie ja, to pewnie byś teraz leżał w tym rozbitym samochodzie!

— Zośka!!!!... — doktor postąpił o krok i po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat zapragnął podnieść włochatą dłoń.

Telefon zamiejskowy. Ktoś się nad morze wybiera, zamawia z góry moje usługi przewodnika i cieszy, że się naje świeżych ryb. — To jedź nie do Gdańska, natomiast — wołam w słuchawkę — a do Zakopanego!

Bożek centralnej dystrybucji sprawia, że bryndzę owczą tę gorczańską, po pierwszych wypasach — dostać najłatwiej w Lęborku albo Gryfinie. Pytam o nią w Krościenku nad Dunajcem, więc u producentów. — Dyć jom panocku już wystaliśmy, jak łódzkiego roku, na północ... Czekać będzie tam na nieprzychylnych nabywców aż zjeżdżają. Co roku truskawki z plantacji pod Magnuszewem i Grójcem jadą z centrum Polski byle dalej i dalej, aż sfermentują i zamieniają się w pulę. Z pulpy zrobimy dżem, a Polak, wiadomo, podczas kryzysu wszystko zje. Ryby morskie pcha się w imię tej reguły byle jak najprędzej z Wybrzeża, głównie na Śląsk, żeby nam górnik tego węgla fedrował i krzywa rosta. Z rybami nie byłoby nic zdrożnego, bo w nich i sole mineralne i fosfor i białko — gdyby nie dwa zasadnicze zastrzeżenia a w ich tle płatnina przyczyn i skutków:

- najobfitsza podaż musi w imię logiki występować tam, gdzie się te ryby łowi, a dopiero po pełnym nasyceniu popytu można nadwyżki wyeksportować w inne regiony. Oznacza to — przecież oszczędność na kosztach specjalistycznego transportu i składowania;

- aby cennego, wrażliwego rybnego surowca nie zmarnować, trzeba poprowadzić z portów rybackich Wybrzeża aż do każdego sklepu Centrali Rybnej w głębi kraju tzw. łańcuch chłodniczy, obejmujący ekspresowy przewóz w samochodach-chłodniach albo wagonach, może nawet gdy idzie o żywego węgorza w samochodach-kadziach z morską wodą, dalej chłodnie jako magazyny hurtowe, a także lada zamrażalnice w punkcie detalicznym. O łańcuchu pisze się i dyskutuje od lat, na ten temat habilitowało się kilku docentów — ale go nie ma. A raczej są poszczególne ogniwa, lecz nie składa się to w pożądaną całość.

Pomuchel, bankier albo gliszczyk czyli węgorz, ten ostatni oczywiście po kaszubsku w sosie koperkowym, prosto z morza — są znakomite. „Naszemu przodkowi wystarczały ryby słone i cuchnące, my po świeżo przychodzących, w oceanie pluskających” — śpiewali już wojowie Krzywoustego zdobywając Pomorze i mieli rację. Są kraje, jak Japonia, w których świeża ryba morska wspaniale zastępuje mięso. U naszych brzegów, mimo trującej chemii, ryba jest — czasem w przeobfitości. Cóż, jeśli do konsumenta nawet w Gdańsku i Gdyni dociera wymęczona, zmacerowana, lepko kleista. Wielkie przedsiębiorstwa połowowe i spółdzielnie rybackie oraz obowiązkowo jakby Centrala Rybna, kupiec państwowi — monopolista i gigant, to aparat mało ruchliwy, nie troszczący się o klienta a jedynie o plan; wysokie ceny zapewnią i tak rentowność, a czego się nie sprzeda, to pójdzie na mączkę i zje to trzódka chlewna. Inaczej jest z rybołówstwem indywidualnym, w którym dostrzegam szansę, zwłaszcza odkąd na mezej ulicy niemal co dzień pojawia się obdrapany furgon i dwaj panowie sprzedają świeże śledzie po 60 złotych...

Ten sektor jest odbiurokratyzowany i nie ma w nim miejsca dla ludzi przypadkowych. Prywatna wędzarnia, w której kilka pań patroszy i nabija rybę, a właściciel obsługuje osobiście piec, pompę, transport i telefon może w ciągu doby uwędzić aż dwie tony. Warto by jednak to prywatne rybołówstwo równouprawnić, jak ma być w rolnictwie równouprawnione gospodarstwo chłopskie. Tam uprawa ziemi, tu uprawa morza. Oznaczałoby to dla rybaków równość w zamawianiu w stoczni i zakupie nowych, nowoczesnych przy tym kutrów, kredyty na ten cel, możliwość zakupu silników, także z importu, części, sieci, lin, pływaków, ciężarków, echosond i radarów, równość w przydziale łodu, skrzyń, równość w odbiorze połowów i w polityce cen. Rzeczywistość wygląda inaczej.

Nasi ludzie z Półwyspu, wszyscy ci Muże, Konkole, Krefty czy Budzisz i rybacy nowszej proveniencji z Górek Wschodnich czy Łeby przywykli do tego, że z podłużnym pakunkiem, w którym domyślić się łatwo węgorza, godzinami wyczekują w swej centrali zanim nabędą co potrzeba. Widać ich także w Gdańsku w pewnej firmie handlującej zapasami zbędnymi i nadmiernymi, jak dopytują się o stare echosondy, o głowice do przedpotopowego Volunda, o przeterminowane nieco rakiety. To oni obciążają hipoteki, by z przetargu kupić kuter tak stary i zdewastowany, że rybakom z firm uspołecznionych nie wypada na czymś takim pływać — a im musi wystarczyć przez wiele lat. O ile więcej, łatwiej i wydajniej by towili na nowych kutrach i nowoczesnym sprzętem? W Jelitkowie i Brzeźnie ludzie ciężko dysząc, jak przed wiekiem, ciągną ręcznym kabestaniem na piasek plaży łodzie zbutwiełe, z motorkami od pomp strażackich. Potem siadają na zardzewiałe rowery i jadą organizować doraźny transport. A gdyby im tak dać niezawodne „Penta-Volvo” albo odpowiednie silniki z Pucka, umożliwić budowę ślipu z windą elektryczną, przydzielić wspólną — jak dla maszyn — furgonetkę, stałe stoiska w krytej hali, wędzarnię?

Czas jest dla piszącego trudny, repliki jadowite, cenzura ostra. Z góry więc ostrzegam, że nigdzie u klasyków nie pisało o tym, jakoby państwo miało rybaczyć, patroszyć, marynować, wędzić i handlować owocami morza. Toteż nie podważa zasad ustrojowych ten, komu marzy się ryba bez zapaszku...

O marynistyce i o Conradzie

Ryszard Karwacki

Sześć szkiców, trzy o marynistyce i trzy o Conradzie, składa się na książkę Tadeusza Skutnika, wydaną pod wieloznacznym tytułem *Morze i myśl**. Na pierwszy rzut oka te sześć szkiców — zamieszczonych w jednej publikacji i objętych wspólnym tytułem, sugerującym rozważania skoncentrowane wokół myślenia o morzu — przypomina dość często spotykaną praktykę interpretacyjną, że jeśli mowa o marynistyce, to oczywiście Conrad, a jeśli o Conradzie, to rzecz jasna tylko w kontekście marynistycznym. Bo tak się już ustaliło, iż refleksji nad twórczością marynistyczną z reguły towarzyszy nazwisko Conrada, przywoływane jako znak rozpoznawczy literatury wyrosłej z morskich doświadczeń pisarza i z morzem ściśle związanej. Do Conrada przymierza się rodzime dokonania prozy marynistycznej i Conrad jest niedoścignionym wzorem, ku któremu zmierzają postulaty formułowane w licznych programach marynistyki. Przypominam tę uproszczoną i zbyt często nadużywaną formułę „marynistyczno-conradowski” myślenia, by na wstępie wyraźnie powiedzieć, że książka Tadeusza Skutnika jest w tej mierze publikacją inną. Szkice o marynistyce i szkice o Conradzie nie należą tu bowiem do tego samego porządku badawczego.

Książkę otwiera obszerny szkic *Spory*, drukowany już wcześniej na łamach „Libri Gedanenses”, a teraz w wersji poprawionej rozpoczyna refleksję nad związkami literatury z morzem. Dotyczy on dyskusji, jaką na temat marynistyki zapoczątkowano w dwudziestoleciu międzywojennym i kontynuowano z większym lub mniejszym nasileniem przez powojenne dziesięciolecie. Bezspornie było to zjawisko rzadko spotykane w naszym życiu literackim zarówno ze względu na ilość wypowiedzi, jak i towarzyszące dyskusji emocje. Zabierali głos literaci, publicyści i historycy literatury, entuzjaści marynistyki i jej zagorzali przeciwnicy, spierano się o programy, kryteria ocen i definicje, o literaturę, sztukę i wychowanie morskie, ujawniły się przy okazji rozmaite postawy estetyczne, społeczne i polityczne. Toteż „potrzeba systematyzacji, opisu i interpretacji dotychczasowych wysiłków na tym polu — jak słusznie powiedziano w tym szkicu — wydaje się oczywista choćby dlatego, aby kolejne pokolenia badaczy nie wywalały otwartych drzwi” (s. 5).

Podjęmując się tak nakreślonego zadania, Tadeusz Skutnik otwiera kolejne fazy sporu, systematyzuje wygłaszane poglądy, omawia zajmowane stanowiska wobec marynistyki, stara się zrekonstruować nie tylko sam spór, lecz również towarzyszące mu konteksty. Bez wątplenia jest to pierwsze i tak rzeczowe zreferowanie problematyki owego sporu. Godne zaś uwagi między innymi i dlatego, że autor przekonująco wskazuje na istotę sporu, na ową ukrytą kość niezgody, która tak poróżniła dyskutantów. Mam tu na myśli — według zastosowanej przez autora szkicu terminologii — „marynizm”, definiowany w tymże szkicu jako „całościowa koncepcja przekształ-

cenia zastanej rzeczywistości »ładowej« Polski w rzeczywistość »morską«, koncepcja zbudowana na hipotezie odrębności i wyższości kultur morskich nad lądowymi, a wypracowana w dwudziestoleciu międzywojennym przez »ruch marynistyczny« (s. 11). Bo w istocie rzeczy nie był to spór wyłącznie o literaturę marynistyczną, chodziło o więcej, o koncepcję i programy przebudowy świadomości narodowej, wedle których literatura miała być tylko jednym z narzędzi służących zmianie narodowego stosunku do morza. Z tych właśnie pozycji radykalne skrzydło dyskutantów atakowało dorobek literatury dawnych wieków, obwiniając całą polską kulturę za jej brak należytego zainteresowania się morzem. Według tej miary oceniano też negatywnie współczesne wysiłki na niwie marynistycznej.

Autor szkicu zachowuje stosowny dystans wobec entuzjastów „marynizmu” oraz ich oponentów, obie strony traktując z jednakową uwagą obiektywnego obserwatora. Krytycznie odnosi się jednak do „marynizmu” w tym momencie, gdy próbuje się go stosować jako jedyną miarę związków polskiej kultury z morzem. Już w tym szkicu, ale przede wszystkim w następnym, zatytułowanym *Propozycje*, Tadeusz Skutnik wykazuje, jakim uproszczeniem było tropienie tylko pozytywnych nastawień wobec morza oraz wyrokowanie o lądowym charakterze polskiej kultury, gdy entuzjazm morski naszych przodków okazał się zbyt mały. Dochodzi więc w konsekwencji do wniosku, że skonstruowana w tym trybie myślenia „hipoteza »historycznej ładowości« polskiej kultury stanowi dziś zupełny anachronizm” (s. 78).

Aczkolwiek wniosek ten może budzić rozmaite wątpliwości (choćby ze względu na swój radykalizm), trzeba lojalnie zauważyć, że w założeniu autorskim cały szkic jest propozycją spojrzenia na marynistykę w szerokim kontekście kulturowym, jest „apelem o kulturową perspektywę badań nad marynistyką polską, czy — ostrożniej — perspektywę rozumiejącą prawidłowości i mechanizmy, jakie rządzą rozwojem kultury morskiej w Polsce, rozumianej nie jako hipotetyczny punkt dojścia, stan nasycenia, lecz historycznie zmienny »stan zaawansowania«, bez względu na to, czy na »tak«, czy na »nie«” (s. 78—79). Z tym wnioskiem należy się zgodzić, ponieważ proponuje badania, które odpowiednio przeprowadzone mają szansę wskazać na miejsce morza w naszej kulturze i jeśli już nie uchyla, to przynajmniej złagodzi kategorię pytań w rodzaju: „ładowa czy morska”.

Trzeci szkic, *Czym jest marynistyka?*, dotyczy już samej twórczości marynistycznej i został pomyślany jako odpowiedź na tak właśnie postawione pytanie. Posługując się sprostowaniami Jana Parandowskiego na temat trzech synonimów morza w języku greckim (pelagos, sals i pontos), autor rozpatruje możliwości i nie wykorzystane szanse polskiej marynistyki. Pomyśl ciekawy między innymi i dlatego, że pozwala spojrzeć na dorobek marynistyki jako pewien etap przyswajania morza przez polską kulturę, co powinno zainteresować nie tylko badaczy literatury marynistycznej, lecz i jej twórców.

* Tadeusz Skutnik, *Morze i myśl*. Gdańsk 1982. Wydawnictwo Morskie.

W odróżnieniu od szkiców poświęconych marynistyce pozostałe trzy są dalekie od morza, nie koncentrują się na „morskości” czy „marynistyczności” literatury, lecz podejmują problematykę z obszaru badań literackich, jakie od lat prowadzą polscy i zagraniczni conradzycy. Te trzy szkice były już osobno drukowane w innych publikacjach, tu jednak umieszczone w zmienionej postaci i obok siebie ujawniają duże możliwości warsztatowe autora. Interesuje go bowiem biografistyka conradowska, którą w szkicu pt. *W kręgu biografii* poddaje krytycznej ocenie, wskazując na jej osiągnięcia i pomyłki; interesuje się też (*W kręgu autobiografii*) konstrukcją dzieła literackiego i wynikającymi stąd możliwościami rozpoznania wątków autobiograficznych pisarza; i jest

też zainteresowany (*W kręgu recepcji*) sposobami przyswajania Conrada w twórczości polskich poetów.

Zakres zainteresowań szeroki i każdy z wymienionych szkiców zasługuje z pewnością na osobne i wnikliwsze omówienie. Poprzestając jednak na tej zdawkowej informacji, chciałbym tylko w trybie ogólniejszym podkreślić, że Tadeusz Skutnik z równą swobodą porusza się i na obszarze marynistyki, i w gąszczu problematyki badań nad Conradem. We wszystkich szkicach zamieszczonych w książce *Morze i myśl* można obserwować sumienne przygotowanie materiałowe autora i jego pomysłowość interpretatorską. Myślę, że książka ta zwróci na siebie uwagę zarówno zainteresowanych marynistyką, jak i twórczością Conrada.

Roman Wapiński, Życie polityczne Pomorza w latach 1920—1939. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Roczniki 81, z. 2, PWN Poznań 1983, s. 262, cena 200 zł. Rzetelne i pierwsze w naszej historiografii przedstawienie tematu określonego tytułem. Autor zwraca szczególną uwagę na ważne polityczne i konflikty rozdziałające społeczność polską regionu. Sporo uwagi poświęca też sprawom kaszubsko-pomorskim, m.in. roli „Zrzeszê Kaszëbskiej”, z rozumą rozpatrując to zagadnienie na tle ogólnej sytuacji politycznej. Bardzo wartościowa książka.

Śląsk i Pomorze w historii stosunków polsko-niemieckich w średniowieczu. Materiały XII Konferencji Komisji Podręcznikowej Historyków PRL i RFN (Olsztyn 5—10 czerwca 1979 r.). Opracowanie redakcyjne, Marian Biskup. Ossolineum, Wrocław 1983, s. 174, cena 135 zł. Zbiór referatów wygłoszonych na konferencji, w znacznym stopniu poświęconych historii Pomorza. Na uwagę zasługują m.in. następujące wykłady: Gotthold Rhode — „Niemiecko-polskie problemy graniczne w średniowieczu”, Gerard Labuda — „Polsko-niemieckie problemy graniczne we wczesnym średniowieczu (Przyczynek do dyskusji nad zaleceniami dla podręczników szkolnych)”, Juergen Petersohn — „Prawnopanstwowy stosunek Pomorza Zachodniego do państw sąsiednich w okresie średniowiecza”, Peter Kriedte — „Pomorze Gdańskie i Śląsk w średniowiecznej historii Kościoła w Polsce i na terenach przyległych”, Marian Biskup — „Pomorze Zachodnie i Wschodnie jako problem w stosunkach niemiecko-polskich w XIV i XV wieku”, Enno Meyer — „Średniowieczna historia Śląska i Pomorza w podręcznikach historii Polski Ludowej”, Zbigniew Kulak — „Średniowieczny Śląsk, Pomorze Zachodnie i Gdańskie w podręcznikach szkolnych Republiki Federalnej Niemiec”. Jest nad czym się zastanawiać!

Zapiski Historyczne. Poświęcone historii Pomorza i krajów bałtyckich. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, t. XLVII, 1982, z. 3, s. 132, cena 90 zł. Jubileuszowy numer wydany z okazji 75-lecia jego periodyku. Sławomir Kalemka pisze o „Strukturze treści i form publikacji „Zapisek Historycznych”. Zmiany w latach 1908—1979”, Jerzy Serczyk przedstawia „Gdańskie czasopismo historyczne „Zeitschrift des Westpreussischen Geschichtsvereins” 1880—1941”, Jan M. Małecki omawia „Elbinger Jahrbuch” — periodyk elbląski w latach 1920—1941, natomiast Wiktor Pepliński poświęcił swój artykuł „Problematyce kwartal-

NOTY O KSIĄŻKACH

nika Instytutu Bałtyckiego „Jantar” (1937—1939 i 1946—1949). Poza tym — jak zwykle — bogaty dział recenzji i kronika naukowa.

Hieronim Rybicki, Rozważania o historii najnowszej Pomorza Zachodniego. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Słupsku, Słupsk 1982, s. 168, cena 60 zł. Zbiór artykułów i szkiców dotyczących Pomorza Zachodniego po drugiej wojnie światowej. Do ciekawszych należy szkic „Udział Polskiego Związku Zachodniego w integracji społeczeństwa Pomorza Zachodniego 1945—1950”. Nas natomiast szczególnie interesuje artykuł pt. „Problem słowiński”, w którym autor starał się zastanowić, czy był to problem autentyczny, czy też należy go rozpatrywać tylko z punktu historycznego. Istniała bowiem sprawa świadomości przynależności szczepowej, lub narodowej, a także problem reslawizacji Słowińców. Według autora Słowińcy sami, dobrowolnie, opuszczali Kluki, przemieszczając się do Niemiec (do obu państw), co jest tylko w połowie prawdą. Nie można analizować skutków, bez rzetelnej informacji o przyczynach. Nie można też pominąć tragedii Słowińców. O utracie słowińskiej krwi w „kacie słowińskim” trzeba było wyraźnie napisać.

Kalendarz Gdański 1983. Towarzystwo Przyjaciół Gdańska, Gdańsk 1982, s. 308, cena 150 zł. Po 6-letniej przerwie ukazał się znowu „Kalendarz Gdański”, zawierający różnorodne materiały o regionie pomorskim. W popularnych artykułach przedstawiono fragmenty z dziejów dawnego Gdańska, z okresu Wolnego Miasta, lat wojny i okupacji. Wiele miejsca poświęcono różnym współczesnym sprawom województwa. Przedstawiono też sylwetki kilkunastu działaczy pomorskich, a także niektóre tematy kaszubsko-kociewskie. O Benedykt Norbert pisze o muzeum w wejherowskim kościele Franciszkanów, Józef Błaszowski — o muzeum w Będminie, Paweł Szeffa — o zwyczajach wiosennych na Kaszubach, a Krystyna Makowska — o Ziemi Kaszubskiej w poezji regionalnej. (T. Bol.)

18 września br. spotykamy się
w Brzeźnie Szlacheckim

(dojazd przez Lipnicę i Borzyszkowy)

NA GŁÓWNEJ KASZUBSKIEJ UROCZYSTOŚCI

300-LECIA ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ

MARIAN PELCZAR (1905-1983)

Zbigniew Nowak

W środę 9 marca 1983 roku zmarł w Gdańsku docent dr Marian Pelczar, emerytowany dyrektor Biblioteki Gdańskiej PAN, historyk specjalizujący się w dziejach Pomorza i Gdańska, organizator życia naukowego i kulturalnego w powojennym Gdańsku, aktywny uczestnik prac Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Gdańska, zasłużony działacz społeczny. W dniu śmierci zbliżał się do 78 roku życia, ale odszedł od nas w pełni sił duchowych i umysłowych, stale aktywny, stale zapracowany, stale przebywający w centrum zdarzeń naukowych i kulturalnych Gdańska. Jeszcze w czwartek 3 marca uczestniczył w zebraniu Wydziału I GTN, zabierał głos w dyskusji, wyrażał radość, że na spotkaniach historyków pojawia się coraz więcej młodych ludzi, a w rozmowie towarzyskiej przedstawiał swe zamierzenia naukowe na najbliższy okres, związane głównie ze zbliżającym się osiemsetleciem zakonu cystersów w Oliwie. W dwa dni później dowiedzieliśmy się, że przebywa w ciężkim stanie w szpitalu, a już we wtorek 15 marca odprowadziliśmy doc. dra Mariana Pelczara na miejsce wiecznego spoczynku w alei zasłużonych na cmentarzu Srebrzysko.

Odszedł człowiek niezwykle i nieprzeciętny, przez blisko pięćdziesiąt lat swego aktywnego i twórczego życia związany mocno z Gdańskiem i Pomorzem, z przeszłością i teraźniejszością tych północnych ziem Rzeczypospolitej.

Droga Mariana Pelczara do Gdańska i na Pomorze, do ludzi i wydarzeń tego regionu, wiodła z odległego południa Polski. Urodził się bowiem w Nowym Sączu 22 marca 1905 roku w rodzinie nauczycielskiej. Ojciec Michał był profesorem, a następnie dyrektorem Państwowego Gimnazjum im. Jana Długosza w Nowym Sączu. W tym gimnazjum Marian Pelczar uzyskał maturę w 1923 roku. Studia wyższe odbył w Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1923–1928, na wydziale filozoficznym, specjalizując się w zakresie historii gospodarczej i nauk pomocniczych historii pod kierunkiem znakomitych profesorów, Romana Grodeckiego i Władysława Semkowicza. Dyplom doktora filozofii uzyskał w 1929 roku, a dyplom nauczyciela szkół średnich — w 1931 roku. Pięćdziesiąt lat później, 16 października 1980 roku w auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła się uroczystość odnowienia dyplomu doktorskiego Mariana Pelczara.

Już podczas studiów uniwersyteckich w 1925 roku rozpoczął Marian Pelczar pracę zawodową. Początkowo był asystentem przy katedrze historii gospodarczej i społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w latach 1929–1934 pracował jako nauczyciel w szkołach średnich w Krakowie. W grudniu 1934 roku otrzymał propozycję przeniesienia do Gdańska (wówczas Wolnego Miasta Gdańska) w celu pełnienia tam obowiązków nauczycielskich. Propozycję tę przyjął bez wahania, chociaż łączyła się ona z poważnymi trudnościami różnego rodzaju, jako że teren Wolnego Miasta Gdańska nie był w tym czasie spokojnym miejscem dla Polaków. Był to więc wybór w pełni świadomy i jak się okazało, na całe życie.

Pracę nauczycielską w Gdańsku Marian Pelczar podjął 15 grudnia 1934 roku. Miejscem jego zawodowej działalności pedagogicznej były dwie polskie szkoły: Polska Szkoła Handlowa Macierzy Szkolnej oraz Polska Wyższa Szkoła Handlowa Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Uczył tam aż do wybuchu drugiej wojny światowej, zyskując wysokie uznanie władz szkolnych

i głęboką sympatię uczniów. Ocaleli z pożogi wojennej wychowankowie tych szkół utrzymywali stałą więź ze swym byłym wychowawcą i nauczycielem, do końca Jego życia.

Jednocześnie z pracą nauczycielską rozpoczął Marian Pelczar w Gdańsku żywą działalność organizatorską, społeczną i naukową. Już w 1935 roku wszedł do Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, a w 1937 roku powierzono mu odpowiedzialne stanowisko sekretarza generalnego Towarzystwa i zarazem gospodarza stacji naukowej. Szybko i bardzo intensywnie przyswajał sobie wiedzę o przeszłości Gdańska, prowadząc studia źródłowe w Archiwum Gdańskim i w bogatej w zbiory Bibliotece Miejskiej w Gdańsku. Jako stypendysta TPNiS przebywał też w Królewcu, gdzie badał dokumenty historyczne w tamtejszym archiwum. Wyniki swych dociekań naukowych publikował na łamach „Rocznika Gdańskiego”, poczynając od 1937 roku. Wygłaszał też z tego zakresu odczyty w Gdańsku i Gdyni. W dziejach dawnego Gdańska interesował Go przede wszystkim nurt polski, słabo wówczas przez historyków polskich eksponowany, a przez historyków niemieckich celowo pomijany.

Sporo czasu poświęcał na działalność społeczną w szeregach polskiego harcerstwa w Wolnym Mieście Gdańsku. Był członkiem Komendy Chorągwi Harcerzy w Gdańsku i współredaktorem gdańskiego pisma harcerskiego „Zewie”. W 1937 roku wraz z harcerzami z Gdańska uczestniczył w międzynarodowym zlocie skautowym „Jamboree” w Vogelensangu pod Haarlemem, gdzie zorganizował świetlicę gdańską, propagującą polskość dawnego i współczesnego Gdańska. Wówczas nawiązał serdeczną przyjaźń z Alfem Liczmańskim, komendantem Gdańskiej Chorągwi Harcerzy, zamordowanym w 1940 roku przez Niemców w Granicznej Wsi.

Wybuch drugiej wojny światowej zmusił Mariana Pelczara do opuszczenia Gdańska i ukrywania się na wsi pod Krakowem. Tuż przed wybuchem wojny zdołał wysłać z Gdańska do Krakowa najcenniejsze materiały naukowe oraz akta urzędowe TPNiS, dzięki czemu dokumenty te ocalały, a wielu działaczy TPNiS uniknęło represji ze strony okupanta. Opuszczając Gdańsk, nie przestał pracować nad naukową rekonstrukcją jego dziejów. Podczas okupacji, spełniając funkcje woźnego, telefonisty i księgowego, prowadząc tajne nauczanie pisał w wolnych chwilach historię polskiego Gdańska, wierząc, że ukaże się ona drukiem w wyzwolonym, już na zawsze polskim Gdańsku.

W styczniu 1945 roku, tuż po wyzwoleniu Krakowa, otrzymał Marian Pelczar propozycję udania się do Gdańska w celu zabezpieczenia znajdujących się tam zbiorów bibliotecznych oraz innych dóbr kulturalnych. Propozycję natychmiast przyjął i wszedł w skład siedmioosobowej grupy operacyjnej, kierowanej przez Stanisława Turskiego, a delegowanej przez ówczesnego ministra oświaty, dra Stanisława Skrzeszewskiego. Wyjazd z Krakowa nastąpił już 23 lutego, gdy Gdańsk znajdował się jeszcze w rękach niemieckich. Po wielu perypetiach grupa operacyjna dotarła do Bydgoszczy. Tam Marian Pelczar zajął się zabezpieczaniem opuszczonych księgozbiorów, a dla miejscowej prasy przygotował pierwsze po latach okupacji artykuły o polskości Gdańska.

Gdy prasa doniosła 31 marca, w Wielką Sobotę, że Gdańsk został wyzwolony, grupa operacyjna udała się

do celu swego przeznaczenia. Powrót Mariana Pelczara do Gdańska nastąpił 5 kwietnia 1945 roku. Miasto leżało w gruzach i jeszcze płonęło. Jako miejsce postoju obrał mniej zniszczoną Oliwę i zatrzymał się w opuszczonym domu przy Lessingstrasse 9, dzisiejszej ulicy Grottgera 9. Tymczasowa siedziba służyła za mieszkanie Marianowi Pelczarowi wraz z rodziną przez ponad 30 lat. Tam też ulokowała się cała grupa operacyjna i tam rozpoczęły się prace nad zabezpieczaniem ocalałych księgozbiorów.

W poniedziałek 9 kwietnia 1945 roku Marian Pelczar odbył rozmowę z prezydentem Gdańska Franciszkiem Kotus-Jankowskim i uzyskał formalną nominację na dyrektora Biblioteki Miejskiej. W tymże dniu dotarł do ocalałego budynku Biblioteki, dokonał jego wstępnych oględzin i zabezpieczenia i już następnego dnia rozpoczął energiczne organizowanie od podstaw pracy nad rewindykacją zbiorów, ich porządkowaniem, uzupełnianiem, opracowywaniem i przystosowywaniem do udostępniania.

Dzięki ogromnej energii, pasji i poświęceniu, czym również zarażał swe najbliższe otoczenie, w stosunkowo krótkim czasie Marian Pelczar zdołał wydobyć z różnych kryjówek najcenniejsze zbiory biblioteczne i już 22 czerwca 1946 roku odbyło się uroczyste otwarcie Biblioteki Miejskiej dla czytelników. W tym właśnie roku przypadła 350 rocznica założenia tej zasłużonej dla nauki i kultury Gdańska księżnicy. Na uroczystość otwarcia przybyło z całej Polski około 180 gości, a wśród nich znakomici bibliotekarze, Józef Grycz, Aleksander Birkenmajer, Marian Łodyński, Adam Łysakowski i Ryszard Przelaskowski.

Biblioteką Gdańską, od 1955 roku Biblioteką Gdańską Polskiej Akademii Nauk, kierował Marian Pelczar przez blisko 30 lat, do 1973 roku. W tym czasie Biblioteka Gdańska stała się cenionym warsztatem pracy dla licznych uczonych zajmujących się problematyką gdańską i pomorską oraz placówką naukową, inicjującą oraz wykonującą poważne zadania badawcze w zakresie bibliografii, bibliologii, dziejów kultury i nauki, edytorstwa źródeł oraz informacji naukowej. Jej znaczenie i ranga naukowa wybiegały nie tylko poza Gdańsk i Pomorze, ale także poza granice Polski.

Biblioteka Gdańska była największą miłością Mariana Pelczara i jej poświęcał najwięcej czasu, troski i uwagi. Nie zaniedbywał jednakże działalności naukowej, koncentrując teraz swe zainteresowania historią prawie wyłącznie na problematyce gdańskiej i pomorskiej. Już w 1947 roku opublikował monografię *Polski Gdańsk*, przedstawiając w niej dzieje tego miasta od czasów najdawniejszych aż po tragiczny Wrzesień 1939 roku. Spośród ponad setki prac naukowych i popularnonaukowych, opartych zawsze na samodzielnym i gruntownym studiach źródłowych prowadzonych w kraju i za granicą, na wyróżnienie zasługują m.in. *Nauka i kultura w Gdańsku* (w: *Gdańsk, jego dzieje i kultura*, Warszawa 1969), *Pieniądz gdański 1814—1939* (Gdańsk 1960), *Zarys dziejów Gdańskiego Towarzystwa Naukowego 1922—1971* (w: *Pięćdziesiąt lat Gdańskiego Towarzystwa Naukowego 1922—1972*, Gdańsk 1972), *Relacja niemieckiego oficera o walce na Westerplatte we wrześniu 1939 roku* (Warszawa 1974), *Książka polska obrońcą polskości w Wolnym Mieście Gdańsku* (w: *Książka polska w dawnym Gdańsku*, Gdańsk 1974) oraz piękny album *Gdańsk* (Warszawa 1958). Na uwagę zasługuje stała współpraca Mariana Pelczara z *Polskim słownikiem biograficznym* i *Słownikiem pracowników książki polskiej*, dzięki czemu na łamach tych publikacji znalazły się artykuły biograficzne o wszystkich ważniejszych osobistościach z terenu Gdańska i Pomorza. Prace historyczne Mariana Pelczara odznaczają się nie tylko wysokim poziomem naukowym, ale także głębokim umiłowaniem Gdańska i przywiązaniem do jego polskich tradycji.

Wiedzę o Gdańsku i Pomorzu szerzył też jako wykładowca historii na Politechnice Gdańskiej, w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie oraz w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku. Dzieje umiłowanego miasta popularyzował również poprzez wykłady na kursach dla przewodników Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Uczestnicząc w wielu międzynarodowych kongresach naukowych wygłaszał tam referaty na temat Biblioteki Gdańskiej



i jej zbiorów, Jana Heweliusza, wkładu Gdańska w naukę europejską XVI—XVIII wieku, prawa składu i pośrednictwa handlowego kupców gdańskich w XV—XVIII wieku oraz rozwoju nauk pomocniczych historii w Polsce. Za działalność naukową w zakresie historii Gdańska otrzymał nagrodę Polskiego Towarzystwa Historycznego, nagrodę naukową miasta Gdańska oraz nagrodę prezydenta miasta Gdańska.

Marian Pelczar zasłużył się także jako organizator życia naukowego w Gdańsku. Dzięki jego staraniom już w 1945 roku wznowiło swą działalność Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, którego został sekretarzem generalnym i funkcję tę sprawował do 1956 roku. On też przyczynił się do reaktywowania „Rocznika Gdańskiego” i został jego pierwszym po 1945 roku redaktorem naczelnym. Wiele cennych inicjatyw naukowych Towarzystwa, jak edycje źródeł i serii monograficznych z zakresu dziejów Gdańska, Pomorza i spraw morskich, organizowanie sesji i kongresów naukowych, jak prowadzenie akcji popularyzacji wiedzy o Gdańsku i Pomorzu, miało swój bezpośredni początek w działalności organizatorskiej Mariana Pelczara. Jego usilne starania doprowadziły do przekształcenia w 1956 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku w Gdańskie Towarzystwo Naukowe. W uznaniu zasług dla GTN został jego członkiem honorowym.

Dla dopełnienia obrazu należy chociażby wspomnieć o działalności Mariana Pelczara w Polskim Towarzystwie Historycznym, czy w Sekcji Społecznej Opieki nad Zabytkami Gdańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Szczególną troską darzył ocalałe zabytki Gdańska. Do ostatnich dni swego życia czynnie uczestniczył w pracach rad naukowych Biblioteki Gdańskiej, Instytutu Bałtyckiego i Muzeum Historii Miasta Gdańska, dzieląc się swym bogatym doświadczeniem oraz troszcząc się nieustannie o rozwój tych ważnych dla Gdańska instytucji.

Wszeczhronna i długoletnia działalność Mariana Pelczara zyskała wysokie uznanie społeczeństwa i władz. Oprócz licznych dyplomów honorowych i odznak otrzymał On m.in. Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Polonia Restituta, Krzyż Komandorski Orderu Polonia Restituta, Medal Komisji Edukacji Narodowej, odznaki „Za Zasługi dla Gdańska”, „Zasłużony Ziemi Gdańskiej”, „Za opiekę nad zabytkami”, „Zasłużony działacz kultury” i wiele innych.

Nazwiska kilku humanistów pomorskich

Edward Breza

W literaturze humanistycznej, w tym głównie językoznawczej, dobrze opisany został zwyczaj humanistów europejskich XVI i XVII w. do tłumaczenia swoich nazwisk rodowych na język grecki lub łaciński bądź też przekształcanie takich nazwisk w formy łacińskie za pomocą łacińskich przyrostków słowotwórczych.

Zająłem się ostatnio tym problemem na przykładzie humanistów pomorskich, wyzyskując w tym celu Historię Gdańską, t. II pod red. prof. E. Cieślaka (skrót Gd II), serię wydawniczą Gdańskiego Towarzystwa Naukowego pt. Pomorze Gdańskie (skrót Pom Gd), głównie t. 10 i inne publikacje, zawsze też sięgam do Polskiego słownika biograficznego (skrót PSB). W źródłach tych znalazłem ponad 20 nazwisk tłumaczonych na grekę lub łacinę, ok. 50 przekształconych na łacinę za pomocą łacińskich sufixów oraz kilka form dopełniaczowych typu *Pauli*, pochodzących od umownych form typu *Johannes filius Pauli* (Jan syn Pawła) z ominięciem określenia *filius* (syn) do nazwiska *Pauli*, pochodzącego od imienia ojca.

Dla ukazania procesu tłumaczenia opracowuję nazwiska *Artomiusz*, *Cureus*, *Pontanus*, procesy słowotwórczych przekształceń ukazuję na nazwiskach *Helweliusz*, *Hozjusz* i *Mrongowiusz*; bardziej złożone zabiegi widać w nazwiskach *Dantyszka* i *Fabriciusa*. Pełne opracowanie tych nazwisk zamierzam przedstawić w jednym z kolejnych tomów czasopisma *Onomastica*.

1) Piotr Artomiusz (1552—1609), kaznodzieja luteński i pisarz (S. Salmonowicz, Pom Gd XIV 21—25). Nazwisko to jest świadomym tłumaczeniem przezwiska ludowego, jakie nosił ojciec Piotra — Łukasz Krzesichleb, mistrz szewski z Grodziska pod Poznaniem, gdzie urodził się Piotr.

Nazwisko *Artomiusz*, które przeszło do historii, nawiązuje do polskiego członu *-chleb* dwuczłonowego przezwiska, który został przetłumaczony na greckie *artos* (chleb pszenney) w odróżnieniu od *maza* (chleb jęczmienny) i greckiego przymiotnika *tomios* (rznięty). W sumie dałoby to *Artotomios*, łac. *Artotomius*, z czego polskie *Artotomiusz*; jednak dwie te same sylaby *-toto* uprościły się wskutek haplogologii i dlatego forma *Artomiusz*. Z techniki tłumaczenia nazwiska widać, że autor rozumiał krzesanie jako cięcie i dlatego nawiązał do greckiego czasownika *temnō* (ciąć).

2) Achacy Cureus (1530—1594), poeta gdański z czasów Zygmunta Augusta (B. Nadolski, Pom Gd X 7—14), pisany też Curaeus (HGd 732—734 i in.). Trudno wywieść to nazwisko od łac. ap. *cura* (troska, opieka, staranie), albowiem łac. sufix *-eus* tworzy przymiotniki materiałowe typu *aureus* (złoty): *aurum* (złoto), *argenteus* (srebrny): *argentum* (srebro), *ligneus* (drewniany): *lignum* (drzewo) (GHJL 272). Trafniej zatem będzie wywieść to nazwisko z greckiego *kou-reus* (fryzjer), por. gr. *koureion*, (balwiernia) i

koura (strzyżenie włosów). Mamy prawo domyślać się, że rodzina przedtem nosiła odzawodowe nazwisko *Balwierz* czy *Balbierz* od ap. staropolskiego *balwierz*, *barbierz* czy *barwierz* (fryzjer, cyrulik). Dodajmy tylko, że nazwisko *Balbierz* czy *Balwierz* jest często notowane w źródłach pomorskich, por. np. *Onomastica* XXIV, 1979, s. 144, a *Cureus* pochodził z Malborka.

3) Jan Dantyszek (1485—1548), dyplomata, poeta i biskup warmiński (Z. Nowak, Pom Gd X 15—20 i W. Odynieć. Pomorscy patroni ulic Trójmiasta, *Ossolineum* 197, s. 64—67).

Rodzina Dantyszka wywodziła się z północnych Niemiec i pisała się *von Höfen*. W XIV w. przeniosła się na Warmię, skąd następnie do Gdańska. Dziadek Jana był powroźnikiem i od wykonywanego zawodu nazwał się (czy raczej przezwano go) *Flachsbinder*. Wnuk Jan (późniejszy biskup warmiński) zdobywszy humanistyczne wykształcenie i sławę podpisywał się *Joannes Dantiscus de Curiis* lub *Linodesmon*. Z formy *Dantiscus* powstała spolonizowana forma nazwiska Dantyszek, pod którą jest znany. Spróbujmy wszystkie te formy nazwiska objaśnić.

Rodowe nazwisko *von Höfen* lub *von Hofen* pochodzi od niem. rzeczownika *Hof* (dwór). Tu mamy formę celownika l. mnogiej 'z dworów'. Tak ją rozumiał Dantyszek, pisząc się później *de Curiis*, tzn. również 'z dworów', a więc w miejscowniku l. mnogiej rzeczownika łac. *curia* znaczącego m.in. dwór. Nazwisko dziadka zgrecyzował, tzn. przełożył na język grecki zwyczajem humanistów europejskich, albowiem greckie *linon*, oznacza nie tylko 'len', ale przede wszystkim 'sznur lniany, powróż' a czasownik *desmeuō* lub *desmeō*, 'wiązać', czyli w całości *Linodesmon* oznacza wiążący powrozy, czyli powroźnik z greckiego imiesłowu czasu teraźniejszego strony czynnej *desmōn*, (dopełniacz) *desmontos*. Jest to dokładny przekład niemieckiej formy *Flachsbinder* od rzeczownika *Flachs* (len, powróż lniany) + *Binder* (ten, co wiąże, niby wiążacz, czyli powroźnik).

Nazwisko przyjęte przez Jana — *Dantiscus* pochodzi oczywiście od n.m. *Gdańsk*, czyli po polsku niby *Gdański*. Nie spotyka się nazwiska *Gdański*, znane natomiast na Pomorzu nazwisko *Gdaniec*, o którym za chwilę. *Dantiscus* jest zlatynizowaną formą nazwy *Gdańsk*, po łacinie m.in. *Dantiscum* [z domyślnym *castrum* (gród) czy *oppidum* (miasto)]. Jest to przymiotnik od niemieckiej postaci *Dantzic* utworzony za pomocą przyrostka *-iscus*. Przymiotnik czy w ogóle nazwy łacińskie od niemieckich form nazw polskich były zjawiskiem bardzo częstym, por. np. *Civitas Elbingensis* (Elbląg) od niem. *Elbing*, *Civitas Licensis* (Elk) od niem. *Lyck*, *Civitas Osterrodensis* (Ostróda) od niem. *Osterröde* itd. Analogiczną strukturą do *Dantiscus* jest imię *Franciscus* (Franciszek) od germańskiego *Frank*. Spolszczenie *Dantiscus* na *Dantyszek* również dokonało się według istniejącego już w polszczyźnie imienia *Franciszek* (Słownik staropolskich nazw osobowych pod red. prof. W. Taszyckiego t. II

s. 53 notuje postać polską *Franciszek* z połowy XV w.) i ewentualnie wyrazu pospolitego *obeliszek* (obelisk) (notowanego przez Słownik Lindego).

Wracając do nazwiska *Gdaniec*, powiedzieć trzeba, że zostało ono utworzone od nazwy *Gdańsk* (tematu *Gdan-*, a więc z odrzuceniem przyrostka *-sk*) za pomocą rzadkiego w nazwach mieszkańców formantu *-ec*. Linde notuje takie formy: *Czarnomorzec, Krymiec, Niemiec, Połowiec, rohatyniec* (mieszkaniec Rohatyna), *Ukrainiec, Wołyniec, Zaodrzaniec*. Dodam jeszcze, że nazwisko *Gdaniec* hitlerowcy germanizowali na *Danziger* jak *Szlązak* na *Schlesiger* (oba przykłady wzięte z nagrobków Cmentarza Komunalnego w Sopocie i ksiąg par. Gwiazda Morza w Sopocie).

Tak więc Jan Dantyszek nazwisko po przodkach *von Höfen* zlatynizował na *de Curiis*, a nazwisko po dziadku *Flachsbinder* zgrecyzował na *Linodesmon*, sam zaś nazwał się od *Gdańska Dantiscus* co spolszczono na *Dantyszek*.

4) Jakub Fabricius (1551—1629), pierwszy rektor (w latach 1580—1629) Gdańskiego Gimnazjum Akademickiego (L. Mokrzecki, Pom. Gd X 21—25). Pochodził z patrycjuszowskiej rodziny gdańskiej o nazwisku *Schmidt*. Ojciec jego, Arnold Schmidt był rajcą, matka Katarzyna Kösler również córką rajcy. Nazwisko zmienił w czasie studiów zagranicznych według mody humanistycznej na *Fabricius*.

Nazwisko *Schmidt* jest oczywiście niemieckie i pochodzi od wyrazu pospolitego *Schmied* (kował). Nazwiska odzawodowe to powszechne zjawisko u różnych narodów. Na Pomorzu często mamy problem, czy odnośnie nazwisko obce, np. *Böttcher, Betkier* czy podobnie pisane pochodzi od niem. rzeczownika *Böttcher*, (bednarz), czy jest tłumaczeniem polskiego nazwiska *Bednarz*. Rozstrzygnąć to mogą tylko ciągle przekazy źródłowe.

Zmienione, tzn. zlatynizowane nazwisko *Fabricius* nie jest prostym tłumaczeniem formy niemieckiej, bo w takim wypadku winno ono brzmieć *Faber* od łac. rzeczownika *faber* (rzemieślnik, zwłaszcza kowal lub cieśla). Por. nazwiska Andrzeja *Aurifabera* (w. XVI), gdańskiego działacza pedagogicznego i reformacyjnego, autora prac o bursztynie, który zawdzięcza swoje nazwisko późnolac. wyrazowi *aurifaber* (złotnik). Od rzeczownika *faber* czy w danym wypadku nazwiska *Faber*, powstałego przez tłumaczenie niem. nazwiska *Schmidt*, utworzono formę pochodną, patronimiczną wskazującą na syna względem nazwiska ojca *Faber* za pomocą łacińskiego przyrostka *-icius*, mającego w tym wypadku funkcję patronimiczną. Przyrostek ten w łacinie klasycznej tworzył m.in. przymiotniki od nazw zawodowych, od urzędów i dostojenstw, np. *patricius* (stąd nasz patrycjusz) od *pater* (ojciec, senator), *tribunicus* od *tribunus*, *praetorius* od *praetor* itd. (Por. J. Otrębski i J. Safarewicz, Gramatyka historyczna języka łacińskiego, Warszawa 1937, s. 262). Dlatego też nazwisko *Fabricius*.

5) Jan Heweliusz (1611—1687), wybitny astronom, obserwator i twórca nowożytniej selenografii, czyli opisu Księżyca. Pochodził z gdańskiej rodziny *Hewelke*, pisanej też *Höwelke* bądź *Höwelcke*. Ojciec był zamożnym kupcem i piwowarem. Uczeń znali go już tylko pod łacińskim nazwiskiem *Hevelius* (E. Rybka, Polski słownik biograficzny IX 492, dalej skrót PSB).

Wyjaśnijmy najpierw, że niem. nazwisko *Hewelke* zostało utworzone za pomocą dolnoniemieckiego przyrostka *-ke* od nazwiska *Hewel*. Nazwisko takie nosili np. Jerzy *Hewel* (zmarły w r. 1640), kupiec gdański i organizator floty wojennej za Władysława IV (zob. W. Czapliński, BSB IX 491—492) i Mikołaj *Hewel*, żyjący w drugiej połowie XVI w., zarządca mennicy olkuskiej, rodem z Gdańska (por. M. Gumowski, BSB IX 492). Nadto nazwisko *Hewel* lub *Hewelt* bądź też *Hebel* znane jest z północnych Kaszub. (Forma *He-welt* pochodzi od pierwotnej *Hewelke*, ta zaś utworzona została od *Hewel* za pomocą przyrostka *-ek*).

Nazwisko *Hewel* to forma zdrobniała niemieckiego imienia *Hadupert*, pochodzącego od staro-wysoko-niem. wyrazu *hadu* (walka) (por. M. Gottschald, Deutsche Namenkunde, Berlin 1954, s. 308). Nazwisko rodowe *Hewelke* astronom zlatynizował w ten sposób, że odrzucił sufix *-ke*, a do podstawy *Hewel* dodał

łaciński przyrostek *-ius*. Dzisiejsza forma nazwiska *Heweliusz* to oczywiście spolszczona postać łacińskiego *Hevelius*, jak *Vergilius* — *Wergiliusz*, *Ovidius* — *Owidiusz*, czy wyrazy pospolite *arkusz* z łac. *arcus*, *animus* z łac. *animus*.

6) Stanisław Hozjusz (1504—1579), biskup warmiński, kardynał i pisarz kontrreformacyjny, założyciel kolegium jezuickiego w Braniewie. Ojciec Ulryk *Hose*, pochodzący z Pforzheim w Badenii, przybył do Krakowa. Tu urodził się syn Stanisław, który po uzyskaniu humanistycznego wykształcenia zmienił nazwisko na *Hosius*, z czegośmy zrobili *Hozjusz* (zob. Wstęp prof. W. Odyńca do S. Hozjusza, Poezje, Olsztyn 1980, s. VI).

Nazwisko *Hose* wywieść można tylko od niemieckiego rzeczownika *Hose* (spodnie). Nazwisko takie nie może dziwić, kiedy się zważy na okoliczność, że nazwiska od odzieży są dość częstym zjawiskiem, np. polskie *Czapa, Kuta*, góralskie *Gunią*, tu też należy ogólnopolskie nazwisko *Buksiński*, które wywieść możemy od współczesnego kaszubskiego wyrazu *bukusy* (spodnie), znanego niegdyś na szerszym obszarze Polski (używał m.in. Kitowicz). Jest też w pow. przasnyskim wieś zwana dziś *Bugzy*, ale historycznie *Buksy* od nazwy osobowej *Buks*, do której por. kasz. *buksa* (niegrzeczny chłopiec). Nazwisko *Hose* zostało zlatynizowane przez Stanisława w znany nam sposób za pomocą łacińskiego przyrostka *-ius*, a potem spolszczone na *Hozjusz*.

6) Krzysztof Celestyn Mrongowiusz (1764—1855), pastor i nauczyciel języka polskiego w Gdańskim Gimnazjum Akademickim, wybitny leksykograf i gramatyk, autor słownika niemiecko-polskiego, wydany w r. 1823, w którym zamieścił ok. 200 słów kaszubskich, przez co zwrócił uwagę uczonych sławistów na kaszubszczyznę. Urodził się w Olsztynku w b. pow. ostródzkim, pochodził ze starej mazurskiej rodziny chłopskiej Mrągów. Ojciec przyszłego leksykografa, również pastor zlatynizował rodzinne nazwisko na *Mrongovius*, przyjął tę postać wielki syn (zob. W. Bieńkowski, PSB XXII, s. 190).

Nazwisko *Mrąga* najłatwiej wywieść od rzeczownika *mrąga* lub *morąga* (prega, pas) Sychta t. III 107, 124. Wyraz *mrąga* moim zdaniem powstał od *prega* drogą dość nietypowych i rzadkich wymian spółgłosek p do m, np. *makowiczka* : *pakowiczka* (biedronka) Sychta III 38, ogólnopolskie *pęcherz* i kasz. *męchorz(yna)*, kasz. *pųjkać* : *mųjkać* (głaskać, pieścić) Syn III 136, IV 218—219. Więcej przykładów na tę wymianę podaje w artykule poświęconym nazwisku *Murglin* (Poradnik Językowy, r. 1981, nr 2—3, s. 108).

7) Michał Pontanus (ur. w r. 1583 w Słupsku), pierwszy pastor w Smołdzinie w b. pow. słupskim. Rodowe nazwisko jego to *Brückmann* od niem. *Brücke* (most) i *Mann* (mężczyzna, człowiek). Przełożył je na łacinę, pisząc się *Pontanus* od łacińskiego przymiotnika *pontanus*, pochodzącego od rzeczownika *pons*, *pontis* (most) i znanego już łacinie klasycznej, podobnie jak przymiotniki *fontanus* od *fons*, *fontis* (źródło) i nazwisko Baltazar *Fontanus* (w. XVI—XVII), księgarz i nauczyciel w Gdańsku i *montanus* od *mons*, *montis* (góra) i kapłan *Montanus* z Frygii w II w., twórca herezji antytrynitarskiej zwanej montanizmem oraz Elizeusz *Aurimontanus* (w. XVI—XVII), gdański sekretarz miejski. Łacińską formę *Pontanus* przyjęto w świecie sławistycznym jako *Mostnik* przez tłumaczenie na język polski.

Tak można by ciągnąć przykłady dalej, lecz skończmy. Chodziło mi bowiem jedynie o pokazanie sposobu, w jaki dokonywano łatinizacji i wcale częstej greycyzacji nazwisk na wybranych przykładach, w tym osób i nazwisk możliwie bardzo znanych. Powiedzmy tylko na koniec, że celem tych zabiegów była nie tylko ogólnoeuropejska moda, ale także chęć uzyskania swoistej nobilitacji przez nazwisko oderwane od cudzoziemskiego bądź miejskiego czy chłopskiego pochodzenia. Zabiegów tych dokonywali przede wszystkim obokrajowcy przybyli do Polski oraz mieszczaństwo i chłopcy, jeśli udało im się zdobyć wykształcenie. Przez antyczne nazwisko wchodziło się do sfery ludzi wykształconych, niejako do klasy zwanej *homines litterati*.

Wpłaty na „Fundusz Pomeranii”

Maria Dolna, Gdynia, 200 zł; Józef Talaśka, Gdynia, 4840 zł; Alojzy Prabucki, Starogard Gd., 200 zł; Marian Jeliński, Swarzędz, 200 zł; Irena Szyca, Gdańsk, 140 zł; Zygmunt Milczewski, Wejherowo, 140 zł; Leon Grzywacz, Reda, 680 zł; Franciszek Ptach, Rumia, 200 zł; Brygida Balerstet, Kartuzy, 200 zł; Mieczysław Rożek, Mirachowo, 200 zł; Tadeusz Kreft, Kartuzy, 80 zł; Tadeusz Falkowski, Miłobądz, 200 zł; Danuta Pioch, Miechucino, 200 zł; Barbara Dunejska, Żukowo, 200 zł; Henryk Zielen, Gdańsk, 140 zł; Alfons Meyer, Puck, 40 zł; Wacław Pryczkowski, Skarlin, 290 zł; Zenon Nowakowski, Sierakowice, 140 zł; Jan Lichosyt, Miechucino, 340 zł; Janina Zelewska, Żukowo, 140 zł; Ambroży Greinke, Kościerzyna, 200 zł; Józef Jagielski, Sopot, 200 zł; Anna Łajming, Słupsk, 2100 zł; Eugeniusz Filipiak, Pelplin, 200 zł; Zygmunt Ortman, Chojnice, 200 zł; Helena Bryńska-Wenta, Pelplin, 640 zł; Grzegorz Miloch, Człuchów, 40 zł; Walburga Gdaniec, Gdańsk, 140 zł; Zbigniew Strahl, Kartuzy, 200 zł; Antoni Kryzel, Jawory, 200 zł; Alfons Pryczkowski, Kartuzy, 140 zł; Stefania Puzdrowska, Kartuzy,

90 zł; Halina Szumocka, Sarnowy, 200 zł; Joanna Wasiakowa, Mysio-
wice, 70 zł; Urszula Lejkowska, Gdańsk, 200 zł; Grażyna Tybuś, Zblewo, 180 zł; Janusz Jędrzyk, Lębork, 200 zł; Tadeusz Bądkowski, Słupsk, 200 zł; Elżbieta Rudnik, Chojnice, 100 zł; Marek Arpad Kowalski, Warszawa, 400 zł; Bernard Igniera, Pinczyn, 200 zł; Zygmunt Piechowski, Starogard Gd., 340 zł; Feliks Borzyszkowski, Czersk, 140 zł; Franciszek Muchowski, Chojnice, 200 zł; Małgorzata Dąbrowska, Warszawa, 200 zł; Bogdan Warczak, Tczew, 200 zł; Bazyli Olecki, Linia, 240 zł; Janina Narloch, Karsin, 140 zł; F. Leyk, Stare Polaszki, 80 zł; Alojzy Dambek, Żukowo, 400 zł; Bronisław Szymichowski, Pomieczyno, 200 zł; Krystyna Kwiatkowska, Gdańsk, 140 zł; Leon Staśkiewicz, Gdynia, 200 zł; Tadeusz Lorek, Wiele, 200 zł; Jak Szwaba, Przodkowo, 200 zł; Władysław Szulist, Mściszewice, 200 zł; Henryk Łukowicz, Gdynia, 200 zł; Alfons Jereczek, Gdynia, 200 zł; Roman Koliński, Gdynia, 240 zł; Mirosław Charamsa, Gdynia, 200 zł; Janusz Gilek, Gdynia, 140 zł; Helena Wyrowińska, Brusy, 400

zł; Andrzej Gołuński, Brusy, 340 zł; Józef Trzebiatowski, Leśno, 200 zł; Zofia Warnke, Orlik, 340 zł; Jan Hoffmann, Puck, 200 zł; Władysław Knosała, Olsztyn, 90 zł; Gertruda Makurat, Wejherowo, 340 zł; Antoni Konkel, Jastarnia, 200 zł; Brunon Sychowski, Rumia, 340 zł; Ewa Potrykus, Kartuzy, 90 zł; Henryk Witosławski, Gdańsk, 200 zł; Rajmund Żurek, Sopot, 540 zł; Maria Paszczuk, Wrocław, 400 zł; Bożena Hanisz, Warszawa, 80 zł; Anna Orłowska, Leśno, 100 zł; Eryka Niepokoyczycka, Besia, 1000 zł; Bronisław Miotke, Karczemki, 200 zł; Andrzej Sliwiński, Pelplin, 200 zł; Stanisław Kowalewski, Kartuzy, 40 zł; Marian Fryda, Bukowo, 625 zł; Roman Skwiercz, Straszyn, 200 zł; Marceli Trzebiatowski, Chojnice, 200 zł; Antoni Stoltmann, Leśno, 200 zł; Eugeniusz Walkusz, Dobrzewino, 90 zł; Henryk Skoro-
wski, Łąd, 3840 zł; Maria Czaja, Sierakowice, 200 zł; Wacław Trzebiatowski, Świerczyna, 140 zł.

Przypominamy, że na Fundusz „Pomeranii” można wpłacać na konto PKO Gdańsk nr 19510-5890-132. Wszystkim serdecznie dziękujemy.

W SZEMUDZIE SPRAWY ORGANIZACYJNE

28 maja w Szemudzie odbyło się kolejne zebranie Zarządu Głównego. Głównym tematem obrad była praca Zrzeszenia wśród młodzieży i poczynania instytucji (szczególnie szkoły) w zakresie przekazywania młodzieży wiedzy o regionie. Wystąpienia referentów i dyskusję omówimy oddzielnie.

Część druga plenarnego zebrania poświęcona była sprawom organizacyjnym. Ustalono m.in. wiele spraw związanych z Walnym Zjazdem Oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, który ma się odbyć 3 grudnia br. w Gdańsku.

Powołano trzy nowe Oddziały ZK-P: w Jastarni, Dziemianach i w Jasieniu, którego terenem działania będzie obszar gminy Czarna Dąbrówka w woj. słupskim.

Uroczystości związane z 300-leciem odsieczy wiedeńskiej w Brzeźnie Szlacheckim odbędą się 18 września. Władze Zrzeszenia proszą wszystkich mieszkańców Pomorza o udział w tej uroczystości. Apel ten skierowano także do wszystkich grup artystycznych, zespołów, chó-
rów, orkiestr. Uczymy wszystko by spotkać się w Brzeźnie Szlacheckim.

Dotychczasowym Spotkaniom Twórców Literatury Kaszubsko-Pomorskiej, które na ogół odbywały się we Wdzydżach, postanowiono nadać nazwę Kaszubsko-Pomorskie Spotkania Wdzydzkie. Zmiana ta podyktowana jest zaistniałym już

poszerzeniem tematyki obrad i kręgu uczestników. W br., gdy spotkania poświęcone będą postawom współczesnej inteligencji kaszubskiej, krąg uczestników poszerzy się o socjologów, pedagogów i znawców różnych dyscyplin naukowych.

W związku z 20-leciem „Pomeranii” K. Puzdrowska, W. Kiedrowski i S. Janke otrzymali od Prezydium ZG uroczyste adresy. (w.j.)

W RUMI HAFT I RUCH OPORU

19 kwietnia Oddział ZK-P w Rumi zorganizował spotkanie z Konradem Ciechanowskim. Tematem spotkania była geneza ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim. W spotkaniu oprócz członków oddziału uczestniczyła młodzież miejscowego LO.

W dniach 29.04. i 9.05 w MDK w Rumi oddział zorganizował wystawę haftu kaszubskiego. Prace prezento-

wała Anna Kromska. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem. (B.L.)

W JASIENIU

17 marca br. odbyło się zebranie założycielskie oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Jasieniu k/Bytowa. W zebraniu uczestniczyło 20 osób, które zadeklarowały przynależność do ZK-P. Wybrano zarząd: Teofil Leszk (prezes), Stefania Piotka (wiceprezes), Stanisław Sobisz (sekretarz), Bernard Masowa (skarbnik) i Władysław Sobisz, Gerard Labuda, Bronisław Stolec.

W Jasieniu istnieje od wielu lat zespół pieśni i tańca. Większość członków tego zespołu wstąpiła do Zrzeszenia.

W zebraniu uczestniczył sekretarz Zarządu Głównego Tadeusz Gliernert. (tg).

Z ŻYCIA ZRZESZENIA

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NR 5(681) CENA 35 ZŁ



3⁽⁷⁵⁾

POMERANIA

ROK XVI

MARZEC 1983

Przez dłuższy czas grupa studentów III roku gdańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych pracowała, w ramach zajęć w Katedrze Grafiki. Użytkowej, pod kierunkiem artystów-plastyków Jerzego Krechowicza i Marka Brzozowskiego, nad nową szatą graficzną dla naszego pisma. Zespół redakcyjny wybrał projekt Sławomira Wojtasia. Od dziś winieta „Pomeranii” i znaki graficzne naszych stałych rubryk są jego autorstwa. Czynić będziemy starania by łamanie kolumn, dobór czcionek tytułów poszczególnych artykułów i inne sprawy, które tworzą szatę graficzną pisma miały jak najwięcej elementów z przyjętej pracy. Ze względów technicznych — niestety — nie możemy w całej pełni zastosować się do przedstawionych rozwiązań młodych plastyków.

Czytelnikom przedstawiamy także kilka winiet zaprojektowanych przez studentów: Ryszarda Palucha, Bogdana Bartkowskiego i Waldemara Marszałka.

Studentom i ich opiekunom serdecznie dziękujemy. Nasza współpraca zapewne będzie kontynuowana.

Dodajmy, że dotychczasowa winieta „Pomeranii” (którą stosowaliśmy od roku 1975, kiedy z powielania pismo przeszło na druk) była autorstwa art. plastyka Ryszarda Stryja. Ostatnio stosowane znaki graficzne rubryk wewnętrznych wykonał kol. Jerzy Samp, a graficzne rozwiązanie całości było w obowiązkach redaktora naczelnego.

(w.j.)



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

12 1983

POMERANIA



Uznaliśmy, że raz na dwadzieścia lat wolno nam zamieścić zdjęcie zespołu redakcyjnego „Pomeranii”: (od lewej) — Zbigniew Gach, Edmund Szczesiak, Nina Rasz, Krystyna Puzdrowska i Wojciech Kiedrowski. Brak Stanisława Janke, który od ponad pół roku (lecząc skomplikowane złamanie nogi) niemal nie opuszcza swego Wejherowa, brak także członków Kolegium oraz wielu, wielu autorów... współtwórców pisma — jak mawiamy — społeczności zrzeszonej. Zdjęcie dolne przedstawia uczestników spotkania z redakcją (w tym kilku naszych współpracowników). Fot. Leonard Szmaglik

OPINIE O „POMERANII”

Od pewnego czasu zebrania Oddziału Gdańskiego ZK-P stanowią forum interesującej wymiany poglądów na tematy kaszubsko-pomorskie i szerzej — ruchu regionalnego w ogóle. Kwietniowe było poświęcone „Pomeranii”. Przypomniano na wstępie, że minęło właśnie 20 lat od ukazania się pierwszego numeru pisma. W tym okresie przeszło ono znaczącą ewolucję: od powielanego, ukazującego się 4 razy w roku (i to nie zawsze) biuletynu, poprzez dwumiesięcznik, do obecnej postaci drukowanego i dostępnego w kioskach 3 województw (gdańskiego, bydgoskiego i

ślupskiego) miesięcznika. Z okazji jubileuszu zespołowi redakcyjnemu złożył życzenia prezes oddziału dr hab. Józef Borzyszkowski.

Rocznicowy akcent nie przesłonił podstawowego celu spotkania, jakim była dyskusja nad kształtem, profilem i treścią „Pomeranii”. Zgłoszono wiele uwag i propozycji.

W sytuację pisma, problemy, z którymi się boryka wprowadził zebranych redaktor naczelny Wojciech Kiedrowski. Omówił m.in. trudności finansowe, związane z poważnym wzrostem kosztów papieru i druku. Redakcja nie zdecydowała się na znaczne podwyższenie ceny miesięcznika, jak to uczyniono w przypadku innych perio-

dyków, mając na uwadze możliwości finansowe wielu stałych czytelników, zwłaszcza całej rzeszy prenumeratorów. Pomocy udzielił pismu Oddział Gdański ZK-P, wsparli je też czytelnicy wpłatami na fundusz „Pomeranii”. Trudności złagodziłoby zwiększenie nakładu, który obecnie wynosi 4 tysiące egzemplarzy. Czyni się starania o uzyskanie zgody na druk 10 tysięcy egz.

Nawiązując do tego wątku dr Janusz Kowalski stwierdził, że wszystkie pisma tego typu są deficytowe. W związku z tym należałoby pomyśleć o rozszerzeniu działalności wydawniczej, wzbogaceniu jej o pozycję wysokonakładowe, tak jak to czynią inni.



„Pomerania” — mówiono w dyskusji — jest obecnie jedynym pismem regionalnym społeczności kaszubsko-pomorskiej. Stąd ma do spełnienia różnorodne funkcje, musi zaspokajać zróżnicowane potrzeby czytelników. Czy „Pomeranii” udaje się godzić różnorakie oczekiwania odbiorców? Większość dyskutantów była zdania, że tak, że jest pismem zarówno dla szerokiego odbiorcy, jak i dla tych, którzy „biorą najchętniej do ręki pisma naukowe, poważne”. Postulowano wręcz, żeby „Pomerania” pozostała taka, jaką jest. „Od strony formy i konstrukcji nie trzeba zmian” (Janusz Kowalski). „Podoba mi się ten profil. Pismo jest dostępne dla szerszego czytelnika. Słyszysz się wypowiedzi, że traci myśkę, ale to, moim zdaniem, jeden z uroków „Pomeranii” (doc. Jerzy Szukalski). Ktoś inny dodał, że „Pomerania” ma w sobie coś tajemniczego...

Były jednak także głosy, że jest pismem zbyt elitarnym. Powinna w większym stopniu zawierać takie treści, które zainteresowałyby osoby o nikłej wiedzy na temat regionu, sprzyjałyby lepszemu poznaniu Kaszub. Potrzebne są zatem publikacje bardziej popularne, nie należy też bać się powtarzania pewnych tematów — właśnie z myślą o czytelniku mniej wyrobionym. A poziom wiedzy o regionie — mówiono — jest w wielu środowiskach niski.

J. Borzyszkowski zwrócił uwagę na zbyt małą ilość publikacji poświęconych innym regionom Pomorza. Tytuł pisma zobowiązuje. Kaszuby są najbardziej odrębnym i wyrazistym regionem, ale to nie powinno powodować zamykania się w obrębie tylko tej krainy.

Mówiąc o specyfice „Pomeranii” podkreślano, że jest jedynym pismem, drukującym teksty pisane po kaszubsku. Zdaniem jednych jest ich za mało, zdaniem innych zbyt duża ich ilość mogłaby zniechęcić czytelników nie znających dialektu. (J. Kowalski przypomniał, że swego czasu teksty kaszubskie ukazywały się regularnie w wydaniu terenowym „Dziennika Bałtyckiego”). Jego zdaniem powinno się znaleźć miejsce dla kaszubszczyzny w gazetach codziennych).

Kilku dyskutantów uważało, że należy więcej miejsca poświęcać współczesności, że powinno się m.in. „głębiej wejść w wieś kaszubską”, nie rezygnując jednocześnie z publikacji historycznych, a zwłaszcza wspomnień, chętnie — jak twierdzono czytanych. Wśród bardziej szczegółowych propozycji znalazły się takie, jak poświęcenie większej uwagi ochronie środowiska i w ogólnej tematyce przyrodniczej, a także krajoznawczej. Postulowano również wydawanie — jak to miało miejsce w przeszłości — dodatków literackich.

Uwagi, propozycje postaramy się uwzględnić przygotowując kolejne numery „Pomeranii”. Zachęcamy jednocześnie wszystkich naszych czytelników do wyrażania opinii o piśmie. (Sz)

STOLEMY 82

4 maja w Sali Mieszczańskiej Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku wręczono uroczyste medale „Stolema”. Zaszczególne wyróżnienia — jak już informowaliśmy — klub „Pomerania” przyznał za rok ubiegły:

Edwardowi Brezie i Jerzemu Trederowi — językoznawcom z Uniwersytetu Gdańskiego, za całokształt osiągnięć w badaniu kaszubszczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem wydanej ostatnio „Gramatyki kaszubskiej” i opracowanie słownika kaszubsko-polskiego i polsko-kaszubskiego Aleksandra Labudy;

Janowi Drzeżdżonowi — pisarzowi i badaczowi literatury kaszubskiej, pracownikowi Uniwersytetu Gdańskiego, za całokształt twórczości literackiej i naukowej, w tym za przygotowanie do druku utworów kaszubskich Alojzego Budzisa i przekład ich na język polski;

Friedhelmowi Hinzemu — językoznawcy z NRD, za prace badawcze nad dialektem kaszubskim, a zwłaszcza kontynuowanie słownika F. Lorentza.

Obecnych na uroczystości laureatów (nie przybył jedynie Friedhelm Hinze) i gości powitał prezes „Pomeranii” Kazimierz Kleina. Przypomniał, że nazwa medalu nawiązuje do legendarnych olbrzymów, których ongiś można było podobno spotkać na Kaszubach. Motyw stolemów wykorzystywali często pisarze kaszubszy dla zobrazowania dawnej potęgi Kaszub. Klub studentów „Pomeranii”, działający przy Zarządzie Głównym ZK-P, nawiązał do tego symbolu i od 1967 roku przyznaje medale „Stolema” osobom, które w szczególny sposób przyczyniają się do pomnożenia dorobku Kaszub i Pomorza lub jego spopularyzowania.

Po odczytaniu przez Elżbietę Szejkę protokołu z posiedzenia członków klubu, na którym przyznano medale, zaprezentowano sylwetki i dorobek laureatów. Friedhelma Hinzego przedstawiła Barbara Marcinkowska (biogram przygotował K. Kleina), Edwarda Brezę i Jerzego Tredera — Wiesława Nieściura, natomiast Jana Drzeżdżona — Wojciech Klimczyk. Trzeba z satysfakcją podkreślić, że członkowie „Pomeranii” wywiązały się z tego znakomicie, zaprezentowali drogi życiowe i osiągnięcia laureatów w sposób nader interesujący i kompetentny.

Nastąpił najważniejszy moment uroczystości — wręczenie medali, po czym zgodnie z tradycją gratulacje wyróżnionym przekazał ubiegłoroczny laureat Feliks Marszałkowski, witając nowych Stolemców w gronie liczącym już kilkadziesiąt osób. Powiedział m.in.:

„Dziesišni szanowni Laureace są póstapnikama naj tczewórtnich przédników, co póznele wórtnota, znaczeni żewi naj mówe i temu fenomenowi swój niejedyn dokóz ofiarowele. Co czédes w Europie

beło czesto nieznani — kaszebizna — dzis je poznani i uczonim polscim jak i zagranicznim. Dżel w tim dziejanim mają i dziseszni „Stolemi”. Nim Laureatom skłódom żeczbe dobrigo wżátku w dziejanim swoji specjalizacji nõukowi i leteraczi, a społecznosce kaszebszi żeczba doždani uznanigo i wesprzeni, co mają w se nõlepszigó — bene i buten”.

Odczytano także gratulacje, które nadesłał z Mińska laureat z 1976 roku Aleś Trojanowski, autor antologii poezji kaszubskiej w języku białoruskim.

Następnie gratulacje złożyli: w imieniu Zarządu Głównego ZK-P prezes Izabella Trojanowska, Odziału Gdańskiego — wiceprezes Szczepan Lewna, (który wręczył jednocześnie medale wybite z okazji rocznicy układu w Kepnie), redakcji „Pomeranii” — redaktor naczelny Wojciech Kiedrowski.

W imieniu Stolemców za wyróżnienie podziękował doc. dr hab. Edward Breza. Wyraził wdzięczność młodzieży skupionej w klubie „Pomerania”, że w tym roku tak hojnie spojrziała na Instytut Filologii Polskiej UG (trzej spośród czterech laureatów to pracownicy naukowcy tego instytutu), że dostrzegła prowadzoną tam działalność badawczą na rzecz pogłębienia wiedzy o regionie. Laureaci traktują wyróżnienie przede wszystkim jako zachętę do kontynuowania swoich zainteresowań kaszubszczyzną. „Ile sił starczy — zapewnił — będziemy pracowali”. Wyraził też radość, że istnieje i rozwija się ruch regionalny, kaszubska społeczność zrzeszona, że — mimo towarzyszącej tej działalności zawiści i nawet oszczerstwom — kultywuje tradycje „małej ojczyzny”. Przywiązanie do stron rodzinnych, szacunek dla wartości z nimi związanych powinny być ważne dla każdego Polaka.

Uroczystość uświetnił występ Akademickiego Chóru Uniwersytetu Gdańskiego. (Sz)

DR FRIEDHELM HINZE ODEBRAŁ MEDAL STOLEMA

Dr F. Hinze — jeden z czterech tegorocznych laureatów Medalu Stolema, nie mógł, niestety, z przyczyn obiektywnych przybyć na uroczystość wręczenia honorowego medalu, która odbyła się 4 maja br.

Dzięki usilnym staraniom przyjechał jednak do Gdańska 17 maja. Zarząd Klubu „Pomerania”, w porozumieniu z dyrektorem Zakładu Języka Polskiego UG — prof. Kreją, zorganizował 18 maja w gmachu Wydziału Humanistycznego UG uroczyste wręczenie nagrody w połączeniu z wygłoszeniem referatu naukowego przez naszego gościa. Laureata oraz przybyłych gości serdecznie powitał prezes klubu „Pomerania” — K. Kleina. Następnie Barbara Marcinkowska przedstawiła życie i dorobek naukowy F. Hinzego.

Dr F. Hinze — znakomity badacz

kaszubszczyzny, wielki przyjaciel Kaszubów oraz miłośnik naszej ziemi odebrał Medal Stolema z życzeniami dalszej twórczej pracy z rąk prezesa klubu — Kazimierza Klejny oraz wiceprezesa Elżbiety Szeffki. Gratulacje Laureatowi złożyli także: prezes Zarządu Głównego — I. Trojanowska oraz prezes Oddziału Gdańskiego J. Borzyszkowski, który wręczył również medal upamiętniający 700-lecie zapisu Mestwina.

Bohater uroczystości podziękował za wyróżnienie w pięknej kaszubszczyźnie. Podziwialiśmy biegłość oraz swobodę, z jaką mówił po kaszubsku:

„Drodzi zrzeszińce!
Drodzi stolemówce!
Tczewórtni gosce!

Je mie to baro wielgô era bëc wstrzód waju. Cziż jô słéchôł, że jem w karnie stolemówców tesac dzewińset wosemdzesat drédzégò roku, jô wuredowôł sę wod całégò serca. Wodbiérając Stolemã z waju rąk, wórtni klubie studentów-zrzeszińców, jem sobie swiadóm tewo, że wodbiéróm Stolemã nie sam jeden, ale téż, a to przede wszétczim za swiaté pamiące dra Friedricha Lorentza, chtëren tak wiele dlô kaszëbizne wucziniël. Je wodznaczenié to tim wikszé, że nie jô, ale s.p. F. Lorentz zbadérówôł kaszëbizną tak gréntownie, jak po nim może blôs le kszãd B. Sëchta, chtëren téż ju wodeszed wod naju na wiedno.

Moja droga do kaszëbszczi mowé je całkã jinszô jak s.p. dra Lorentza, bo ju sterowónô przez czéstò nowé stösënczi butnowé. Biédë prôwdzëwé jô nie doznôwôł nigdë, wszétkò bëło lepszé. Pomôgôł mie baro prof. dr Z. Stieber i jewo młodé koledzë. W dostarczenim literaturë pomôgôł od roku tesac dzewińset pińdzësãt sôsétwò s.p. Leon Roppel, po jewo smierce wiedno pomôgôł mie dr Jan Drzeżdżon, mój spòlstolemówcë ë wiele jinszech lédzi. Nicht z wuczaléch lédzi nie może napisac cos zgoła nowégò, bo wszédén budëje wiedno na fundamencie drédzich, le w ogóle na gnótach pokoleń ju minionéch. W té mësle nie mogã téż przemôlczëc jednéwò jesz bëlnégò Niemca, chtëren może téż za słowiańszczewò lużëczanina trzymané bëc, a to je Gotthilfa (Bogupomagaja) Bronischa, chtëren tak bëlné napisôł teksté bëlacczé. Można bë jesz niechtërnéch bëlné napisôł teksté bëlacczé. Można bë jesz niechtërnéch bëlnéch badérów nadpomknac, ale jô jem té dbé, że to może Waju za baro nudzec — a téwò jô nie chca. Dlô téwò ju chca pomalińku skuneczëc moją krótkã przemowé ë z redosã prôwdzëwã przëjic z rąk waju to tak dlô mnie érowné wodznaczenié. Nie mogé, bëc może, bëlniëj przëslac moją powiôstkã jak wierszem waju sztòitnéwò poeté méstra Jana Trepczika:

„Të przëszed znôlu do naju,
o pëszni, snozi maju”.
Bóg zapłac za wszétkò!
Waji badëra”.

W dalszej czëści uroczystości dr Hinze wygłosil, tym razem bardzo

dobrã polszczyznã, referat pt. „Słowënsko-baltycki typ motywacyjny na nazwanie motyla”. Spotkanie zakończyło się krótkã dyskusją nt. referatu oraz drogi pana Hinzego do kaszubszczyzny.

Medal Stolema przyznajemy za konkretne osiągnięcia na polu badania kaszubszczyzny oraz popularyzacji jej głównych problemów. Dr Hinze miał tych osiągnięć wiele, zaś jego przyjazd do Gdańska, możliwość osobistego poznania utwierdziły nas w przekonaniu o słuszności i trafności wyboru. Jest to bowiem nie tylko wielki znawca kaszubszczyzny i jej problemów, ale także niezwykle człowiek, którego nadrzędną dewizą życia jest życzliwość, dobroć i pełne zaangażowanie w to co robi.

Jesteśmy dumni, że posiadamy takich przyjaciół. (El.Sz)

ODDZIAŁ ZRZESZENIA W JASTARNI

W dniu 7 kwietnia w Jastarni zawiązał się kolejny oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Do zarządu wybrano: Antoniego Konkelę (prezes), Mirosławę Mużę (sekretarz), Antoniego Skwierczę (skarbnik), Justynę Narkowiczę (wiceprezes) oraz Bogdanę Marszałę, Jerzego Kohnke, Juliusza Struka i Antoniego Piepera. Komisja rewizyjna działać będzie w składzie: Florentyna Konkel (przewodn.), Włodzimierz Piechocki i Andrzej Łabędzki.

Jastarnieccy działacze chcą uratować zabytkową chatę przy ul. Rynkowej. W tej sprawie uzyskali już poparcie miejscowej władzy (naczelnik Jerzy Sałata i przewodniczący MRN — Stanisław Rybarczyk byli obecni na zebraniu założycielskim) i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Gdańsku. Zyniëc będą również starania o zezwolenie na urządzenie wycieczek łodzią po zatoce. Obiecano, iż każda rodzina reprezentowana w Zrzeszeniu zaprenumeruje „Pomeranię”.

W zebraniu wzięli udział członkowie Zarządu Głównego: Józef Borzyszkowski i Władysław Torliński. (wj)

JEDNYM ZDANIEM

● Z prasy (Głos Wybrzeża z 22 kwietnia) dowiedzieliśmy się, że z okazji 60-lecia nadania praw miejskich Kartuzom miejscowy Dom Kultury i Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ogłosili otwarty konkurs literacki (na wiersze, opowiadania lub wspomnienia). Skandaliczny termin składania prac (do 25 maja br.), a i skromne nagrody nie wpłyną zapewne na poziom prac. Czyżby organizatorzy sądzili, że literatura powstaje na kolanie? ● Wrześniowe Kaszubsko-Pomorskie Spotkanie Wdzydzkie po-

święcone będą inteligencji kaszubskiej, jej znaczeniu w czasach najnowszych i współcześnie. Referentem będzie Stanisław Pestka ● Oddział Tczewski Zrzeszenia urządził salon wystawowo-sprzedażny, gdzie można kupić książki, wytwory sztuki ludowej, pamiątki regionalne ● Oddział Karsiniński Zrzeszenia jako jedyny ma swoje kluby we wsiach: Osowie, Karsinie i we Wielu.

III SPOTKANIA PELPLIŃSKIE

W dniach 25-26 maja br. odbyły się III Spotkania Pelplińskie. Tegoroczny temat sympozjum, w którym udział wzięli naukowcy z ośrodków akademickich Pomorza oraz duchowni badacze dziejów naszego regionu, brzmiał: „Chrześcijańska kultura na Pomorzu w XIX i XX wieku”. Wśród zaproszonych gości znaleźli się członkowie władz Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (współorganizator imprezy), kaszubszy i kociwscy działacze społeczni, a także dziennikarze i członkowie klubu „Pomorania”.

Pierwszy dzień Spotkań zainaugurował biskup ordynariusz diecezji chełmińskiej, ks. dr Marian Przykucki, który w krótkim wprowadzeniu podkreślił między innymi, iż ubogacenie kultury polskiej na Pomorzu w XIX i XX wieku było bardzo znaczące, dlatego „praca nasza powinna bronić niesfałszowanego obrazu przeszłości”.

Właściwą część sympozjum rozpoczął ks. kanclerz Andrzej Sliwiński zajmującym referatem pt. „Chrześcijaństwo a regionalizm”. Znalazły się w nim spostrzeżenia dotyczące ścisłej zależności między kulturą ogólną (uniwersalną) a kulturami regionalnymi, jako że „regionalizm to dokładanie własnego kwiata do wielkiego bukietu kultury ogólnoludzkiej”. Pamięta o tym Kościół, który nawiązał do wielu dawnych obyczajów, czasem nawet przedchrześcijańskich. Nikomu także i dziś nie może przeszkadzać, jeśli na przykład postacie w lokalnej szopce betlejemskiej ubrane są w miejscowe stroje ludowe albo jeśli wizerunki Madonny mają ciemne lica czy skośne oczy. Kościół jest i powinien być zarazem powszechny i partykularny. I tak, jak nie może funkcjonować Kościół uniwersalny bez lokalnego, tak nie może istnieć kultura ogólna bez kultur regionalnych. Współczesny poziom cywilizacji sprawia w dodatku, że podstawą działań regionalnych staną się już wkrótce wartości przechowywane przede wszystkim przez siedliska najbardziej elementarne, czyli rodziny.

Kolejnym mówcą był dr hab. Józef Borzyszkowski (UG), który wygłosił obszerny referat pt. „Udział duchowieństwa diecezji chełmińskiej w rozwoju ruchu kaszubsko-pomorskiego”. Na wstępie autor uwypuklił rolę Pelplina jako jednego z pomorskich centrów polskości w czasie

zaborów, a także prężnego ośrodka kulturalnego i naukowego w okresie międzywojennym. „Diecezję chełmińską śmiało można by nazwać pomorską. W jej granicach znalazły się też prawie całe Kaszuby, a Kaszubi to bezpośredni następcy tych, których chrzcili św. Wojciech i Otton”. W dalszej części referatu J. Borzyszkowski omówił odcienie ruchu kaszubskiego na przestrzeni ostatnich 130 lat oraz uprzytomnił słuchaczom ogrom pracy kulturalnej duchowieństwa pomorskiego, które w ciężkich dla narodu okresach walczyło nie tylko o wiarę, ale także (lub może nawet przede wszystkim) o polskość.

Sylwetka księdza dra Leona Heykego była przedmiotem uwagi następnego prelegenta, ks. mgra Jana Walkusa. Przedstawił on krótką biografię „pierwszego poety z pójnocy części Kaszub” (*Kaszebsczi spiewe*), autora epopei *Dobrogost i miłostawa*, a także zbiorów podań kaszubskich, prac historycznych, rozpraw dialektologicznych, szołobulek (czyli anegdot scenicznych) i wreszcie nawet poezji miłosnej. Ks. dr Heyke został rozstrzelany przez hitlerowców 16 października 1939 r. w Lesie Szpęgawskim.

Dr Krystyna Podlaszewska (UMK Toruń) przedstawiła w swym nader szczegółowym komunikacie postać księdza Alfonsa Mańkowskiego (1870–1941), który twierdził o sobie, iż „odkupi polskość na Pomorzu”. Za działalność społeczno-narodową i historyczno-popularyzatorską kapłanów poniósł śmierć w obozie koncentracyjnym Stutthof.

Ksiądz mgr Jan Doppke ze Starogardu zarysował w krótkim komunikacie fenomen czterech braci Pobołkich, Juliusza, Gustawa, Leona i Wojciecha, którzy wszyscy zostali księżmi i zasłynęli jako działacze społeczni. Gustaw Pobołki opracował ponadto i wydał zawierający ponad 1800 wyrazów *Słownik kaszubski z dodatkami idiomatyzmów kociewskich i chełmińskich*.

Następstwem wymienionych referatów i komunikatów była dyskusja, w której udział wzięli między innymi: pochodzący z Pelplina sędzia Sądu Najwyższego Witold Formański, dr Jerzy Samp z UG (postawił między innymi pytanie retoryczne, bo pozostające bez odpowiedzi, o znajomości gwary kaszubskiej wśród kapłanów działających na Kaszubach), franciszkanin Gaudenty Kustusz, Eugeniusz Gołabek, ks. Franciszek Grucza, ks. A. Sliwiński, doc. dr hab. Edward Breza (UG), J. Borzyszkowski oraz mgr Tadeusz Sadkowski, etnograf z Wdzydz, który w popołudniowej części pierwszego dnia Spotkań odczytał także interesujący, choć trochę przeładowany danymi inwentaryzacyjnymi komunikat pt. „Stan i ochrona drewnianego budownictwa sakralnego”.

O problemach związanych z bieżącym budownictwem sakralnym w diecezji chełmińskiej (obejmującej swym zasięgiem 8 województw) poinformowali ks. dr infułat Antoni Liedtke oraz ks. dr prałat Zygmunt Labuda. W związku z przybywaniem

nowych osiedli i rozrastaniem się starych uzyskano w ciągu ostatnich dwóch lat zgodę władz administracyjnych na budowę 42 nowych świątyń, plebanii, domów katechetycznych, kościoła i budynków gospodarczych; najuciążliwsze jest jednak to, że wolno nareszcie budować, gdy jest kryzys i brak podstawowych materiałów budowlanych. Odrębny kłopot stanowi ciągłe czuwanie, by projektanci nie uduziwniali kształtów świątyń, lecz nawiązywali choćby do budownictwa regionalnego. „Bierzmy przykład z Japonii czy Gruzji — powiedział ks. Labuda — gdzie cywilizacja nawiązuje do tradycji, a nie na odwrót”.

W dyskusji po tej części symposium udział wzięli: prezes ZK-P Izabella Trojanowska (podkreśliła, że budownictwo sakralne to w PRL nieomal jedyna dziedzina dająca architektom szansę pełnego rozwinięcia skrzydeł), ks. Władysław Szulist (przypomniał o zbliżającej się powoli 750 rocznicy istnienia diecezji chełmińskiej), mgr Tadeusz Bądkowski, J. Borzyszkowski (napomknął o obserwowanym gdzieś braku szacunku architektów wobec przyrody; przypomniał o obowiązku chronienia „znaków na ziemi”, czyli zabytkowych krzyży i kapliczek), ks. Kazimierz Goldstrom (powiadomił o wpływie promieniowania geopatycznego oraz kosmicznego na możliwości duchowego skupienia się wiernych w prawidłowo lub wadliwie zaprojektowanej i usytuowanej świątyni) oraz ks. A. Liedtke.

W drugim dniu symposium ogłoszone zostały dwa referaty. Pierwszy, autorstwa ks. dziekana mgra Henryka Mrossa, nosił tytuł „Pelplin jako ośrodek wydawniczy w latach 1850–1939”. Drugi, pod tytułem „Wydawnictwa pelplińskie po roku 1945”, wyszedł spod pióra dyrektora Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, ks. dra Anastazego Nadolnego. Obaj prelegenci drobiazgowo, acz zajmując, przedstawili 130 lat dziejów nowszego edytorstwa pelplińskiego, przy czym w pierwszym referacie na czoło wysunęła się 70-letnia historia czasopisma „Pielgrzym”, w drugim zaś — typy powojennych wydawnictw pelplińskich oraz modernizacja kurialnej bazy poligraficznej.

W szerokiej poreferatowej dyskusji udział wzięli między innymi: Feliks Marszałkowski, J. Borzyszkowski, K. Podlaszewska, ks. rektor Jerzy Buxakowski, I. Trojanowska, o. G. Kustusz, doc. dr hab. Jerzy Dygdała (UMK Toruń), dr Maria Panikowska (WSP Bydgoszcz) i W. Formański.

III Spotkania Pelplińskie zakończyło podsumowanie ks. rektora J. Buxakowskiego.

Sprawozdawca „Pomeranii” pragnie ze swej strony podkreślić dużą sprawność organizacyjną imprezy, której dodatkową atrakcją była możliwość zwiedzenia wspaniałej pelplińskiej katedry oraz kurialnego muzeum drewnianej rzeźby pomorskiej z okresu średniowiecza, a tak-

że wieczór poezji i pieśni w przygotowaniu i wykonaniu kleryków z klubu Kaszubów. Nie obeszło się oczywiście także bez tradycyjnego podziwiania jedynej w Polsce biblii Gutenberga. (Zy-Ga)

I SPOTKANIA NADWIŚLAŃSKIE

W rozesyłanych zaproszeniach nazywano je specyficznym forum rozmów i dyskusji na tematy wiślane. „Od zarania dziejów Wisła przyciągała ludzi sztuki i ludzi czynu, pobudzała ich wyobraźnię” — przekonywali organizatorzy, zachęcając do udziału w spotkaniach tych wszystkich, którzy w swej twórczości i różnorodnej działalności podejmują szeroko pojęty temat królowej naszych rzek. Pomyślano je ambitnie, z rozmachem: dysputy o problemach Wisły i żyjących nad nią ludzi, prezentowanie twórczości, przegląd inicjatyw społecznych i kulturalnych, zrodzonych w regionach nadwiślańskich. Wybór właśnie Tczewa na miejsce corocznych spotkań uzasadniono następująco: „ostatni duży ośrodek miejski na szlaku wiślanym powinien stać się również ostatnią przystanią tematów wiślanych, spływających z całego biegu rzeki”.

Organizatorzy zrobili wszystko, żeby I Spotkaniem Nadwiślańskim — odbyły się w dniach 26 i 27 maja — nadać odpowiednią rangę i oprawę. Impreza została starannie przygotowana. A jednak trudno ją uznać za w pełni udaną, bowiem skromnie dopisali uczestnicy, mimo że zaproszenia wystosowano do wszystkich miast i regionów nadwiślańskich. Z położonych powyżej Płocka nikt nie „dopłynął”. I tak pomyślane z rozmachem forum dla ludzi z różnych województw przekształciło się w bardzo kameralne spotkanie. Najwyraźniej dało o sobie znać wyeksploatowanie tematu w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy to proklamowana „Akcja Wisła” uzyskała taką oprawę propagandową, że jeszcze długo będzie wywoływać niemal reakcję alergiczną. Jeszcze jeden przykład, jak można „zagadać” nawet tak ważne dla naszej tożsamości symbole jak Wisła, zatracić aż do zniechęcenia.

Prof. dr Andrzej Piskozub z Uniwersytetu Gdańskiego, którego wykład zainaugurował spotkania, nazywał wspomniany „Program Wisła” utopią. Od początku nie był realny. Zdaniem prof. Piskozuba nie ma warunków na wielką żeglugę na Wiśle. Regulacja rzeki dla celów transportowych byłaby zbyt kosztowna, nie opłaca się. Wisłę należy przede wszystkim wykorzystać jako wielki wodociąg dla miast. Program Wisła to program wody. Wymaga to olbrzymich nakładów, gdyż obecnie rzeka to wielki ściek. Potrzebne są oczyszczalnie, zbiorniki retencyjne. Długo nie będzie nas stać na wielomiliardowe nakłady, należy więc obecny okres wykorzystać na stworzenie przemysłanej

koncepcji uregulowania Wisły, gdyż dotychczas dominowały działania dorywcze. Prof. Piskozub przedstawił te problemy w szerokim kontekście historycznym, na tle zmieniającego się charakteru Wisły na przestrzeni dziejów. Ten wykład był niewątpliwie najbardziej interesującym punktem programu spotkania.

Dwa referaty wygłosili przedstawiciele Płocka. Z tego miasta przybyła najliczniejsza, bo czteroosobowa delegacja. Dr Jakub Chojnacki, prezes Towarzystwa Naukowego Płockiego mówił o katedrze płockiej, której sylwetka należy do ciekawszych w krajobrazie nadwiślańskim. Opowiedział także o historii romańskich drzwi z XII wieku, których kopia po 550 latach zdobi znowu katedrę płocką. Rozważania o architekturze terenów nadwiślańskich snuł inż. Tomasz Osiński. Przedstawicielka Płocka zaprezentowała inicjatywę kulturalną, a zwłaszcza festiwal ziem nadwiślańskich, odbywający się w tym mieście. Tak więc Płock w pełni odpowiedział na życzenia i sugestie organizatorów.

Również gospodarze spotkania przedstawili szereg propozycji kulturalnych, które mają związek z Wisłą. Tczew w 1979 roku uzyskał zgodę na utworzenie Muzeum Wisły. Niebawem otworzy ono podwoje. Muzeum ma stać się inicjatorem wielu interesujących imprez, które wzmocnią nadwiślański charakter Tczewa (m.in. przewiduje się coroczne zloty tradycyjnych łodzi). Mówił o nich dyrektor nowej placówki inż. Roman Klim, który wystąpił jednocześnie z propozycją założenia Towarzystwa Miłośników Wisły.

Spotkanie z wiceprezydentem Tczewa Hubertem Andrzejewskim, wieczór poezji o Wiśle, prezentacja miejscowych zespołów amatorskich, wycieczka po Ziemi Tczewskiej, w tym przejażdżka statkiem po Wiśle — wypełniły dwudniowy program. Uwieńczeniem było wręczenie Pucharu Retmanów Wiślanych. W tym roku przyznano dwa puchary: prof. Stanisławowi Gierszewskiemu, autorowi „Wisły w dziejach Polski” oraz prof. Andrzejowi Piskozubowi, pod którego redakcją ukazała się właśnie praca zbiorowa „Wisła — monografia rzeki”.

Na spotkaniach zastanawiano się jak wzbogacić ich program, a zwłaszcza jak przyciągnąć większe grono osób interesujących się Wisłą, tak aby przyszłoroczne spotkania spełniły w większym stopniu te cele, które sobie założono.

Organizatorami I Spotkań Nadwiślańskich byli: Oddział Tczewski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Muzeum Wisły, Miejska Biblioteka Publiczna, Dom Kultury Kolejarza, Tczewski Dom Kultury i Międzyosiedlowy Dom Kultury. Spotkania prowadził prezes oddziału ZK-P Michał Spankowski, a Zarząd Główny Zrzeszenia reprezentował wiceprezes Stanisław Pestka. (Sz)

KLEKA

IX TURNIEJ TALENTÓW TANECHNYCH

Finał IX Turnieju Talentów Tanecznych Gdańsk 83 odbył się staniem WOK-u 29 maja na moło w Sopocie. Jury oceniało siedem najlepszych zespołów z województwa gdańskiego.

Nagrody główne otrzymali: zespół „Młoda Kościerzyna” ze Szkoły Podstawowej Nr 3 (choreografia — Zyta Paszyk, opracowanie muzyczne — Jerzy Brzostowski) i zespół „Conradinum” z Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku (choreografia — Maciej Orłowski). Dyplom Laureata otrzymali: zespół „Bursztynek” z Helu (choreografia Irena Kropidłowska), Zespół Taneczny z Pałacu Młodzieży w Gdyni (choreografia Alicja Sysik), zespół „Alga” z Państwowego Ogniska Muzycznego w Pucku (choreografia Romuald Łukowicz); wyróżnienia: zespół „Modraki” ze Szkoły Podstawowej Nr 3 w Kartuzach (choreografia Stanisław Rychert) i Zespół Taneczny Szkoły Podstawowej Nr 2 z Kościerzyny (choreografia Irena Gierszewska). (w.j.)

PRZEGLĄD ZESPOŁÓW WIEJSKICH

W dniach 19—21 maja w Kolbudach odbył się Przegląd Dorobku Kulturalnego Wsi, czyli turniejowe zmagania różnych zespołów z woj. gdańskiego.

Laureatem głównej nagrody w kategorii zespołów teatralnych został Folklorystyczny Teatr Amatorski ze Strzelna, a drugą nagrodę otrzymał Regionalny Teatr Dramatyczny z Łuzina. Obydwa zespoły prezentowały utwory ks. Bernarda Sychty; strzeleński — fragment sztuki „Hanka so żeni”, luziński — „Dziewczę i miedzę”.

Pośród chórów najlepszy okazał się chór Szkoły Podstawowej w Zakładowie.

Wśród zespołów instrumentalnych przyznano 4 równorzędne nagrody: zespołowi z Gniewa, Żukowa, Stanisława i Sławoszyna, a z zespołów instrumentalno-wokalnych najlepszy

okazał się zespół „NN” ze Zblewa przed „Pozytonem” z Kolbud.

Pośród zespołów tanecznych i folklorystycznych najlepszymi okazały się: Kaszubski Zespół Pieśni i Tańca z Sierakowic oraz „Małe Kaszuby” z Przodkowa.

Najważniejsza konkluzja po Przeglądzie w Kolbudach: mimo znacznych trudności finansowych i materialowych, braku odpowiednich sal i pieniędzy dla wykształconych instruktorów — młodzież kaszubska i kociewska licznie jak przed laty tworzy i uczestniczy w różnych zespołach, preferując (na Kaszubach) repertuar swego regionu. (w.k.)

O KASZUBACH W GDAŃSKIEJ SZKOLE

9 kwietnia w Szkole Podstawowej Nr 1 w Gdańsku-Pieckach z inicjatywą nauczycielki Henryki Makowskiej zorganizowano spotkanie uczniów kl. III h z członkiem Prezydium Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Zygmuntem Stenką. Spotkanie odbyło się w związku z przerabianym tematem lekcyjnym „Kaszuby”.

Zygmunt Stenka zapoznał uczniów z przeszłością Kaszub, nakreślił sylwetki działaczy Kaszub i Pomorza, starał się zainteresować literaturą dziecięcą, kulturą i sztuką Kaszub. Uznaniem cieszyły się gadki kaszubskie. Uczennica tej klasy Dobromira Stenka wykonała na skrzypcach kilka melodii kaszubskich.

Uczniowie klasy III h potrafili całkiem poprawną kaszubszczyzną zaśpiewać: „Kaszubskie nuty”, „Holla, hej, ha, z Kaszub jesme mē”. Dyrektor Zespołu Kształcenia i Wychowania Nr 1 w Gdańsku-Pieckach mgr Zofia Bukowska niejednokrotnie apeluje do grona pedagogicznego o uwzględnienie w procesie kształcenia i wychowania historii i elementów regionalnych Ziemi Gdańskiej. W chwili obecnej w szkole organizuje się Koło Regionoznawcze. Zainteresowania folklorem kaszubskim znajdują też swój wyraz w zewnętrznym wystroju szkoły.

Oby inni nauczyciele zechcieli realizować tego rodzaju inicjatywy, tym bardziej, że na osiedlu Piecki-Migowo jest znaczny procent młodzieży wywodzącej się z kaszubskich środowisk. (Wilczur)

POEZJA MARYNISTYCZNA

W końcu maja rozstrzygnięto konkurs rozpisany przez prezydenta m. Gdańska na wiersz o tematyce marynistycznej. Jury konkursu w składzie S. Gostkowski, J. Samp i J. Stachurski po rozpatrzeniu nadesłanych 49 zestawów wierszy przyznało nagrodę: honorową „Złoty Tulipan” Wiesławowi Wasilewskiemu z Gdańska (godło: Kaszuba); drugą — Stanisławowi Janke („Cedron”) i wyróżnienia: Annie Sawickiej („Dru-gi”), Stefanowi Fikusowi („Stach”) i Mirosławowi Kościńskiemu („Majtek”). (w.j.)

„TAK TU CICHU WIECZOREM...”

Znakomity znawca sztuki prof. Tadeusz Chrzanowski napisał („Tygodnik Powszechny” nr 21) piękne strofy w Pelplinie: ... uważam katedrę w Pelplinie za jedną z najwspanialszych budowli w skali świata, a opinii tej nie zmieniłem, choć się (...) nazwiedzałem, o! nazwiedzałem po Polsce i po innych krajach! Połączyła się tu bowiem cystersko-gotycka wzniosłość z ową niepowtarzalną hiszpańsko-sarmacką aurą polskiej odmiany manieryzmu.

Ubiegłego lata spędziłem w murach dawnego klasztoru w Pelplinie kilka niezapomnianych tygodni i stale odczuwałem tam obecność owej wzniosłej a tajemniczej świątyni (...) Cicha noc wypełniała się nagle jakimiś tajemnymi szumami, niedosłyszalnymi łopotami, wlatywaniem oplatającym uśpione filary. Potem, za dnia, schodziłem dębowymi schodami wprost z „mojego” piętra do katedry i nasłuchiwałem znów, ale nie, nic tam nie łopotało, nie nie przewiewało pod zastygłymi w kryształ sklepieniami. Ja jednak wierzę, bowiem chcę wierzyć, że pod ich mądrym, scholastycznym rysunkiem mieszkają te nieosiągalne ludzkim słuchem wzloty, te ultradźwięki transcendencji...

Prof. T. Chrzanowski daje także relacje z sympozjum naukowców, które odbyło się w Pelplinie w dniach 28.02 i 1.03 w związku z przygotowaniem ekspozycji najcenniejszych rzeźb gotyckich znajdujących się w posiadaniu miejscowego Muzeum Diecezjalnego. Budowa muzeum jest znacznie zaawansowana. Dodajmy, iż budowę muzeum rozpoczęto z inicjatywy wielce zasłużonego dla pomorskiej sztuki sakralnej ks. dra Antoniego Liedtke, pełniącego funkcję Konserwatora Diecezjalnego. Funkcję dyrektora muzeum pełni Roman Ciecholewski, autor pracy doktorskiej o pomorskich „Madonnach szafkowych”.

Prof. Chrzanowski: „Sądzę, że nowy etap dzieł Muzeum Diecezjalnego w Pelplinie otwarty został w sposób udany i może zapowiadać nową falę zainteresowania dla sztuki

(zwłaszcza gotyckiej) na Pomorzu (w szerokim rozumieniu tego określenia). Naprawdę jest nad czym popracować, zwłaszcza, że wciąż jeszcze ujawniają się nieznane dotychczas, a nieraz bardzo cenne zabytki”.

Znamienne dziś jest stwierdzenie: „Nad dotychczasowymi badaniami sztuki pomorskiej zbyt wyraźnie dominuje pewien — narzucony przez przedwojennych badaczy niemieckich — schemat myślowy: w państwie zakonnym cała sztuka była krzyżacka. Otóż nam się wydaje i próbowaliśmy zarys takiej analizy przeprowadzić (T. Chrzanowski wygłosił wspólnie z Marianem Korneckim referat „Dwa gotyki pomorsko-pruskie: — krzyżacki i mieszczański” — przyp. w.k.), że nie negując znaczenia mecenatu krzyżackiego trzeba widzieć równolegle pozostający i rozwijający się mecenat innych części składowych społeczności tego „eksperymentalnego” państwa, przede wszystkim mieszczaństwa, ale również — i tu rolę szczególną odgrywa owa na lewym brzegu Wisły położona ziemia pomorska — w środowiskach klasztornych (cystersi, norbertanki, franciszkanie, dominikanie, brzygidki, kartuzi). Drugim celem naszego referatu było wykazanie różnorodności sztuki tych obszarów, która również została zsypana do zbyt schematycznego worka pewnych obiegowych pojęć stylowych. Sztuka tego obszaru rozwijała się stale w oparciu o impulsy północne (szlaki hanzeatyckie wiodące do Dolnej Saksonii, Westfalii, Nadrenii a przede wszystkim do Niderlandów) i południowe (tu zwłaszcza sztuka praska czasów Karola IV i Wacława IV retransmitująca doświadczenia włoskie i burgundzkie)”.

Kończąc prezentację wypowiedzi z „Tygodnika Powszechnego” stwierdzeniem Profesora: „mamy na obecnej ekspozycji doskonały przegląd problemów artystycznych, wyrosłych na tej ziemi, która odgrywała i odgrywa nadal w naszym kraju rolę szczególną”.

„Pomeranii” przypominano, że także w zakresie popularyzacji po-

morskiej sztuki ma niemałe obowiązki. (w.k.)

W KOŚCIERZYNIE OBRADOWALI

25-go kwietnia br. w Kościerzynie w sali Lubomira Szopińskiego obradowali miejscowi radni na temat kultury. Obrady prowadził Jerzy Knyba. Po zapoznaniu się z materiałami naczelnika Witolda Cerowskiego i rzeczowej dyskusji, w której wysoko oceniono m.in. pracę Kościerskiego Domu Kultury im. Józefa Wybickiego oraz Oddziału Kościerskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, przyjęto uchwałę. KDK i ZK-P przyznano dodatkowe dotacje, postanowiono m.in. kontynuować opiekę nad Kaszubskim Zespołem Pieśni i Tańca „Kościerzyna”, poszerzyć propozycje wystawiennicze w salonie sztuki, uczcić 20 rocznicę śmierci Lubomira Szopińskiego, przystąpić do budowy Pomnika Bitwy Partyzanckiej pod Łubianą. Przewiduje się adaptację zabytkowego spichlerza na salon sztuki i zlokalizowanie tam zbiorów p. Filipa Trzebiatowskiego, malarza i rzeźbiarza, syna Ziemi Kościerskiej, który aktualnie przebywa w Londynie i pragnie swemu miastu przekazać dorobek artystyczny swojego życia. Kontynuowane będą także starania o utworzenie w ratuszu Muzeum Ziemi Kościerskiej.

W imieniu ZGZK-P podziękowanie za dotychczasowy trud kościerskim działaczom i życzenia pomyślnej realizacji przyjętego programu przekazał Jerzy Kiedrowski.

„SIERPIEŃ WE WSPOMNIENIACH”

Do informacji zamieszczonej w nr. 5 „Pomeranii” o nagrodzie przyznanej przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne pracy „Polski Sierpień we wspomnieniach” wkradła się nieścisłość. Pracę wyróżniono nie III a II nagrodą. Przepraszamy.

Z CYKLU: DOKUMENTY NASZYCH CZASÓW

Fragment tez referatu prof. Andrzeja Bukowskiego „Ci, którzy ostatnio odeszli...” inaugurującego sesję naukową zorganizowaną przez Zakład Historii Literatury i Kultury Pomorza XIX i XX wieku Uniwersytetu Gdańskiego w dniach 20-21 maja 1983 r.:

„Poważnie osłabiona została grupa pisarzy kaszubskich. Odeszli z niej na zawsze: Sychta, Necel, Roppel, Majkowska (Niektórzy dodadzą jeszcze Aleksandra Labudę zm. 1981)”.

Pan Profesor pomny, iż jego pozaliterackie ataki na Aleksandra Labudę zostały odrzucone przez społeczność kaszubską, chciałby prawdopodobnie zupełnie przemilczeć tego autora. Praktykę tę znamy. Co ma wspólne metoda przemilczania z humanistyką... z nauką? Zaświadcza jedynie o osobowości niektórych profesorów.

Aleksander Labuda, poeta i prozaik, redaktor i publicysta, zapisał się gawędami Guzewego Macka i jako twórca słowników kaszubskich na trwałe w historii literatury kaszubskiej.

Kłaba

RZUCEWO A WIEDEN

Wyjątkowo zaniedbany jest rzucewski pałac i otaczający go zabytkowy park. Podobno czterorzędną aleję lip sadził sam król Jan III Sobieski tuż po victorii wiedeńskiej. Władzom pückim — naprawę niemalym kosztem i trudem — udało się przed rokiem w dewastowanym pałacu załatać dziury w dachu i zabić okna. Podobno w 300-tną rocznicę odsieczy wiedeńskiej rzucewski obiekt przekazany zostanie (papierkowo) Centralnemu Związkowi Rękodzieła Ludowego i Artystycznego (CPLA) w Warszawie. I podobno „Cepelia” przywróci obiektowi jego świetność nie czekając do następnej okrągłej rocznicy bitwy. (w.j.).

STUDIUM WIEDZY O POMORZU

Studium Wiedzy o Pomorzu utworzone przy Uniwersytecie Gdańskim rozpoczęło swoją działalność wiosną 1981 roku. Zasadniczą intencją powołania Studium jest przygotowanie kadry nauczycielskiej i instruktorskiej w zakresie regionalizacji nauczania na Pomorzu. Na pierwszy kurs zgłosiło się siedemnaście osób z różnych stron Pomorza i z różnych branż — od polonistów przez dyrektora GOK-u i historyków po wf-istę. Pierwszy cykl nauki zakończony w lutym bież. roku ukończyli wszyscy słuchacze, choć wiele wykładów (głównie językoznawczych) wymagało filologicznego przygotowania słuchaczy. Zajęcia prowadzili pracownicy naukowcy uniwersytetu, przy czym wykłady z zakresu historii obejmowały całe Pomorze, natomiast wykłady o charakterze literackim najwięcej miejsca poświęciły literaturze kaszubskiej. Bogactwo tematyki wystarczy zilustrować nazwami wykładanych przedmiotów: historia Pomorza (doc. S. Mielczarski, prof. W. Odyńca, doc. J. Powierski, dr J. Borzyszkowski, doc. J. Godlewski), historia oświaty na Pomorzu (dr J. Szews), dialekty Polski północnej (prof. H. Górnowicz), dialekt kaszubski i onomastyka Pomorza (doc. E. Breza), morfologia w dialektach Polski północnej (prof. B. Kreja), folklor w literaturze kaszubskiej i poezja kaszubska (dr J. Sampa), literatura Wybrzeża i epika kaszubska (dr R. Karwacki), pomorsko-kaszubska literatura dla dzieci i młodzieży i metodyka nauczania literatury ludowej (dr G. Skotnicka), piśmiennictwo pomorskie XIX i XX wieku (prof. A. Bukowski), polszczyzna literacka Polski północnej (dr B. Racławski), metody nauczania dialektu kaszubskiego (dr J. Treder), współczesna literatura kaszubska (dr J. Drzeżdżon).

Nie dziwnego, że nikt ze słucha-

czy nie zrezygnował, gdy wiedzę można było czerpać pełną garścią, a dodatkowo zorientować się w bogatej lecz rozproszonej bibliografii zagadnień. Studium stanowiło więc coś w rodzaju vademecum po Pomorzu. Było może trochę niedociągnięciem — niektóre wykłady, zbyt specjalistyczne, wymagałyby przystosowania ich nie tylko do różnego odbiorcy, ale także pod kątem przydatności i możliwości ich wykorzystania w pracy z młodzieżą szkolną. Chlubny wyjątek stanowiły wykłady panów S. Mielczarskiego, W. Odyńca, J. Godlewskiego, J. Sampa, J. Drzeżdżona, E. Brezy i J. Tredera, proponujące bogaty a jednocześnie wyselekcjonowany materiał do nauczania szkolnego.

Studium dało nam słuchaczom prócz wiedzy silne przekonanie, że Pomorze i Kaszuby to region o wspaniałej kulturze i bogatej historii.

Zdarzały się, oczywiście, i spięcia — o zasadność i kryteria wyodrębniania tzw. literatury Wybrzeża, czy specyficznie polskiej literatury marynistycznej, o stosunek do tzw. problemu języka kaszubskiego, o mit nt. dynastii książąt pomorskich. Okazało się, że z biegiem czasu rozdzielił się nasz stosunek emocjonalny do omawianych zagadnień.

Byłoby niepowetowaną stratą, gdyby Studium przestało działać. Jego przyszłość uzależniona jest od zgłoszeń uczestników. Tymczasem (do maja) zgłosiła się jedna osoba. Jeśli do lata nie zgłoszą się nowe osoby, ta wspaniała inicjatywa umrze śmiercią naturalną. Stąd apel do wszystkich nauczycieli i instruktorów, którzy pragną wzbogacić swoją wiedzę o regionie — zapisujcie się. Warto. (B.P.)

MIŁOSZ O RODOWODZIE

Krajna dzieciństwa, jak żadna inna, wyciska swoje piętno na osobowości człowieka. Do stron rodzinnych często odwołują się w swych utworach pisarze, czerpiąc inspirację z rodzimej gleby, odwołując się do niej późniejsze doświadczenia. Autor „Doliny Issy” tak wypowiedział się niedawno o wpływie, jaki wywarł na nim rodowód.

„Pochodzę z Litwy, a tam wąż wodny uchodził za stworzenie święte. Wystawiano mu mleko w miseczce przy progu chłopskiej chaty. Był kojarzony z płodnością, płodnością ziemi, płodnością rodziny i kochało go słońce. (...) Z pewnością student gorliwie pisał w Paryżu wypracowania z francuskiego, czytelnik Pawła Valéry, nie powinien być mieć wiele wspólnego z kultem węży. A jednak ta przesądna strona mojej natury była i pozostała silniejsza niż uniwersalne idee, w każdym razie na tym poziomie, na którym rodzi się poezja”.

Cytowane fragmenty pochodzą ze szkicu Czesława Miłosza „Zaczynając od mojej Europy”, który opublikował „Tygodnik Powszechny”.

(Sz)

LISTY

ROK DWUDZIESTY NAD JEZIOREM GWIAZDE

W nr 3 (1983) „Pomeranii” w artykule pt. „W 1920 r. nad Jeziorem Gwiazde”, M. Fryda udziela „pouczenia” Ryszardowi Kukierowi w związku z jego artykułem pt. „Incydent nad Jez. Gwiazde” zamieszczonym w „Głosie Pomorza” (nr 19) z 18 stycznia 1980 r. Marian Fryda posadza Ryszarda Kukiera: „... o liczne przemilczenia lub przeinaczenia”, nadmieniając iż „... ten właśnie artykuł spowodował mnie (M. Frydę — uwaga red.) do ponownego zajęcia się tą sprawą”.

Co rewelacyjnego czyni zatem M. Fryda? Zabiera się do referowania wzmiankowanej problematyki na podstawie jedyne go źródła wspomnieniowego Józefa Spiczak-Brzezińskiego z nagrań taśmy magnetofonowej z 1970 r., zamieszczając „dla okraszy” kilka pozycji bibliograficznych, nie mających przecież nic wspólnego z treścią zapisu na taśmie, jako iż jest to właśnie problematyka nowa na etapie dokumentacji. To pociągnięcie M. Frydy zakrawa na paradoks, boć właśnie R. Kukier w latach 1960—1970 w trakcie badań terenowych na ziemi człachowskiej dokonał wielokrotnego zapisu tych zdarzeń na podstawie dokumentacji ustnej, tego wyjątkowego informatora jakim był Józef Spiczak-Brzeziński, zarówno wówczas gdy zamieszkiwał w Brzeźnie Szlacheckim jak i wówczas, gdy zamieszkiwał w Przechlewie u swoich córek. W trakcie wywiadów — zapis ten był weryfikowany z innymi informatorami, świadkami zdarzeń znad Jez. Gwiazde w 1920 r., w tym przede wszystkim z informatorami ze wsi Brzozowo, Borowy Młyn, Brzeźno Szlacheckie, Upilka i Wierzchociny. (...)

Skoro autor zamieszczonego w „Pomeranii” artykułu chce korzystać z inspiracji twórczych innych, winien przede wszystkim zabrać się do rozpoznanych już kwestii w dotychczasowej literaturze. Ferowanie rzekomych „przemilczeń” i „przeinaczeń” jakich rzekomo dopuścił się autor niniejszej informacji winno wynikać z rzetelnych pobudek uwzględniających przede wszystkim dobro dyskutowanej problematyki — a tego w opublikowanym artykule trudno się dopatrzeć. Autor tego tekstu nie jest przekonany o fakcie dopuszczenia się wzmiankowanych przez M. Frydę „przemilczeń” i „przeinaczeń” i winy żadnej u siebie nie odnajduje.

doc. dr hab. Ryszard Kukier
Toruń

● 27 kwietnia br. konsul Finlandii pani Eaila Pasuri zwiedziła Fabrykę Ceramiki Stołowej „Lubiana” w Lublinie i Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie. Wcześniej pani Konsul przebywała w Kartuzach i wielu zapoznając się z życiem kulturalnym tych ośrodków. ● W II Konkursie, zorganizowanym przez Komitet Badania Polonii Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, na prace o tematyce polonijnej najwyższą oceniono wśród prac magisterskich książkę Kazimierza Ickiewicza „Kaszubi w Kanadzie”, wydaną w 1981 r. przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. ● Edward Obertyński z Gdyni przekazał w darze Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie cenny kilim z XIX wieku. Dzieło to w symbolice zawiera Orla, Pogoń i Michała Archaniola oraz napis „Boże zbaw Polskę”. ● Instytut Pedagogiki Zakładu Historii Nauki, Oświaty i Wychowania UG organizuje 10 i 11 listopada sesję naukową na temat „Wkład Pomorza Gdańskiego do rozwoju nauki i oświaty”. Sesję poprzedzi uroczystość jubileuszowa 50-lecia pracy i 70-lecia urodzin prof. dr hab. Klemensa Trzebiatowskiego. ● Naszemu współpracownikowi Ryszardowi Ciełmińskiemu warszawski KAW wydał kolejną książkę, zbiór reportaży o tematyce ogólnopolskiej „Ale odejść pan musi...”. W druku znajdują się dwie dalsze książki: tom reportaży związanych z naszym regionem oraz w jego wyborze i opracowaniu wypowiedzi Eugeniusza Kwiatkowskiego o sprawach morskich i pomorskich. (wj)

Gdańsk ul. Szewska 1/4

Sklep Oddziału Gdańskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
(tel. 31-32-35)
obok kościoła Najśw. Marii Panny

- książki o regionie pomorskim
- śpiewniki
- książki kaszubskie i kociewskie
- hafty kaszubskie
- wyroby ceramiczne
- tabakierki
- grafiki i obrazy olejne
- teki haftów kaszubskich
- medale
- rzeźby ludowe
- różne wytwory pamiątkarskie
- miesięcznik „Pomerania”

Książki, teki haftów i „Pomerania” wysyłane są także na zamówienie pisemne za zaliczeniem pocztowym

Pomerania

czytana także przez Twego sąsiada i towarzysza pracy!

Czytelniku! Skłoń Twoich bliskich do kupna i stałej prenumeraty

WARSZTAT STOLARSKI
Wyrób Mebli Stylizowanych
i Tokarstwo w Drewnie

Franciszek Kowalewski
PROKOWO

5 km od Kartuz Tel. 31-27-68

Znana firma zapewnia:

- ozdobne ogrodzenia
- balustrady z elem. toczonych
oraz
stylizowane z barwnymi
wzorami kaszubskimi
stoły stoliki krzesła stołeczki